

HAZARDEM WOJNA PRZE KROJ BEZ GŁOWY >10



NR 11 / 3377 / 16 MARCA 2010 / CENA 4,95 ZŁ

(w tym 19% VAT)



ISSN 0033-2488



1 1

**AUTORZY
WIDMO
ZNAD
WISŁY**

>16

**KUP SOBIE
CZŁOWIEKA
ZA 50
DOLARÓW**

>20

**STANISZKIS
WIERNA
DZIEWCZYNIE,
KTÓRĄ BYŁA**

>60

**KONIEC
MIŁOŚCI:
PIŁCH ZRYWA
Z CRACOVIA**

>86

www.kler.eu SALONY I STOISKA FIRMOWE: Białystok 085 664 90 07, Białsko-Biała 033 498 71 04, Bydgoszcz 052 373 59 77, Częstochowa 034 368 34 47, Dobrożeń 034 352 91 66, Gdańsk 058 520 38 03, 058 522 60 96, Gliwice 032 279 48 05, Gorzów Wlkp. 095 728 82 83, Jarosław 016 621 04 02, Jelenia Góra 075 647 24 31, Katowice 032 256 61 97, 032 735 27 10, Kalisz 062 757 03 88, Kielce 041 334 00 06-07, Koszalin 094 347 32 35, Kraków 012 266 38 43, Lublin 081 746 59 09, Lubin 076 724 60 36, Łódź 042 672 46 20, Nowy Sącz 018 547 68 13, Nowy Targ 018 264 10 42, Olsztyn 089 539 04 80, Opole 077 403 01 50, Ostrow Wlkp. 062 735 60 17, Poznań-Komorniki 061 893 50 71, Poznań Swarzędz 061 815 93 69, Racibórz 032 415 07 78, 032 419 08 14, Radom 048 365 57 37, Rybnik 032 423 39 02, Rzeszów 017 850 29 80, Szczecin 091 461 34 67, Toruń 056 678 75 71, Warszawa 022 894 35 61, 022 771 21 90, 022 654 64 04, 022 611 34 49, Wrocław: 071 359 09 74, 071 390 19 22, Zielona Góra 068 329 03 06. SALONY I STOISKA AUTORYZOWANE: Belchatów 044 632 87 22, Krosno 013 437 25 04, Sochaczew 046 861 91 21, Stalowa Wola 015 843 28 41, Warszawa 022 638 08 77. BELGIA: Bruksela +35/56755011; USA: Chicago 1/773/889700, KANADA: Toronto 1/9058290088.



TYLKO DO 31.03 PRZY ZAKUPIE MEBLI ATRAKCYJNY PREZENT DO WYBORU

MARCOWE BONUSY KLER

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU O KIM NIE PISZEMY...

...o Julii Piterze, która nie słyszała. A nie słyszała pani minister od walki z korupcją na przykład o tym, że lobby hazardowe próbowało z pomocą rządu „delegować” do Totalizatora Sportowego Magdaleny Sobiesiak (córkę Ryszarda, króla hazardu). Pani minister nie słyszała, więc nie tropiła afer, nepotyzmu, korupcji. A czym się zajmowała? Przez dwa lata urzędowania... przeczytała 20 tysięcy listów i na nie odpowiedziała! Ciotka Julia i skryba. Nie od dziś wiadomo krytykom, że to powieść totalna.

...o Januszu Palikocie znów nie piszemy, ale na prawach dalszego ciągu. Pośle nie milczy, choć karę milczenia sam sobie wymierzył. Widocznie kara jest w zawieszeniu, a zresztą wyrok nie był prawomocny.

...o Marku Markiewicz, który przystąpił do PiS. Jest (uwaga, nie piszemy o tym całkiem serio!) „w gronie potencjalnych kandydatów na kandydata”. W ten sposób ogłoszono urbi et orbi, że w PiS też mogą się odbywać prawybor

na prezydenta. Na razie na prezydenta Łodzi. Dlatego urbi.

...o Andrzeju Żuławskim, reżyserze i jego ambitnym objętościowo pisarstwie. Pan Andrzej z uporem godnym lepszej sprawy próbował dowieść, że ilość może przechodzić w jakość. Teraz już jednak nie chodzi o dowód jakości, tylko o jakość dowodu, bo spór przenosi się na salę sądu z powództwa Weroniki Rosati, domniemanej bohaterki. Przynajmniej o tytuł konfliktu być nie powinno. „Nocnik” i wszystko jasne.

—ju

PRZE KROJ

- 4 | Ludzie listy piszą
- 6 | Świat według „Przekroju”
Juliusza Urbanowicza
i Orbita „Przekroju” Roberta
Firmhofera
- 8 | Krótko

WYDARZENIA

- 10 | Hazardowa porażka Polski
- 16 | Duchy do wynajęcia
- 20 | Masz 50 dolarów? Kup sobie
człowieka
- 22 | Emofilm, emoksiążka,
emohossa

SYLWETKA

- 26 | Poncyljusz próbuje zapisać
Najsztaba do PiS
- 30 | Waluś zabiłby jeszcze raz
- 34 | Ostatni koncert Alły
Pugaczowej i Skok w bok
Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

- 36 | Googlezaur na zakręcie
- 40 | Mamy prawo do smutku
- 42 | Hummer przegrał z ekologią
- 43 | Też pytanie!
- 44 | Na tropie ewolucji

KULTURA

- 46 | Film: Demony wojny
- 50 | Muzyka: Powalająca Zaryan
i owady bez wad
- 52 | Teatr: Pamflet
na żądowolonych
- 56 | Książki: Mocna rzecz Orłusia
- 58 | Film: Zanim pojawili się
hipisi
- 60 | Lektura: Janowska rozmawia
ze Staniszkis

KRAKÓW FESTIWALI

- 64 | Nie tylko Muse

OTWÓRZ OCZY

- 76 | Zagłębie kultury

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 82 | Rozmaitości z krzyżówką,
jolką i felietonami
- 85 | Stopklatka
- 82, 84 | Raczkowski

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +

O PRAWYBORACH:
MAJĄ KANDYDACY PO PARCIE
NA JAK NAJWIĘKSZE
POPARCIE.

Czasem dobrze, czasem źle

Droga redakcjo!

Piszę do Was po raz pierwszy (chyba), ale czytam Was już od ponad pięciu lat. Zaczęłam od podlizywania się: bardzo mi się podoba kalendarz, jaki obrał „Przekrój”, to znaczy pójście w kulturę. Więcej o kulturze to dla mnie więcej czytania. Muszę też wylać nieco wazeliny na redakcję muzyczną, która zawsze stanowiła dla mnie swoisty „drogowskaz”. To WY napisaliście pierwszy o Antonym Hegartym (nieodżałowany redaktor Brzozowicz pisał o nim w czasach, kiedy przyznawaliście „kropki” w recenzjach). To redaktor Chaciński wyprzedził konkurencję z „Machiny”, pisząc o Graftmannie. Z tego miejsca chciałbym podziękować panu redaktorowi Chacińskiemu za to, iż wskazał mi wielokrotnie miejsca na muzycznej mapie, o których pojęcia nie miałem! Mam nadzieję, że będzie on gościł na łamach „Przekroju”. To, w końcu, redaktor Szubrycht napisał o Niwei. Tyle laurek. A teraz istota tego, co skłoniło mnie do wynaturzeń.

Otóż zaobserwowałam, że coś nie tak dzieje się w Narodowej Kulturze. Najpierw żenujący spektakl pani Szczepkowskiej w programie Tomasza Lisa, a potem słowotok pana Hołdysa w wywiadzie z panem Najszubtem. Oboje Państwo mówili dużo o sztuce przez duże S i bardzo wiele o jej formie, kształcie. Z tej kafeolnii wyłowić się dało w obu przypadkach spektakularne prośenie się o kasę. Nie znam się na teatrze, więc nie zajmę się więcej panią Wielką Aktorką. Natomiast pan Hołdys wyjątkowo mnie zirytował, gdyż jał obszczywać nasz zatęchły show-biznes, zamiast robić swoje, czyli nagrywać. Od 11 lat nie wypuścił z siebie nic nowego, stąd moja reakcja na jego zgorzkniałości. Za to wydał z siebie męczące frazy o tym, jakie to złe są polskie radiostacje, media et cetera. W gruncie rzeczy, dla kumatych, nic nowego.

I takie to starcze „popiarydowanie” doprowadziło mnie do złości. Mamy najlepszy Marzec w polskiej muzyce od iks lat. Przykłady: Muchy, Lao Che, Niwea, powrót do formy O.S.T.R.-ego, Fox i jego Box, Raz, Dwa, Trzy, Mitch & Mitch, a zaraz nowy Czesław. Nie ostrygły jeszcze przecież Hey, Gabba Kulka czy Pustki. I oto kiedy naprawdę można w pełni zatracić się w polskim gąszczu muzycznym, Pan Artysta żali się na show-biznes i chce go zmienić, ba!, więcej!, zrewolucjonizować. Czym? – pytam. W wywiadzie przytacza on, a jego skromność granic nie zna, swoje słowa, które swego czasu zdumiały Wojciecha Waglewskiego. Otóż jak spojrzeć na Wągla i Hołdysa od strony artystycznej, to tak, jakby zestawili Gorillaz i Afromental. Wydaje mi się, że można by w to miejsce „przepytać” artystę głodnego, a nie zgorzkniałego. Szkoda nafty! Jeszcze dwa słowa do mojej ulubionej części redakcji. Nie mogę się zgodzić na ilość pochwał, jakie zebrał ostatni album (o nudo wielka!) Petera Gabriela, oraz lekkie pokrzywdzenie Lao Che w ocenach. Chciałbym jeszcze wyrzucić jeden żal. Dlaczego „Przekrój” nic nie napisał o Fever Ray?! Poważne zaniebdanie.

Jarosław Szczepny

Mroczne pytanie

Piszę do Państwa, ponieważ poszukuję odpowiedzi na pytanie, jak zaczynają się kryminały skandynawskie. Osobiście lubuję się jedynie w amerykańskich, toteż wiem, że one zawsze swój początek mają od zabójstwa, ale jak jest z Północą?! Będę wdzięczna za informację. Pozdrawiam

Adrianna Pałka



Od redakcji:

Droga pani, kryminały skandynawskie zaczynają się od tego, że jest ciemno i zimno. A reszta jak w amerykańskich.

Bigelow była czwarta

Pani Małgorzata, jestem czytelniczką „Przekroju”, któremu, jak mi się do dziś wydawało, można zaufać. Z wielkim zdumieniem przeczytałam w nagłówku Pani artykułu o Kathryn Bigelow, że jest pierwszą kobietą reżyserką nominowaną do Oscara. A co z Liną Wertmüller, Jane Campion i Sofią Coppolą? Z moich wyliczeń wynika, że Bigelow była czwarta. Pozdrawiam.

Katarzyna Wejss

Od redakcji: Pani Katarzyno! Lead (czyli wspomniany przez panią nagłówek) do artykułu „Kathryn w krainie testosteronu” („Przekrój” 10/2010) napisany przez Małgorzatę Sadowską brzmiał: „Jest pierwszą reżyserką wyróżnioną przez Gildię Reżyserów Amerykańskich i czwartą zaledwie w 82-letniej historii nagrody nominowaną do Oscara. Kathryn Bigelow udało się osiągnąć w tym zawodzie więcej niż jakiegokolwiek innej kobiecie”. Skrót, w efekcie którego pojawił się błąd, dokonany został bez wiedzy autorki, za co czytelników i Małgorzatę Sadowską przepraszamy.

REKLAMA

PRZEKROJ

UWAGA! Ogłaszamy konkurs na okładkę!

Zaprojektuj okładkę jubileuszowego wydania nawiązującą do 65-letniej tradycji tygodnika, ukazującą „Przekrój” jako mądrą gazetę i piękny przedmiot.

Specjalne wydanie „Przekroju” w formacie XXL ukaże się 20 kwietnia. Projekty można wysłać do końca marca na adres okladka@przekroj.pl. Format: pion 260/350 + spód 5 mm.

Format pliku: pdf. Autor zwycięskiego projektu, poza publikacją, otrzyma

2000 zł

WIĘCEJ INFORMACJI I REGULAMIN KONKURSU NA STRONIE WWW.PRZEKROJ.PL

PORTA DRZWI

siła drewna

Porta KONCEPT z kolekcji 2010

SUPER CENY!
od 545,70 zł*

Kolekcja Porta KONCEPT
dostępna w 23 modelach w 8 kolorach

*Cena brutto zawiera 7% VAT wyłącznie na skrzydła z montażem

Drzwi dostępne wyłącznie w sieci Autoryzowanych Dealerów Porta oraz w ponad 1500 współpracujących z nimi Autoryzowanych Punktach Sprzedaży (APS).

Belchatów Balsa 044 633 24 31 • Białystok AWruk – Stolarz Budowlana 085 653 93 23 • Bielsko-Biała MTB Jasiński 033 816 33 36 • Błonie CENTROBUD 022 731 81 53 • Bolesławice Jawa 075 732 05 24 • Busko Zdrój Fontis 041 378 80 45 • Bydgoszcz Drzwi – Tessa 052 364 67 00 • Bydgoszcz STALREM 052 346 55 23 • Chelm Porto 082 565 28 28 • Czaplinek-Sikory P.P.H.U. M&G GRZEGORZ KOTŁOWSKI 094 375 47 56 • Czechowice Dziedzice MTB Jasiński 032 215 50 49 • Częstochowa BEL – POL 034 324 49 58 • Częstochowa FACHOWIEC 034 360 22 40 • Elk MURBET 087 620 06 20 • Gdańsk BEL – POL 058 301 78 39 • Gdańsk STALREM 058 340 69 50 • Gdynia STOREM 058 668 46 87 • Gdynia WOODCOTE POLAND 058 663 84 00 • Gliwice BEL – POL 032 232 87 58 • Gliwice MAT – BUD 032 331 37 20 • Gorzów Wlkp. BEL – POL 095 722 73 19 • Gorzów Wlkp. STALREM 095 725 03 66 • Grudziądz EKSPOL 056 461 37 78 • Jastrzębie Zdrój HADEX 032 478 81 10 • Jelenia Góra BEL – POL 075 767 83 88 • Kalisz BEL – POL 062 753 67 21 • Katowice BEL – POL 032 252 86 91-92 • Katowice BUDUS Grupa PHMB 032 608 87 87 • Katowice WOODCOTE POLAND 032 202 50 30 • Kielce APOLLOPLAST 041 346 10 11 • Kielce BEL – POL 041 362 68 66 • Kielce FONTIS 041 362 72 41 • Kłodzko STOLPLAST 074 867 46 74 • Kołobrzeg WIK 094 351 64 18 • Koszalin SEZAM 094 342 54 46 • Koszalin TOM – SAN 094 343 54 88 • Kościan EFLI 065 511 95 66 • Kraków BEL – POL 012 417 39 46 • Kraków DREWEX 012 622 88 60 • Kraków HEBAN 012 651 87 62 • Kraków KONSTRUKTOR 012 420 00 12 • Kraków STALREM 012 264 72 25/26 • Kraków TOMZA DW DOMEL 086 215 66 15 • Łódź BEL – POL 042 682 64 67 • Łódź EKOCENTR 042 656 73 34/35 • Łódź MATERIAŁY BUDOWLANE 042 674 82 44 • Łódź STALREM 042 653 51 44/45 • Maków Mazowiecki CENTROBUD 029 717 13 48 • Nowa Sól BEL – POL 068 356 33 20 • Nowy Sącz BOGDANSKI 018 444 24 13 • Nowy Sącz TOMEX 018 444 11 27 • Olsztyn ALTADOOR 089 533 21 07 • Olsztyn D.P. 089 532 02 17 • Opole BEL – POL 077 454 42 33 • Opole WOODCOTE POLAND 077 402 44 40 • Ostrów Wielkopolski INTAR 062 737 51 48 • Płock BUD – MAT 024 268 65 04 • Płock PIK 024 268 99 66 • Póznń BUDOM MARKET 061 859 83 00/23 • Póznń C.B. PROGRESS 061 873 33 00 • Póznń EKO 061 815 03 44 • Póznń STALREM 061 846 08 60-62 • Przemysł MULTI – FORM II 016 678 48 31 • Pszczyna KRONODOM 032 738 77 77 • Radom FACHOWIEC 048 340 03 45 • Radom OKNO – BUD 048 381 17 95 • Rzeszów BOZ 017 850 51 33/34 • Rzeszów PORTO 017 853 27 15 • Rzeszów WEPa 017 864 22 80 • Sanok INSTAL – BUD 013 493 24 11 • Słupsk ROLBUD 059 842 34 95 • Słupsk TOM – SAN 059 842 03 22 • Słupsk WOODCOTE POLAND 059 848 59 75 • Suwałki ALMAT 087 563 16 31 • Szafary TOMEX 018 275 40 64 • Szczecin HIPER – GLAZUR 091 485 64 51 • Szczecin STALREM 091 484 73 99 • Szczecinek KPPD Szczecinek 094 372 95 55 • Świdnica BEL – POL 074 856 38 30 • Tarczyn CENTROBUD 022 727 87 67 • Tarnów TRANSBUD 014 629 80 73 • Toruń DRZWI – TESSA 056 655 92 60 • Toruń MS PROFI 056 660 52 95 • Tychy MULTI – FORM II 032 227 27 27 • Wałbrzych BEL – POL 074 886 95 00 • Wałbrzych SIRBUD 074 666 88 88 • Warszawa CENTROBUD 022 756 72 36 • Warszawa CENTRUM DRZWI 022 651 03 50 • Warszawa SYKOMAT 022 724 35 91 • Warszawa – Janki SYKOMAT 022 720 50 05 • Warszawa – Łomianki TECHNOBUD 022 751 70 41-44 • Warszawa – Piaseczno SYKOMAT 022 750 68 66 • Warszawa – Pruszków FACHOWIEC 022 728 23 78 • Warszawa – Stara Miłosna SYKOMAT 022 773 38 81 • Warszawa – Stare Babice • Warszawa – Włocławek ALSTAL 022 382 41 01 • Warszawa – Żabki SYKOMAT 022 781 55 06 • Wejherowo BEL – POL 058 672 30 51 • Włocławek MAJSTER ATLAS KUJAWY 054 412 66 21 • Wrocław BEL – POL 071 325 27 77 • Wrocław BUDUS Grupa PHMB 071 373 19 90 • Wrocław WOODCOTE POLAND 071 346 79 90-91 • Zamość METBUD 084 639 10 09 • Zielona Góra CeMBE 068 320 33 00

www.porta.com.pl



Sila bezsilnych Ratujemy Kubańczyków przed wyborem „socjalizm albo śmierć”

JULIUSZ URBANOWICZ, Z-CIA REDAKTOR NACZELNEJ

DAWNO NIE WIDZIAŁEM RÓWNIĘ WSTRZĄSAJĄCEGO ZDJĘCIA, CHOĆ NIE MA NA NIM śladu krwi czy przemocy. Wychudzony, wyniszczony fizycznie człowiek z opatrunkiem na szyi po prostu patrzy nam w oczy. Są też jego słowa z wywiadu dla hiszpańskiej gazety „El País”, tak samo stonowane, a jeszcze bardziej wstrząsające: „To dla mnie zaszczyt umierać na oczach społeczności międzynarodowej”. Głodujący w obronie chorych więźniów politycznych Guillermo Farinas nie krzyczy: *J'Accuse!* (Oskarżam!). A jednak oskarża nas, ludzi żyjących w wolnym świecie – o bezczynność wobec zniewolonych i poniżonych Kubańczyków. Oskarża nas słusznie.

FARINAS DAŁ NAM DOŚĆ CZASU NA REAKCJĘ. TERAZ PO PROSTU ROBI SVOJE – DOKŁADNIE to samo, co zrobił tuż przed nim Orlando Zapata Tamayo. Ten drugi już nie żyje, ten pierwszy – gdy pisał te słowa – stracił przytomność i został odwieziony do szpitala. Obaj opozycjoniści rzucili na szalę własne życie. W proteście wobec reżimu, który wsadza ludzi za kraty za przekonania, nazywając ich kryminalistami i zdrajcami. I w poczuciu obojętności świata wobec tego, co wyprawiają na Kubie bracia Castro. Komunizm już dawno zbankrutował w Europie, ale Kubańczycy nadal mają do wyboru tylko „socjalizm albo śmierć” (*socialismo o muerte*). Jak widać, wybierają śmierć. W kubańskim więzieniu głoduje jeszcze kilku innych opozycjonistów. Czy możemy ich uratować? Co mamy zrobić?

WIOSNĄ, DOKŁADNIE 10 LAT TEMU, ROZMAWIAŁEM O TYM Z AIDĄ VALDES SANTANĄ w jej mieszkaniu w Hawanie. Kubańska obrończyni więźniów politycznych (prowadziła też w domu biuro informacji o prawach człowieka i koordynowała działania niezależnych związków zawodowych) nie kryła rozgoryczenia postawą ludzi polskiej Solidarności. Tydzień przed naszym spotkaniem w tym samym mieszkaniu miał miejsce kongres antyreżimowych związkowców. – Byli goście z Europy, nawet z Czech i Węgier. Ale z Polski nikogo. Widocznie jak już sami wygraliście z komuną, to inni przestali was obchodzić, zapomnieliście o wcześniejszych apelach o wspólną walkę. A nam przecież nie chodzi wcale o pieniądze, tylko o moralne poparcie i międzynarodowe uznanie naszej działalności”.

JEJ SŁOWA NADAL SĄ, NIESTETY, AKTUALNE. OD DEKADY NIC SIĘ NIE ZMIEŃIŁO. JAK mamy spojrzeć w oczy Farinasowi? Głosu przedstawicieli polskich władz w obronie praw człowieka od dawna prawie nie słychać. Parlament Europejski wzywa unijne instytucje, by naciskały na zmiany demokratyczne na Kubie. A co zrobić, gdy milczy Sejm, gdy bezczynne są instytucje naszego państwa, z którego tak chcielibyśmy czuć się dumni? Domagajmy się od prezydenta, premiera, marszałka Sejmu (wszyscy są ludźmi Solidarności!), by zareagowali w naszym imieniu. Zasympmy też listami ambasadę Kubę w Polsce, ambasadę Polski na Kubie. Żądajmy wolności dla zniewolonych Kubańczyków. Pokażmy siłę bezsilnych.

Ambasada Republiki Kubę w Polsce: embacuba@medianet.pl; Ambasada RP na Kubie: hawana.amb.sekretariat@msz.gov.pl; prezydent RP: listy@prezydent.pl; premier: kontakt@kprm.gov.pl; marszałek Sejmu: listy@sejm.gov.pl



W cieniu stadionów Oby piłka nie przesłoniła nam prawdziwej wizji przyszłości Polski

ROBERT FIRMHOFFER

KIEDY MICHEL PLATINI OGŁASZAŁ DECYZJĘ O PRZYZNANIU Polsce prawa do współorganizacji mistrzostw Europy w piłce nożnej, nikt z nas nie sądził, że w ten sposób na długie lata został określony kierunek rozwoju naszego kraju.

Przypadek Euro 2012 z pewnością przejdzie do historii jako budujący przykład zgody wszystkich sił politycznych. Zgody na to, że podstawowym celem Polski w początkach XXI stulecia powinno być zbudowanie wspaniałej scenografii dla trwającego 24 dni telewizyjnego widowiska piłkarskiego oraz bazy dla jego uczestników.

Rzecz nie w tym, czy lubimy piłkę nożną. Nie w tym nawet, co sądzimy o działaczach sportowych, którzy znaczną część wolnego czasu spędzają w prokuraturze,

Czy naszym celem powinno być budowanie scenografii dla widowiska trwającego 24 dni?

chuliganach na stadionach i kondycji polskiej drużyny narodowej. Właściwe pytanie brzmi: jak najlepiej wykorzystać strumień pieniędzy, którym dysponujemy dzięki wzrostowi gospodarcemu i funduszom unijnym? A gdyby postawić na nowoczesną edukację, badania naukowe, na innowacje technologiczne, na młodych, świetnie wykształconych ludzi, którzy pozwolą nam powtórzyć sukces Irlandii?

Mamy potężne atuty – rodziców troszczących się o przyszłość swoich dzieci, prężne organizacje pozarządowe pracujące nad wyrównaniem szans dzieci i młodzieży z małych miasteczek i wsi, działania obywatelskie, które wraz z samorządami i uczelniami wyższymi próbują stworzyć sieć nowoczesnych placówek interaktywnej edukacji naukowej.

Pisanie historii alternatywnej jest dość jałowym zajęciem. Ale skoro będziemy mieli już stadiony i kilka autostrad, to może czas pomyśleć o alternatywnej wobec piłkarskiej wizji naszej przyszłości?

Autor jest dyrektorem Centrum Nauki Kopernik, filozofem, publicystą, popularyzatorem nauki, współtworzył i organizował coroczne Pikniki Naukowe

nie zobaczysz nazwy naszej sieci ani naszego logo, a i tak dobrze wiesz, czyja to reklama; to najlepszy dowód na to, że pozycja najpopularniejszego dostawcy mobilnego internetu jest w pełni zasłużona

dziękujemy

PRZEKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile

ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska **ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ:** Juliusz Urbanowicz, Marek Zajac **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Magda Gędziorowska, Piotr Witek **SEKRETARIAT:** Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąchiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wiecek (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Rygiak, Anna Szulc; stale współpracują: Piotr Najstubb, Bogdan Rymanowski **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Jarkowicz, Joanna Wozniczko-Czeczot **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olga Wozniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski; stale współpracują: **ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracują: Ola Salwa, Kaliber 45 **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Władysław Buchner (wicedyktar), Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **FOTODYKTA:** foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Kręzel, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolęk, Marcin Zegarek **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński i Bartek Chaciński **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 55, FAKS 22 525 99 88

PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz **P.O. DYREKTOR WYDAWNICTWA:** Artur Rumiński **PROMOCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski

BIURO REKLAMY „PRZEKROJ”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 16, Elżbieta Smoleń tel. 22 525 99 50, Beata Drogowska tel. 22 525 99 51, Eliza Zyrońska tel. 22 525 99 52, Izabella Cieniuszek tel. 22 525 99 15 **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Elżbieta Maciążek **DRUK:** RR Donnelley **PRENUMERATA:** PRZEKROJ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystribucji tel. 22 525 99 69 **PRZEKROJ SA** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

na podstawie raportu „Rynek telekomunikacyjny w Polsce w 2009 roku” przeprowadzonego przez PBS DGA dla UKE z grudnia 2009

KRÓTKO

MARCIN UJAWNIL NADMIAR KSIĄŻEK

POLSKA W SZANGHAJU

Znów nie spełniamy normy

Kiedys się dowiemy, dlaczego żyliśmy krócej

DO KOŃCA SWOJEGO ŻYCIA sto tysięcy Polaków z Kielc i okolic będzie monitorowanych przez polskich i norweskich naukowców. Badane będą: krew, serce, ciśnienie, tkanka tłuszczowa oraz styl życia (sport, palenie papierosów i inne) osób w wieku (obecnie) 45–64 lata. Naukowcy mają nadzieję, że dowiedzą się, dlaczego Polacy żyją o ponad cztery lata krócej, niż wynosi średnia unijna (78,7 roku). Dwa miliony euro na projekt dał rządowy Polsko-Norweski Fundusz Badań Naukowych. Współpracę samorząd świętokrzyski. – *fieda*

Zły poszedł na wojnę

Egzorcysta spotkał w Watykanie szatana



OSTATNIE SKANDALE seksualne z udziałem księży to dowód, że w Watykanie nie zadowolili się szatanem – twierdzi ojciec Gabriele Amorth, naczelny egzorcysta Stolicy Apostolskiej. – Widzę kardynałów, którzy nie wierzą w Jezusa, i biskupów działających z demonem – oświadczył 85-letni duchowny w dzienniku „La Repubblica”. Dodaje, że Antychryst wypowiedział wojnę Watykanowi i że Benedykt XVI popiera walkę, którą toczy egzorcysta. Według kościelnych danych szatan nie wygnał dotąd zakonników z 70 tysięcy osób. – *rk*

Z rozmachem o zamachach

Tak wielkiej produkcji Kuba nie widziała

„TEN, KTÓRY MUSI PRZEŻYĆ” to kubański serial o zamachach na Fidela Castro. Produkcja trwała trzy lata, w ośmiu odcinkach wystąpi 243 aktorów i ponad 800 statystów. Kubańczycy twierdzą, że Castro usiłowało zabić 638 razy, Senat USA doliczył się 30 prób, na przykład za użyciem eksplodującego cygara, zatrutej chusteczki, nasączonego prątkami gruzlicy kombinezonu nurka oraz atrapy ślimaka wypełnionej ładunkiem wybuchowym i umieszczonej w morzu tam, gdzie Castro łowił ryby. Serial pokazuje wybrane próby. – *syl*

Materializm usprawiedliwiony

Azjaci muszą myśleć o pieniądzu

NA PYTANIE: „CZY PIENIĄDZE są najlepszą oznaką życiowego sukcesu?”, 44 procent Polaków ankietowanych przez Reuters/Ipsos odpowiedziało, że tak. Daje nam to 10. miejsce w rankingu materialistów. Przodują Koreańczycy i Chińczycy z wynikiem 69 procent, za nimi są Hindusi i Japończycy. Nic dziwnego, utrzymanie jest w Azji kosztowne. Zwykle pracuje tylko mężczyzna, a płacić trzeba niemal za wszystko – od nauki na uniwersytecie po leczenie, emeryturę zaś są niskie. Na 23 badane narody ostatnie miejsca zajęli Kanadyjczycy, Meksykanie i Szwedzi. – *rk*



Wycięli nam pawilon

Tym oto budynkiem Polska będzie kusić gości EXPO 2010 w Szanghaju. – W środku trwają jeszcze prace, ale na otwarcie 1 maja pawilon będzie gotowy – mówi „Przekroju” Dariusz Wojtaszek z Państwowej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości. Elewacja przypomina wycinankę. – Mieliliśmy zaprojektować coś, co będzie się kojarzyć Chińczykom z folklorem i Chopinem – wyjaśniali nam na miejscu autorzy projektu Natalia Paszkowska i Marcin Mostafa. – Chcieliśmy uniknąć kiczu i chyba nam się to udało. Przynajmniej taką mamy nadzieję – dodają. My też ją mamy. – *raf*

PRAWO IGOR RYCIĄK

Mniej chodnika, więcej jezdni

Sejm zdecyduje, czy w czasie gołoledzi rower może ślizgać się między pieszymi

JEDEN ZAPIS W PROJEKCIE NOWELIZACJI kodeksu drogowego brzmi rewolucyjnie – podczas ulewy, opadów śniegu, silnego wiatru lub gołoledzi rowerzysta mógłby jeździć każdym chodnikiem. Obecnie może wjechać tylko na szeroki chodnik poza miastem lub w mieście, gdy na rowerku obok jedzie z nim dziecko. Projekt jest po konsultacjach społecznych i międzyresortowych. Ma poparcie organizacji działających na rzecz transportu rowerowego.

Autorką zapisu o śniegach i ulewach jest posłanka Ewa Wolak (PO), szefowa Parlamentarnej Grupy do spraw Rozwoju Turystyki Rowerowej. Czy musi się ona rozwijać także na chodnikach? – Ścieżek rowerowych w polskich miastach jest tyle, ile jest – tłumaczy posłanka Wolak. – I szybko się to nie zmieni. Chodzi o ochronę życia rowerzystów, a mówimy o sytuacjach wyjątkowych.

Przepis nakazywałby rowerzystę jechać powoli i ostrożnie, ale to nie przekonuje Ministerstwa Infrastruktury, które z urzędu opiniowało projekt. „W ekstremalnych warunkach pogodowych zagrożenie dla bezpieczeństwa rowerzysty występuje również na chodniku

– czytamy w komentarzu resortu, który podkreśla, że taka sama śnieżycą jak na jezdni hulać będzie obok, a wicher nie ucichnie, gdy rower wjedzie na trotnar. – Przepis ten nie poprawia bezpieczeństwa rowerzysty” – podsumowuje ministerstwo.

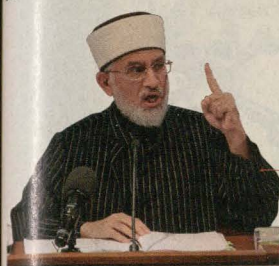
Czy zwiększy zagrożenie pieszych? W Komendzie Głównej Policji powiedzieliśmy, że w roku 2008 (zestawienia za rok ubiegły nie są jeszcze gotowe) z powodu nieustąpienia pierwszeństwa pieszemu rowerzyści spowodowali 68 wypadków, w których rannych było 75 osób.

– Dlatego chodniki nie są dla rowerów – podkreśla Robert Spyrzyński, sekretarz generalny Stowarzyszenia na rzecz Praw Pieszych (organizacji tej nikt podczas konsultacji społecznych o zdanie nie pytał). – Oczywiście, jeśli gdzieś indziej miałyby zginąć, to niech już jedzie i po chodniku. Ale boję się nadużywania przepisu. Przy złośliwej interpretacji trotnary staną się ścieżkami rowerowymi.

Pracę nad zmianami w kodeksie drogowym Sejm rozpoczyna w tym tygodniu.

Fatwy

OGŁOSZENIE ANTYTERRORYSTYCZNE



MUHAMMAD TAHIR UL-QADRI JEST szanowanym duchownym muzułmańskim, a jego ruch o nazwie Minhaj-ul-Quran ma wpływ na całym świecie. Qadri podczas konferencji prasowej w Londynie ogłosił, że potępia terroryzm i zabijanie w imię Allaha. Nie zrobił tego dotąd żaden tak wysoki rangą uczony w Koranie. Taka fatwa, czyli wykładnia teologiczno-prawna nauk Allaha, nie jest wiążąca, ale miewa wymierne skutki. Na przykład fatwa ajatollaha Cho-

meiniego z 1989 roku skazywała na śmierć Salmana Rushdiego, autora „Szatańskich wersów”, zaś Osama ben Laden dwa razy ogłaszał fatwę, w której twierdził, że Koran nakazuje zabijać Amerykanów, dopóki popierają Izrael. W 2005 roku koalicja brytyjskich organizacji muzułmańskich popierała sprawców zamachów w londyńskim metrze, ale nie zarzucała im zdrady islamu. Teraz niektórzy członkowie koalicji oskarżają Qadriego o działalność

rozłamową. Na Wyspach trwa bowiem wojna o umysły młodych muzułmanów, których werbuje Al-Kaida. Nigeryjczyk, który w końcu 2009 roku próbował wysadzić się w samolocie lecącym z Amsterdamu do Detroit, szkolili się w jednym z londyńskich meczetów. Dlatego rząd zadbał o medialną oprawę fatwy Qadriego, a duchowny zwrócił się do rodziców, by informowali władze o podejrzanym działaniu dzieci. Jeśli tego nie zrobią, zgrzeszą przeciwko Allahowi. – *mac*

Małe śledztwo

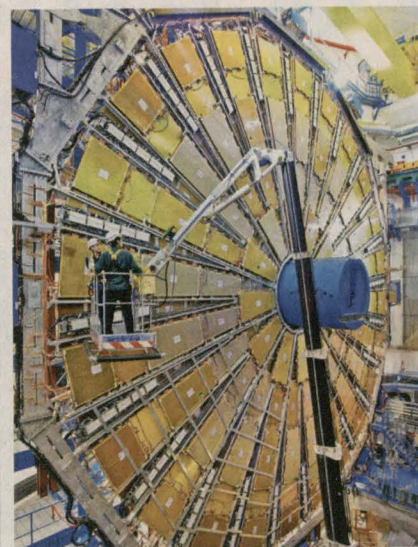
Tajemnice mapy długów

NAJWIĘCEJ PATOLOGICZNYCH DŁUGÓW, CZYLI TAKICH, KTÓRE POWINNY BYĆ SPŁACONE 60 dni temu lub wcześniej, mają mieszkańcy Olsztyna (10 procent) i Katowic (9,1 procent) – wynika z najnowszych danych Biura Informacji Gospodarczej „InfoMonitor”, które prowadzi bazę zadłużonych. Dlaczego dwa tak różne miasta mają taki sam problem? – Też nas to dziwiło – przyznaje doktor Przemysław Barbrich, doradca prezesa Związku Banków Polskich. – Imamy swoją interpretację – zdradza. Zestawienie powstaje według bazy PESEL, czyli oficjalnych meldunków dłużników. Ale z Olsztyna w ostatnich latach wyjechało wiele osób szukających pracy, które nie zmieniły adresu zameldowania. – Są na dorobku, zaciągają długi – mówi Barbrich. – Zaś katowiczanie, przyzwyczajeni do życia na wysokiej stopie, po załamaniu się górnictwa kontynuują ten styl, ale na kredyt – tłumaczy. Listę zamykają najrzetelniejsi: tylko trzy procent mieszkańców Rzeszowa ma patologiczne długi. Interpretacja? To miasto solidnych tradycjonalistów, w wyborach zwykle zwycięża tam prawica. – *iggy*

REKLAMA

Eurotechnika

ZDERZONY Z RZECZYWISTOŚCIĄ



Zakopany pod Genewą zderzacz hadronów jest piękny, wielki, drogi i awaryjny

PO 14-MIESIĘCZNYM REMONCIE ZNÓW DZIAŁA zderzacz hadronów. Ale przez najbliższe półtora roku największa i najdroższa maszyna świata będzie pracować na pół gwizdka. Potem stanie na rok, bo trzeba poprawić jej konstrukcję. Poprzednie naprawy wymusiła awaria, która nastąpiła dzień po starcie eksperymentu we wrześniu 2008 roku. Głównym celem projektu jest zderzenie strumieni cząstek z mocą 14 teraelektronowoltów (TeV), co ma odtworzyć warunki Wielkiego Wybuchu. Początkowo zakładano, że maszyna uzyska tę moc w 2009 roku, potem – że w 2010 roku. Ale do kolejnego remontu nie będzie ich zderzać mocniej niż z siłą 7 TeV. Co się stanie, jeśli pechowy zderzacz nigdy nie osiągnie 14 TeV? – Na pewno byłoby to wielkie rozczarowanie – odpowiada Barbara Warmbein z biura prasowego Europejskiego Ośrodka Badań Jądrowych (CERN) w Genewie. Do dziś na potencjalne „wielkie rozczarowanie” wydano 6,8 miliarda euro. CERN tłumaczy, że zderzacz jest właściwie prototypem i nie wszystko dało się przewidzieć. – *mac*

Kayah & Royal Quartet

AGORA PREZENTUJĄ NOWY ALBUM

RASA KONCERTOWA

WARSZAWA	11.04	KRAKÓW	16.04	RZESZÓW
KIELCE	13.04	KONIN	21.04	WROCŁAW
LUBLIN	14.04	POZNĄ	22.04	KATOWICE
ŁÓDŹ	15.04	ZIELONA GÓRA	06.05	CZĘSTOCHOWA
			07.05	GDAŃSK

BILETY: na WWW.TICKETONLINE.PL,

Salonach Empik oraz w kasach sal koncertowych

SZCZEGÓŁY: WWW.KAYAH.PL

Kayah & Royal Quartet





HAZARD, CZYLI ZABILI GO I UCIEKŁ

PO DWÓCH MIESIĄCACH DZIAŁANIA USTAWY HAZARDOWEJ JEST JUŻ JASNE – ZYSKAŁO PODZIEMIE I ZAGRANICZNE FIRMY BUKMACHERSKIE. **TRACI PAŃSTWO I ZWYKLI OBYWATELE**, KTÓRZY BANKRUTUJĄ PRZEZ NADGORLIWOŚĆ POLITYKÓW

– MAM ZAMIAR BEZ WIĘKSZEGO ROZGŁOSU w najbliższym czasie się zabić – mówi spokojnym tonem Jacek K. spod Krakowa. Zaczęło się od maszyn ustawiających w rzędy wisienki lub banany, do których taksówkarze przez całą dobę wrzucali monety z napiwków. Tak oto jednoręcy bandyci dostarczali godziwego zarobku właścicielowi kawiarni i jego trzem pracownikom. Ale K. właśnie musiał wszystkich zwolnić, w tym barmankę – samotną matkę z dwójką dzieci. Maszyny zabrali celnicy, więc lokal świeci pustkami. Na jego uruchomienie K., który utrzymuje żonę i trójkę dzieci, wziął pokątny kredyt. Teraz nie jest w stanie spłacać rat. Bankrutuje.

– Państwo mogło sobie zlikwidować hazard, jeżeli go nie lubi – tłumaczy Jacek K. – Ale ja mam tylko jedno podstawowe pytanie: dlaczego zrobiło to w tak niecywilizowany sposób?

Podobne pytanie zadaje sobie około stu tysięcy osób w Polsce*, w mniejszym lub większym stopniu związanych z branżą hazardową. To nie tylko drobni przedsiębiorcy, ale na przykład także piłkarskie kluby pierwszoligowe, którym grozi upadek, bo ich sponsorami były firmy bukmacherskie.

Część poszkodowanych już szuka sprawiedliwości przed sądami. A te wydają orzeczenia, z których czarno na białym wynika, że państwo wobec branży hazardowej działa bezprawnie.

Pytanie Jacka K. współbrzmi też z opiniami wielu fachowców – jasne, że trzeba walczyć z nałogiem, którym dla wielu stał się hazard. To prawda, że w tym biznesie nie brakowało też ciemnych interesów. Ale przecież bez względu na to, o jaką branżę chodzi, państwo nie powinno ulegać przesadnym emocjom. Za taki błąd płacić będzie brakiem

zaufania ze strony obywateli. A także pieniędzmi z budżetu, gdy przyjdzie do wypłaty odszkodowań.

Ścieżka na skróty

– To bardzo poważna batalia, którą rząd i koalicja wytaczają mrocznym środowiskom związanym z hazardem – oznajmił jesienią zeszłego roku Sławomir Nowak, wtedy szef gabinetu politycznego Donalda Tuska, dziś wice-szef klubu Platformy Obywatelskiej. – Trzeba radykalnie ograniczyć hazard w Polsce – wtórował mu Jarosław Kaczyński, prezes Prawa i Sprawiedliwości. – Idealne byłoby jego całkowite zakazanie – precyzował.

W atmosferze rozgorączkowania, która połączyła na co dzień zwaśnionych polityków, ustawę hazardową przepchnięto przez parlament szybką ścieżką legislacyjną. Tak szybko, że konsultacje społeczne trwały dwie weekendowe doby – od piątku wieczorem do niedzieli. A zwykle zabierają miesiące. Dlaczego w tym wypadku procedura trwała tak krótko? Premier wyjaśnił to publicznie tuż przed zakończeniem prac rządu nad projektem: – Musimy się spieszyć, by nie sprowokować działań lobbujących. Minister Michał Boni dodawał: – Trzeba to zrobić szybko, choćby po to, żeby na żaden nowy automat nie uzyskano już zezwolenia.

Platforma chciała także wykazać się jako partia bezwzględnie pleniąca wszelkie zło. Wcześniej bowiem, 1 października, „Rzeczpospolita” ujawniła stenogramy rozmów posła PO Zbigniewa Chlebowskiego z biznesmenem Ry-

szardem Sobiesiakiem. Miało z nich wynikać, że branża hazardowa mogła liczyć na korzystne dla siebie znowelizowanie ustawy o grach i zakładach wzajemnych.

Kłopot w tym, że w rozmowach podsłuchanych przez CBA chodziło o zapisy, które sprzyjałyby właścicielom automatów o wysokich wygranych. Tymczasem 10 listopada Sejm uchwalił ustawę hazardową (tak naprawdę antyhazardową), która uderzała głównie... w automaty o niskich wygranych (jednorazowo do równowartości 15 euro).

Ustawa weszła w życie błyskawicznie, już 1 stycznia 2010 roku. Wprowadziła głównie zakazy, na przykład reklamowania firm bukmacherskich. Do turniejów ograniczona została gra w sportowego pokera, którego ku zdumieniu tysięcy graczy uznano za grę losową. Poza tym nowe zezwolenia na prowadzenie punktów z automatami o niskich wygranych nie są wydawane, a stare nie są przedłużane. W ten sposób do 2015 roku znikną wszystkie maszyny, które nie stoją w kasynach.

Robert Gwiazdowski, prawnik i ekonomista, ekspert z Centrum imienia Adama Smitha, ocenia krótko: – Legalne dotąd plany biznesowe i życiowe wielu obywateli legły w gruzach w ciągu kilku tygodni.

Dlaczego właścicielom automatów nie dano szansy na przygotowanie się do zmiany prawa? – Bo ta branża, w dużym stopniu przestępcza, przez lata omijała prawo na wiele sposobów – wyjaśnia nam Andrzej Halicki, rzecznik Klubu Parlamentarnego PO, gorący zwolennik ustawy w obowiązującym dziś kształcie. Kiedy pytamy, skąd →

To szacunkowe dane Izby Gospodarczej Producentów i Operatorów Urządzeń Rozrywkowych. Sama branża zatrudniała pod koniec 2009 roku około sześciu tysięcy osób. Do tego dochodzą właściciele i pracownicy 27 tysięcy lokali, w których ustawiono maszyny, oraz producenci maszyn, twórcy oprogramowania do automatów i wykwalifikowani technicy

→ poseł wie, że właściciele jednoręki bandytów związani są z półświatkiem, polityk przyznaje, iż nikt nie ma twardych dowodów. – Mamy domniemania – zapewnia.

Gdy poprosiliśmy o komentarz Ministerstwo Finansów, poradcono nam, by odpowiedź szukać w uzasadnieniach prawnych publikowanych na stronie resortu. Na uwagę, że już ich szukaliśmy, ale w większości nie odnoszą się one do naszych wątpliwości, urzędniczka z wydziału prasowego oświadczyła, że pytania prześle ekspertom pracującym w odpowiednich departamentach: – Ale proszę nie liczyć, że odpowiedzą w tym tygodniu. Mają mnóstwo takich spraw.

Gangster w roli eksperta

Od 2003 roku, gdy zliberalizowano prawo, a więc jednoręcy bandyci mogli w Polsce działać legalnie, do różnych lokali trafiło 55 tysięcy urządzeń. Pan Automat z miasta Y (za żadne skarby nie chce ujawniać nazwiska ani danych umożliwiających identyfikację) jest współwłaścicielem firmy, która powstała siedem lat temu, by czerpać zyski właśnie z automatów o niskich wygranych.

Zanim współwłaściciele – pan Automat oraz pewien inżynier, przedsiębiorca budowlany i absolwent studiów ekonomicznych – zarejestrowali spółkę, musieli udowodnić urządnikom, że nigdy nie byli karani, nie mieli na pieńku z fiskusem, a ich dotychczasowe dochody pochodzą z legalnych źródeł. Rzeczywiście, pieniądze inwestowali niemałe – kupowali 600 maszyn, jedna kosztuje około 30 tysięcy złotych.

Sąd uznał, że celnicy nie mają żadnych kwalifikacji do oceniania oprogramowania maszyn. Dziwił się też zatrzymaniom automatów bez polecenia prokuratora

Rok trwało kompletowanie potrzebnych papierów, w tym wymaganych przez Ministerstwo Finansów badań technicznych automatów, które wydawały upoważnione placówki badawcze, głównie politechniki. Certyfikowane maszyny stały w barach, klubach, kolekturach Lotto, a nawet w warzywniakach i punktach z używaną odzieżą. Ich właściciele dostawali połowę miesięcznych zysków. Średnio wychodziło od tysiąca do dwóch tysięcy dla każdego.

W ciągu siedmiu lat pan Automat przechodził w sumie kilka tysięcy kontroli. Celnicy (bo to oni sprawują w Polsce nadzór nad automatami o niskich wygranych) sprawdzali, czy maszyny mają pełną dokumentację i nienaruszone plombi, czy rzeczywiście wypłacają grającym niskie wygrane. Przez te wszystkie lata celnicy dopatrzili się w firmie Automata jednego uchybienia – jedno urządzenie nie było opatrzone obowiązkową naklejką „Dozwolone od lat 18”.

Tymczasem jesienią 2009 roku Automat i jego koledzy usłyszeli z ust samego premiera, że jako posiadacze jednoręki bandytów

sami są przestępcami. – Dowiedziałem się, że należę do szarej strefy, piórę brudne pieniądze. I że największym ekspertem w dziedzinie automatów jest dla polskiego rządu gangster Masa – denerwuje się Automat i przypomina, że od 2003 do 2009 roku żadnemu z dokładnie stu operatorów obsługujących w Polsce jednoręki bandytów nie wytoczono ani jednej sprawy karnej.

– A przecież wiadomo, że byli wielokrotnie przeświadczeni przez wszelkie możliwe służby – od skarbówki po ABW – wyjaśnia Marek Czarkowski, członek Stowarzyszenia na rzecz Promowania Odpowiedzialnej Gry oraz autor wydanej w 2008 roku książki „Wielka kumulacja”, która opowiada o kulisach rodzimego hazardu. Czarkowski zapewnia, że poza nielicznymi i najczęściej już wypienionymi przez wymiar sprawiedliwości nadużyciami branża jednoręki bandytów to ludzie, którzy gangsterów znają tylko z filmów.

Mimo to większość firm podobnych do przedsiębiorstwa, które prowadzi pan Automat, zawiesiła działalność. Zgodnie z nową ustawą maszyny zostały bowiem obłożone wyższym podatkiem – dwa tysiące złotych miesięcznie od urządzenia zamiast – jak wcześniej – 180 euro (700 złotych). Część jednoręki bandytów już wycofano, bo wygasła na nich koncesja.

Służba w akcji

Sam Automat w ciągu ostatnich kilku miesięcy stracił ponad połowę maszyn jeszcze z innego, trzeciego powodu. Celnicy po prostu je za-

brali, jak Jackowi K., właścicielowi kawiarni, który teraz myśli o samobójstwie.

Służba celna „w ciągu pierwszych dwóch tygodni grudnia przeprowadziła 4295 kontroli rynku automatów o niskich wygranych w skali całego kraju – chwali się resort finansów w styczniowym komunikacie. – W ponad 1700 przypadkach stwierdzono nieprawidłowości. Poza kontrolą rodzaju prowadzonej działalności służba celna sprawdziła także 371 lokali z automatami pod kątem zweryfikowania sprawności urządzeń do gry. W 296 obiektach stwierdzono uchybienia i nieprawidłowości. Zajęto łącznie 466 automatów, szczególnie z uwagi na zaprogramowanie automatów w sposób umożliwiający grę na wyższe stawki niż określone ustawą”.

Ciekawe tylko, jak to możliwe, że ci sami celnicy, którzy teraz rekrutują maszyny, jeszcze kilka miesięcy temu uznawali, iż urządzenia są w porządku. I mieli wówczas rację, bo przecież automaty miały i wciąż mają wszystkie wymagane badania techniczne oraz certyfikaty, a poza tym widnieją w oficjalnym rejestrze resortu finansów.



– Styczniowy komunikat brzmi imponująco – ironizuje Krzysztof Budnik, adwokat z Wrocławia. – Szkopuł w tym, że celnicy nie mieli prawa rekwirować automatów. Izba Celna nie może podważać prawomocnych opinii technicznych jednostek powołanych przez Ministerstwo Finansów.

Resort jest innego zdania: – W wypadkach niecierpiących zwłoki celnicy mają prawo do zatrzymania rzeczy mogących stanowić dowód w sprawie – wyjaśnia Sylwia Stelmachowska z Wydziału Prasowego Ministerstwa Finansów. – Ponadto automat może być zabrany jako zabezpieczenie ewentualnych kar, jeżeli jest podejrzenie, że złamano ustawę hazardową.

Powtórzmy jednak pytanie: dlaczego celnicy, kontrolując te same maszyny z nienaruszonymi plombami (co wyklucza jakiegokolwiek przy nich majstrowanie i podkręcanie wygranych), teraz uznają je za trefne? Automaci nie odpowiadzi nie znają, bo celnicy, zabierając sprzęt, nie mają w zwyczaju się tłumaczyć. Używają tylko sformułowania wytrychu: „Podejrzenie popełnienia przestępstwa”. Zdarza-

ło się jednak, że pretekstem do zabrania jednoręki bandyty było to, iż urządzenie stało o 10 centymetrów od miejsca, w którym powinno być umieszczone zgodnie z zezwoleniem.

Tymczasem pod koniec lutego Sąd Rejonowy w Zwoleniu, który rozpatrywał zażalenie na zatrzymanie maszyn, potwierdził, że celnicy nie mają kwalifikacji do oceniania oprogramowania automatów zatwierdzonych do użytku przez bądź co bądź pracowników naukowych. Sąd dziwił się też sposobowi zatrzymania urządzeń – bez polecenia prokuratora.

Strażak też się troszczy

Podobne orzeczenia jak w Zwoleniu zapadły między innymi przed sądami w Sanoku, Szczecinie i Rzeszowie. Jakie mogą być ich skutki? – Przedsiębiorcy, którym bezzasadnie odebrano źródło przychodów, mogą domagać się odszkodowań – wyjaśnia mecenas Budnik. – Za parę tygodni zatrzymane automaty będą masowo wracały do właścicieli – prorokuje Radek Popiel, rzecznik Izby Gospodarczej Producentów i Operatorów Urządzeń Rozrywkowych, która zrzesza 80 procent firm z branży.

Jednak zdaniem posła PO Andrzeja Halickiego wyroki sądów potwierdzają jedynie tezę, że stare prawo było kiepskie. – Przepisy, które obowiązywały do czasu wprowadzenia ustawy,

zatem również sposób, w jaki automaty były legalizowane, do dziś odbijają nam się czkawką – uważa Halicki. – Nie stworzono właściwego systemu oceny i kontroli maszyn, dlatego dziś celnicy mają kłopoty.

Wyroki nie zmniejszają jednak zapachu celników, którzy otrzymują wsparcie kolejnych instytucji. Na początku marca w Legnicy do kontroli lokali z automatami włączyła się Państwowa Inspekcja Pracy. Sprawdzano jednak nie urządzenia, ale sposób zatrudnienia ludzi. Ministerstwo Finansów tłumaczy, że takie kontrole prowadzone są w trosce o osoby przebywające w lokalach. Dlatego Inspekcji asystują... policja, strażacy i inspektorzy budowlani.

Unia nic nie wie

Tu nasuwa się oczywiście inna hipoteza – antyhazardowy amok polityków rozszerza się na niższe szczeble, nawet państwowe spółki. Dobrze wie o tym Artur F., z zawodu historyk, który trzy lata temu przejął mocno zadłużony bar na dworcu w Nowym Sączu, a wraz z nim utalentowanego szefa kuchni po pięćdziesiątce. Dzięki automatom bar zaczął przynosić zyski. W najlepszym okresie historyk zatrudniał sześć osób. Do czasu gdy w ubiegłym roku na fali politycznej gorączki PKP nagle wystąpiły przeciw F.

– Powiedziano mi wprost, że jeśli nie usunę maszyn, zerwą z mną umowę najmu – opowiada przedsiębiorca. Nie usunął. PKP dotrzymało słowa. Dlatego F. właśnie zamyka lokal. Bez jednoręki bandytów nie jest w stanie utrzymać baru ani pracowników. Najbardziej żał mu kucharza, który w tym wieku szanse na znalezienie pracy w Nowym Sączu ma równe zero. Nasz rozmówca ma już inne zajęcie. Zatrudnił się w muzeum. Píše też pracę naukową na temat faszyzmu.

– Mam szczęście, ale większość automaciarzy po wprowadzeniu ustawy wyładowała na bruku – mówi F. – Wielu z nich ma ogromny żal do państwa, wciąż nie rozumieją przyczyn, dla których zostali tak okrutnie ukarani.

Ale zdaniem Andrzeja Halickiego negatywne skutki społeczne ustawy są znacznie mniejsze od tych, które nastąpiłyby, gdyby ustawy nie wprowadzono. – Mielśmy do czynienia z plagą jednoręki bandytów, która sprawiała, że coraz więcej Polaków uzależniało się od hazardu – powtarza jak mantrę polityk.

– To wszystko zakrawa na groteskę, choć przedsiębiorców nie śmiesz – upiera się Robert Gwiazdowski, dodając, że także ze strony Brukseli grożą Polsce kary finansowe i kolejne odszkodowania dla przedsiębiorców. W styczniu bowiem Izba Gospodarcza Producentów i Operatorów Urządzeń Rozrywkowych zainteresowała ustawą hazardową wiceszefa Komisji Europejskiej Güntera Verheugena, który – jak oznajmił – analizuje teraz, czy polskie przepisy nie naruszają unijnych.

– Naruszają – zarzeka się mecenas Budnik. – Jeszcze na etapie projektu zmian Polska powinna zawiadomić Unię Europejską →

SITA.pl
Technika dla języka

Wykorzystaj odkrycia naukowe

prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

ANGIELSKI

ENGLISH

NIEMIECKI

DEUTSCH

FRANCUSKI

FRANÇAIS

HISZPAŃSKI

ESPAÑOL

WŁOSKI

ITALIANO

Nowy język z przyjemnością

Swobodna rozmowa w zakresie najczęściej używanych słów i zwrotów gwarantowana już po 44 godzinach nauki systemem SITA.



Urządzenie SITA pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka (799 zł).

Rabat 200 zł na urządzenie przy zakupie czterech poziomów kursów

Kursy językowe SITA

Specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty (229 zł za jeden poziom kursu).

	PODSTAWOWY		ŚREDNIO ZAAWANSOWANY	
	poziom 1	poziom 2	poziom 1	poziom 2
angielski	☐	☐	☐	☐
niemiecki	☐	☐	☐	☐

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl 22 636 90 91

Platne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca. Urządzenie posiada 24. miesięczną gwarancję. Dla dobra naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz kursów, dostarczonych wysyłkowo, w ciągu 14. dni. Urządzenie prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gdy jesteście Państwo przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odesłamy pieniądze. **PRZEKRÓJ**

SITA Sp. z o.o.
Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3
01-022 Warszawa

www.sita.pl



→ o planach wprowadzenia nowych rozwiązań w dziedzinie hazardu. To tak zwana notyfikacja. Ale Polska tego nie zrobiła.

Dlaczego? – Ustawa nie podlegała procedurze notyfikacji, bo nie zawiera przepisów technicznych – wyjaśnia nam Sylwia Stelmachowska z resortu finansów. I dodaje, że koordynatorem krajowego systemu notyfikacji nie jest minister finansów, lecz gospodarki, a ten nie zgłosił żadnych zastrzeżeń.

To nieprawda, bo resort gospodarki aż sześciokrotnie upominał Ministerstwo Finansów, by w związku z ustawą wypełniło formularz notyfikacyjny. Powód? Zdaniem resortu gospodarki ustawa zdecydowanie zmienia przepisy techniczne dotyczące funkcjonowania gier hazardowych w Polsce. Podobnie swoich przepisów delegalizujących automaty do gry nie notyfikowała Grecja. Dlatego kraj ten od ubiegłego roku płaci 32 tysiące euro kary za każdy dzień zwłoki w procedurze uzgodnienia z Brukselą ustawy.

Tamtejszą branżę hazardową, której udało się wygrać z państwem, reprezentował Vassilis Akritidis z międzynarodowej kancelarii Hammonds. Dziś klientem tego prawnika jest polska izba gospodarcza właścicieli automatów. Akritidis zapewnia, że sprawę znowu wygra, bo ustawa zawierająca nowe definicje gier hazardowych, a także nowelizujące przepisy w innych ustawach jest – do momentu zatwierdzenia przez Komisję Europejską – po prostu nielegalna.

Kluby w desperacji

Kłopot z notyfikacją odnosi się do trybu wprowadzenia ustawy. Jednak i same zapisy uderzają daleko od celu, który obrali sobie politycy. Część nowych przepisów na przykład rozbija w pył umowy zawarte między klubami sportowymi a bukmacherami. Ustawa zakazuje bowiem tym pierwszym reklamować te drugie. Tyle że najwięcej tracą nie bukmacherzy, ale drużyny piłkarskie.

Na przykład 4 marca z powodu skutków ustawy hazardowej za porozumieniem stron rozwiązano umowę między bukmacherską firmą Unibet a pierwszą ligą piłki nożnej (to 18 klubów dawnej drugiej ligi stanowiących zaplecze ekstraklasy). Firma była sponsorem tytularnym, za nazwę Unibet Pierwsza Liga wykładała kilkadziesiąt milionów złotych rocznie.

– Do nas po podziale trafiało z tego niewiele – mówi „Przekroju” Sylwiusz Mucha-Orliński, prezes pierwszoligowego Znicza Pruszków. – Ale Unibet współfinansował transmisje telewizyjne, dzięki czemu kluby mogły łatwiej znaleźć sponsorów i liczyły sobie więcej za reklamy wokół stadionu.

Wycofanie się Unibetu i związane z tym zmniejszenie wpływów spowoduje u większości klubów pierwszej ligi uszczuplenie budżetu nawet o jedną trzecią. Oszczędności na zawodnikach podstawowego składu to ostateczność. Najpierw obetnie się wydatki na szkole-

nie młodzieży, obsługę medyczną, zwolni się specjalistów dbających o murawę.

Przez ustawę hazardową także dwa kluby ekstraklasy, Lech Poznań i Wisła Kraków, musiały zrezygnować ze współpracy ze swoimi głównymi sponsorami. – Dokładnej kwoty nie podam, ale mówimy o milionach złotych – informuje rzecznik Wisły Adrian Ochalik.

W innych źródłach udało nam się dowiedzieć, że chodzi o prawie jedną piątą budżetu klubu, a ten „Przegląd Sportowy” szacuje na 35 milionów złotych. Wisła Kraków szuka więc w pośpiechu nowego sponsora, bo bez znaczącego dopływu gotówki mistrz Polski i lider ekstraklasy może zapomnieć o udanym występie w europejskich pucharach.

Talerz jako pralnia

Tymczasem większość firm bukmacherskich, z którymi rozwodzą się kluby, oferuje poza zakładami sportowymi gry wirtualne – w sieci. Za realne pieniądze. Środowisko graczy obiega niedawno informacja o mieszkańcu Warszawy, który 31 stycznia 2010 roku wygrał przez Internet w Texas Hold'em, sportową odmianę pokera, aż 344 tysiące dolarów.

Bo zwykli ludzie mimo delegalizacji hazardu internetowego wciąż grają. Zwłaszcza że sieciowe zakazy, łącznie z zapowiadającym przez rząd blokowaniem hazardowych stron, może obejść niemal każdy. Prosty Virtual Private Network (wirtualna sieć prywatna) pozwala na połączenie w sieć komputerów, które są oddalone od siebie nawet o tysiące kilometrów. Polski użytkownik VPN łączy się z serwisem pośrednio, przez komputer ustawiony na przykład w Londynie. Instytucja monitorująca zobaczy tylko połączenie z brytyjskim komputerem. Ustawa nie tu nie wskóra.

W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” minister Boni zapytany o hazard w Internecie

Monitorowanie przelewów za grę w Internecie nic nie da. Każdy może otworzyć sobie konto w zagranicznych bankach online

stwierdził, że „to patologia, wprowadza wiele zła. Trzeba nie tylko zdecydować o tym, że to jest nielegalne, ale też stworzyć narzędzia do egzekwowania tego zakazu. Chcemy monitorować nielegalne przelewy związane z grami oraz ingerować w takie działania. To już rola odpowiednich służb finansowych”. Niestety, monitorowanie przelewów nic nie da. Każdy może wyjechać z Polski i otworzyć konto w zagranicznych bankach online (w Austrii jako adres wystarczy podać dane hotelu), choć dużo popularniejsza jest metoda na „aukcję”. Mieszkaniec Polski wystawia w serwisie aukcyjnym talerz upamiętniający 30-lecie PRL. Zagraniczny niby-kolekcjoner kupuje

go za zaskakująco wysoką kwotę. Gracz zgłasza zysk w urzędzie skarbowym, płaci dwa procent podatku od czynności cywilnoprawnej i bez trudu legalizuje dochody z hazardu.

Pytani przez nas użytkownicy internetowych serwisów przyznają, że nową ustawą wcale się nie przejmują. Bo tak naprawdę nie mają czym. Tu rodzi się pytanie, czy ustanawianie zakazów prawnych, których przestrzegania nie jesteśmy w stanie skutecznie egzekwować, też nie stwarza patologii. A przy okazji nie ośmiesza samego państwa.

Za to do śmiechu z pewnością nie jest tym, którzy w pokera Texas Hold'em grali podczas turniejów realnych, nie wirtualnych.

– Teraz zawodnicy muszą płacić 25 procent podatku od wygranej, podczas gdy stawki znane z Unii Europejskiej to 4–9 procent – podkreśla Przemysław Alberski, rzecznik Polskiej Federacji Pokera Sportowego. Irytuje go też obowiązek zgłaszania zawodników 21 dni przed zawodami: – Na światowych turniejach gracze zapisują się nawet w dniu zawodów – wyjaśnia. – I dlatego zamiast na oficjalnych turniejach, w legalnie działających klubach, ludzie albo będą grać pokatnie i nielegalnie, albo przeniosą się za granicę – mówi Michał Wiśniewski, prezes Polskiego Związku Pokera. – Już korzystają na tym Lwów i Praga. Przyciągają międzynarodowych graczy, którzy wcześniej przyjeżdżali do Polski.

Matematyka z kartami w rękę

– Bo w większości krajów świata poker typu Texas Hold'em traktowany jest jako sport – kręci głową Maciej Mazur, jedna z najbardziej znanych postaci w środowisku pokrowym. – Tylko u nas musimy zmagać się z wizerunkiem Wielkiego Szu. A przecież wcale nie jesteśmy hazardystami, nasz poker nie mieści się w definicji gier losowych.

O tym, że poker to gra losowa, zdecydował minister finansów. W uzasadnieniu do wprowadzenia ustawy resort o pojęciu hazardu (a więc i grach losowych) pisze tak: „Jest ono kojarzone także z aktywnością, której wynik zależy wyłącznie od przypadku. Osoby uprawiające hazard, pomimo braku kontroli nad biegiem wydarzeń, zawierają losowi ich wynik z nadzieją wygranej”.

Sławomir Nowak, wiceszef klubu PO, pytany przez nas o sens tak restrykcyjnych ograniczeń co do pokera z rozbijającą szczerością przyznaje, że nie zna się na sprawie. To dość zaskakujące, bo poseł należał do największych entuzjastów ustawy hazardowej. Temat pokera jest zresztą na tyle drażliwy, iż odpowiedzi na pytanie, dlaczego w ogóle znalazł się w ustawie, nie chciał nam także udzielić żaden z pracowników Rządowego Centrum Legislacji.

Za to Marcin „Góral” Horecki, który w jednym turnieju pokrowym wygrał milion złotych, wyjaśnia cierpliwie: – Texas Hold'em to gra, w której najważniejsze są znajomość matematyki i rachunku prawdopodobieństwa

oraz psychologia. Dobra lub zła karta pomoże albo przeszkodzi tylko w jednostkowych przypadkach.

W Texas Hold'em zawodnicy dostają po dwie karty, pozostałe trzy są wykładane na stół. Dodatkowo prezentowane są na nim dwie następne. Z tych siedmiu zawodnik tworzy kombinację pięciu kart. W licytacji odbywającej się między wyłożeniem na stół kolejnych kart gracz musi wykazać się dobrą taktyką, a wspomniana znajomość rachunku prawdopodobieństwa pomoże mu odgadnąć, jakie karty mają rywale.

– Simon Ammann może przegrać przez wiatr jeden czy dwa turnieje skoków narciarskich, ale na jego pozycję w klasyfikacji składają się sukcesy sezonu – porównuje Marcin „Góral” Horecki. – Tak samo jest w Texas Hold'em – nie wygrywa się wiele razy tylko i wyłącznie przez przypadek.

Najbardziej przypadkowa z przypadkowych wydaje się więc dziś ustawa, która miała chronić Polaków przed zgubnym hazardem. – Tymczasem zgubiła przede wszystkim państwo – uważa Marek Czarkowski ze Stowarzyszenia na rzecz Promowania Odpowiedzialnej Gry. Rząd pozbawił się też potężnego źródła zysku z podatków, bo tylko z jednoręki bandytów wpływało do budżetu półtora miliarda złotych rocznie.

Rząd mógł stworzyć kontrolowane centra rozrywki, a nawet polskie Las Vegas na terenach dotkniętych biedą. Ale wolał zablokować

– Na jednej szali położyliśmy straty materialne, na drugiej koszty moralne hazardu na tak wielką, niekontrolowaną dotąd przez państwo skalę – oponuje Andrzej Halicki. Tyle że w rzeczywistości to ustawa w dużym stopniu pozbawiła państwo kontroli nad hazardem. – Dopiero teraz podziemie urosło w siłę – zapowiada Tomasz, geograf i były kontroler jednoręki bandytów (operatorzy musieli szkolić i zatrudniać osoby, które na bieżąco sprawdzały stan automatów).

Bezprawie zamiast kontroli

Dziś były kontroler handluje w sieci terminalami internetowymi. Wkrótce pojawią się w lokalach, gdzie dotąd stały maszyny hazardowe. Terminale podłączone będą do założonego za granicą portalu, na który gracze wpłacą pieniądze, by w udającej zabawkę maszynie z wisienkami naprawdę przegrywać lub wygrywać. Interes nie będzie ani legalny, ani nie-

legalny, bo serwis będzie działać za granicą. O takich kombinacjach jeszcze niedawno nie śniło się nawet filozofom. – Nie zamierzam wygłaszać pochwały hazardu – mówi profesor Marcin Król, filozof i historyk idei z Uniwersytetu Warszawskiego. – Naiwni są jednak ci, którzy sądzą, że jeśli zlikwiduje się punkty z automatami, to hazardziści zaczną nagle czytać Husserla.

Rząd mógł zrobić wiele, by poskromić hazard. Mógł stworzyć kontrolowane centra rozrywki, a nawet polskie Las Vegas na terenach dotkniętych biedą i bezrobociem. Mógł choćby próbować dogadać się z właścicielami jednoręki bandytów, z pokerzystami i bukmacherami, stawiając im twarde, ale cywilizowane warunki. Na przykład – jak bywa przy innych ustawach – dać przedsiębiorcom dwa lata na zmianę branży. Dlaczego tego nie zrobił? Bo uznał, że w branży hazardowej nie ma godnego siebie partnera. Bo wolał za jednym zamachem sprowadzić polski hazard do zera, a w istocie – zepchnąć go do podziemia. Zablokował, zamiast uczciwie wyłożyć karty.

Tomasz, były kontroler jednoręki bandytów, podsumowuje sentencjonalnie: – Hazard nie znosi próżni, a ludzie nie znoszą, gdy ktoś robi ich w konia.

współpraca: Renata Kim

REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci

Każdy może pomóc

Zamiast przekazywać 100% podatku do Urzędu Skarbowego, możesz odpisać 1% na rzecz nieuleczalnie chorych dzieci w Warszawskim Hospicjum dla Dzieci. W dowolnym momencie możesz sprawdzić jak zostały spożytkowane Twoje pieniądze, dzięki jawnemu, ogólnodostępnemu raportowi finansowemu na stronie www. Zdecyduj sam, kto bardziej potrzebuje Twojego wsparcia finansowego – urzędnicy, czy chore dzieci z Twojej okolicy.

Gdy choroba wygrywa

Współczesna medycyna nie potrafi wyleczyć wszystkich chorób. Na wiele z nich umierają także dzieci. Warszawskie Hospicjum dla Dzieci obejmuje opieką nieuleczalnie chore dzieci w ich własnych domach, gdy rodzice i lekarze podejmą decyzję o zakończeniu leczenia w szpitalu. Służy wszechstronnym wsparciem w ostatnim okresie życia dziecka, a także później, w okresie żałoby.

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci to Organizacja Pożytku Publicznego, która istnieje dzięki hojności ludzi Wielkiego Serca. Może działać, bo osobom prywatnym, firmom i instytucjom nie jest obojętny los ciężko chorych dzieci.

Informacje jak wypełnić PIT znajdziesz na naszej stronie internetowej: <http://www.hospicjum.waw.pl>



Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą...

KRS: 0000097123

w domu dzieci mniej się boją

PRAWDA I FAŁSZ

TEKST AGNIESZKA FIEDOROWICZ, ANNA SZULC, ILUSTRACJA AGATA DUDEK

DUCHY Z OKŁADKI

Polscy autorzy widmo jak bohater najnowszego filmu Romana Polańskiego „Ghostwriter” też ocierają się o szantaże i brudne tajemnice polane z wierzchu maskującym sosem luksusu



Przemysław Cwikliński informację od osób, których „autobiografie” pisał, wydobywał metodą na dobrego i złego policjanta

wieść zresztą nie jest typowa. Zazwyczaj, przy najmniej na początku, umowy między ghostwriterami a ich bohaterami zawiera się w białych rękawiczkach w towarzystwie wydawców. Honorarium jest z góry ustalone i wypłacane niezależnie od ukazania się (lub nie) książki. Ale za to czasy, w których za pieniądze z autobiografii na zlecenie autor widmo mógł przez wiele miesięcy żyć jak król, już minęły. W latach 90. honoraria liczono nawet w setkach tysięcy dolarów. Teraz, gdy autorów, wydawnictw i bohaterów jest więcej, przeciętny polski ghostwriter dostaje najwyższej kilkanaście tysięcy złotych za dzieło. I to bez różnicy, czy chodzi o biografię polityka, czy celebryty.

Śmiechy bez drażenia

– Przyznaję się bez bicia – mówi Witold Beres, dziennikarz i scenarzysta. – Byłem ghostwriterem. Nie do wszystkich niby-autobiografii się przyzna, o niektórych jednak powie. Pisał na przykład książki Beaty Tyszkiewicz i Józefa Oleksego (te nigdy się nie ukazały), Bogusława Bagsika i byłego trenera polskiej reprezentacji Janusza Wójcika (ukazały się).

Generał broni Czesław Kiszczak na początku lat 90. zaprosił Witolda Beresia i Jerzego

Skoczylasa do posiadłości na Mazurach. Miał im opowiedzieć całą prawdę o swoim życiu. Już podczas podróży zaczął się chwalić pistoletem podarowanym mu w czasach socjalizmu przez polityka z bratniego kraju. Broń nie miała numerów seryjnych. – Co oznacza, że jeśli się z niej kogoś zastrzeli, to szansa na namierzenie zabójcy jest równa zeru – wyjaśnił generał.

Po przybyciu do mazurskiej daczki Kiszczak wykazał się gościnnością, otwierając pierwszą z wielu kolejnych butelek wódki. Kilka godzin później oznajmił, że wszystko, co wyjawia Beresowi i Skoczylasowi, ma być – poza informacjami, które za jego zgodą znajdują się w książce – utrzymane w tajemnicy. – Tego nie było w umowie – zauważył nieopatrznie Skoczylas. Generał spoważniał, po czym sięgnął po pistolet bez numerów. Beres wyskoczył przez okno i wyglądało na to, że niczym Forrest Gump ruszy biegiem przez Mazury. Ale szybko zawrócił. – Generał już był spokojny, odkrył kolejną butelkę, a potem przeszliśmy na ty – wspomina dziennikarz.

Ostatecznie na rynku pojawiła się nie autobiografia Kiszczaka, ale przeprowadzony z nim przez Beresia i Skoczylasa wywiad rzeka.

Jednak nie zawsze było Beresowi do śmiechu. Na pewno nie wtedy, gdy ponad dekadę temu brał udział w imieninach Janusza Wójcika, byłego trenera reprezentacji Polski, dziś oskarżonego o korupcję. Beres poznał tam kilku mężczyzn z łańcuchami na karkach, ówczesnego ministra sportu Jacka Dębskiego oraz piękną Inkę, kobietę, która w 2001 roku pośrednio przyczyniła się do zabójstwa ministra.

Ze światem szemranych interesów zetknął się już wcześniej, gdy spotkał Bogusława Bagsika. Razem z nim autobiografię współwłaściciela spółki Art B pisał Jerzy Andrzejczak. Temu drugiemu Bagsik zwierzał się, że codziennie czyta Pismo Święte, a w Izraelu chce zbudować dom opieki dla niepełnosprawnych. – Gdy jednak drażyłem temat jego biznesów – wspomina Andrzejczak – i pytałem, skąd wziął przysłowiowy pierwszy milion, Bagsik odpowiadał z uśmiechem, że „to były sztabki złota od Cyganów”.

Tamta autobiografia zresztą się nie ukazała, bo Bagsik po wybuchu afery Art B uciekł do Izraela. W zamian wydawnictwo BGW zleciło dziennikarzom napisanie książki →





General Czesław Kiszczak
podzielił się swoimi
tajemnicami z Witoldem
Beresiem (z prawej) i Jerzym
Skoczylasem (w środku)

→ o przekręcie. „Art B. Bluff”, autorstwa Jerzego Andrzejczaka, Przemysław Ćwikliński i Jacka Ziarny, ukazała się w 1991 roku.

Ćwikliński z niesmakiem wspomina inne blefy. Na przykład pracę nad autobiografią bioenergoterapeuty Zbigniewa Nowaka. „Ręce, które leczą” (1994) napisał z kolegą pod wspólnym pseudonimem Wiktor Stutzer. – Tłem opowieści o Nowaku miały być historie cudownie wyleczonych przez terapeutę – opowiada. – Nowak woził nas do swoich pacjentów, ale w trakcie przepitywania wielokrotnie odkrywaliśmy, jak grubymi nićmi szyte są opowieści na przykład o regeneracji mózgu. Nie wiedzieliśmy, jak z tego wybrnąć. Ostatecznie napisaliśmy książkę spójną logicznie, a zarazem tak niewiarygodną, że kto chciał, i tak się poznał na naszych mrugnięciach okiem.

Za to w autobiografii Krzysztofa Rutkowskiego autor dał się porwać bystroemu nurtowi wyobraźni detektywa. – W czasie opisywanych w książce akcji pościgowych zostało zamordowanych trzech tirowców, on zrobił z tego sześciu, a ja ostatecznie dwunastu. Jakaś kwota rosła w trakcie pisania z pół miliona do trzech milionów. Krzysio nie przejmował się takimi szczegółami – wspomina Ćwikliński. Książka „Detektyw” ukazała się w 2001 roku.

Wyduszanie informacji

Teraz Przemysław Ćwikliński to wicenaczelną tygodnika „Nie”, jeden z najbardziej płodnych polskich autorów widm. Pracował między innymi dla Daniela Olbrychskiego i Andrzeja Leppera. W większości zlecenia zapewniał mu zaprzyjaźniony wydawca, zwany ojcem polskich ghostwriterów, założyciel BGW Roman Górski. Jego wydawnictwo specjalizowało się w autobiografiach i wywiadach ze znanymi osobami, przy którym to zajęciu pracę znalazło wielu debiutujących dziennikarzy. – Dziś każdy większy wydawca ma w notesie telefony do doświadczonych murzynów, jeśli wie, że autor potencjalnej autobiografii nie podoła zadaniu – mówi Jerzy Andrzejczak.

Często bowiem spowiedź VIP-a spisać trzeba błyskawicznie. – Pracowaliśmy bez przerwy – opowiada Ćwikliński o książce „Kwach. Zapiski sztabowe Danuty Waniek”. – Z samą bohaterką odbyliśmy trzy-cztery sesje po cztery godziny, potem wydawca zamknął nas na trzy dni z Witkiem Beresiem w warszawskim hotelu Karat, kupił skrzynkę whisky i zaczęliśmy pisać – mówi Ćwikliński. Gdy jeden siadał przy kom-

**To nie wina
ghostwriterów,
że po ocenzurowaniu
biografie polityków są
cukierkowe, monotonne.
Po prostu nudne**

DOKTOR EWA PIETRZYK-ZIENIEWICZ

puterze, drugi kładł się i zasypiał. Spali zresztą w tym samym łóżku. – Pokojówka musiała być przekonana, że jesteśmy parą – dodaje dziennikarz.

Trzeciego dnia o godzinie 10 rano panowie postawili ostatnią kropkę w tekście. O godzinie 11 w hotelowym holu Danuta Waniek skończyła nanosić do niego poprawki. Chwilę później poszedł do druku. Książka powstała między jedną a drugą turą kampanii prezydenckiej w 1995 roku. – A przecież zdobycie sensownego materiału to powinno być minimum 30 godzin nagrań i długie rozmowy z bohaterem publikacji – ocenia Ćwikliński. Tym dłuższe, im trudniej wydobyć z rozmówcy prawdę lub szczegóły. – Wyduszał z siebie dwa-trzy zdania, a potem odsyłał mnie po szczegółowe informacje do swojej mamy, babci, a nawet księdza – wspomina Jerzy Andrzejczak pracę w 2002 roku nad książką Adama Małysza.

Z kompozytorem Krzysztofem Pendereckim Ziarno i Ćwikliński przez pierwsze pięć tygodni spacerowali po parku. – Przyjeżdżaliśmy do Łusławic, a pan domu oprowadzał nas po swoim arboretum, bo jest zapalonym dendrologiem.

Ale na każde pytanie, o pieniądze, o kobiety, o politykę, odpowiadał tylko: tak, nie, nie wiem, nigdy się tym nie interesowałem. Wreszcie ostro go sprowokowałem, pytając, jak to jest, że tworzy dla Kościoła, skoro władza komunistyczna głaskała go po głowie. Zdenerwował się, ale zaczął mówić – opowiada Ćwikliński o metodzie na dobrego i złego policjanta. – Z powodzeniem stosowaliśmy ją też u innych, na przykład u Daniela Olbrychskiego. Ja – w roli chama – pytałem o baby, kasę, politykę, a Jacek – w roli inteligenta – o książki, karierę, muzykę.

Doprawianie hamburgerów

– W rozmowie prezydent zwykle zaznaczał: to tajemnica, a tamto wyleci przy autoryzacji – mówi Andrzejczak o pracy z Aleksandrem Kwaśniewskim, dla którego miał pisać niewydaną ostatecznie autobiografię (był 2000 rok, trwała kampania wyborcza, więc rozmawiali tylko w limuzynie wożącej prezydenta na wiece). – Czyszczenie autobiografii boli ghostwritera. Zwłaszcza że wkładasz wiele wysiłku, aby ten hamburger był bądź co bądź smaczny. Potem jednak jakiś asystent polityka wszystko metodycznie wycina – żali się Ćwikliński, który podczas pracy nad książkami lidera Samoobrony („Czas barbarzyńców” z 2005 i „Lista Leppera” z 2002) nagłowił się nad drobnymi autoironicznymi komentarzami „autora”. – Chciałem pokazać, że Lepper umie się od siebie zdystansować. Ale wszystko wyleciało.

– To polityczna schizofrenia – ocenia doktor Ewa Pietrzyk-Zieniewicz, specjalistka do spraw marketingu politycznego z Uniwersytetu Warszawskiego. – Z jednej strony politycy w coraz większym stopniu stają się celebrytami, chcą się podobać wyborcom i uchylać na łamach tabloidów czy blogów drzwi do swojej prywatności. Z drugiej ta prywatność jest reżyserowana. Dlatego to nie wina ghostwriterów, że po ocenzurowaniu biografii polityków są cukierkowe, monotonne stylistycznie. Po prostu nudne.

Tym nudniejsze, im bohater mniej ma do opowiedzenia. A tak jest coraz częściej, bo polityków wypierają rodzimi celebryci. Do tych drugich najczęściej to wydawcy zgłaszają się z propozycją, licząc, że znane nazwisko wypromuje książkę. – W dodatku dla celebryty niby-właśnie napisana autobiografia jest kolejnym dodającym prestiżu gadżetem, jak modne okulary – tłumaczy doktor Pietrzyk-Zieniewicz.

Dwa lata temu głośno zrobiło się o książce Dody. Sama piosenkarka odgrażała się, że po wydaniu jej wspomnień „zwiększyłby się procent umieralności tych wszystkich babć”. „Autobiografia” do dziś nie powstała, choć z Jerzym Andrzejczakiem wydawnictwo trzy miesiące negocjowało jej napisanie. Po czym oznajmiło autorowi, że Doda żądała zbyt dużo pieniędzy. Bo celebryci sądzą, że ich popularność przełoży się na wielkość sprzedaży. Oczekują więc dziesiątek tysięcy złotych honorarium.

Może dlatego Adam Małysz nie chciał wierzyć, że jego – tym razem – biografia nie zniknęła jak świeże bułeczki. – Zaskarżył wydawnictwo,

które oficjalnie sprzedało siedem tysięcy egzemplarzy. Twierdził, że część nakładu rozprowadziło na lewo. Sprawa jest w toku – mówi Jerzy Andrzejczak, autor książki. Jeśli chodzi o nakład, polityk jest zdecydowanie wdzięczniejszym kontrahentem – często wykupuje niesprzedane egzemplarze, by rozdawać je na wiecach partyjnych.

Milczeć po grób

Najczęściej ghostwriterzy o swych zleceniodawcach mówią niechętnie, o niektórych będą milczeć po – jak zapowiadają – grób. – To kwestia umowy dżentelmeńskiej – wyjaśnia Ćwikliński. I to dlatego autorzy widma nie są zbyt wylewni, gdy pytamy ich o obecnie pisane autobiografie. Wolą wspominać, bo dopóki książki nie ma w księgarniach, lepiej nie narażać się klientowi. Ćwikliński mówi jedynie, czego ostatnio nie napisał. A chodzi o poprawioną autobiografię Olbrychskiego, która miała zawierać fascynujące zwierzenia aktora na temat współpracy z Angeliną Jolie podczas kręcenia thrilleru „Salt” (2010). Już w zeszłym roku aktor pochwalił się, że zagra w filmie jedną z głównych ról męskich. Dodawał, że ściągnie Jolie na promocję książki. Ale gdy okazało się, że rola „był-

go agenta rosyjskiego wywiadu”, w którą wcielił się polski aktor, nie jest wcale główna i że większość jego scen z Amerykanką wycięto, Olbrychski zamilkł.

W innych przypadkach milczenie w tym biznesie jest złotem. Ghostwriter Andrzejczak ma na koncie 13 procesów o naruszenie dóbr osobistych ludzi, których opisywał, a potem mówił o nich nieco za dużo poza publikacją. – Większość zakończyła się ugodą – mówi Andrzejczak. – Na przykład Irenie Szewińskiej, do której opisywania się szykowałem, ale ona się wycofała, obiecałem, że już nigdy nic o niej nie napiszę. Ani źle, ani dobrze.

– W gruncie rzeczy w tej branży nie ma żadnych czytelnich zasad – uważa Witold Beres. – Co więcej, taki rodzaj relacji autora i zleceniodawcy z założenia jest konfliktogenny. Autor chce pokazać prawdę, a bohater chce ukryć najbardziej pikantne kawałki – ocenia dziennikarz, który nie jest już ghostwriterem. Rzucił zajęcie kilka lat temu, po spotkaniu z Ryszardem Kapuścińskim. – Powiedział mi, że pisarz musi żyć własnym życiem – wspomina Beres. – I że jeśli rzeczywiście chce pisać rzeczy ważne dla siebie, a może też i dla innych, musi o jednym zapomnieć. O kasie.

Ghostwriter w polskim prawie

Dr Damian Flisak, specjalista prawa autorskiego z kancelarii Wardyński i Wspólnicy, napisał „Ghostwriting na tle zasad prawa autorskiego”

– W POLSKIM PRAWIE DOPUSZCZALNA forma ghostwritingu jest tworzenie tekstów przemówień. Zakłada się, że mowy polityczne wygłaszane w interesie na przykład partii czy państwa mają spełniać funkcję użytkową, a nie podkreślać osobowość twórcy. Za to osobiste prawa autorskie są niezbywalne – sprzedać, przekazać można tylko prawa majątkowe do utworu. W związku z tym podpisanie się imieniem i nazwiskiem pod materiałem, którego faktycznym autorem jest ktoś inny (nawet jeśli się za ten materiał zapłaciło), jest sprzeczne z prawem. Dlatego w razie problemów trudno zleceniodawcy procesować się z ghostwriterem, gdy ten złamie postawione mu wcześniej warunki. Prawo anglosaskie jest w tym zakresie bardziej elastyczne. W większym zakresie pozwala ono na różne manipulacje autorstwem utworu.



REKLAMA

FM BANK
Partnerstwo w finansach



**FM Lokata
7%**

Lepszej lokaty nie mogłeś sobie wymarzyć!

FM Lokaty są dostępne dla każdego
w naszych oddziałach
lub na www.fmbank.pl

infolinia: 0 801 500 600

Oplata za połączenie zgodna z taryfą danego operatora.

Oferta ważna do odwołania. Oprocentowanie stałe, roczne 7% dotyczy lokaty 24 – miesięcznej. Minimalna kwota lokaty 3 000 zł.

ROZMOWA RENATA KIM

Bieda dźwignią handlu ludźmi

Ilu jest dziś na świecie niewolników i dlaczego tak wielu? Ile kosztuje człowiek i dlaczego tak mało? – odpowiada **Benjamin Skinner***



11-letnia Gulsum z afgańskiego Kandaharu ojczym sprzedał bogatej rodzinie. Dziewczynka była bita i zmuszana do pracy. Udało jej się uciec

Ile płaci się dziś za niewolnika?

– W centrum Port-au-Prince na Haiti handlarz życzył sobie sto dolarów za zdrową 10-letnią dziewczynkę.

To niedużo.

– Właśnie, że dużo. To była cena wywoławcza, ale szybko udało się ją zbić do 50 dolarów. Nie kryłem, o co mi chodzi – chcę, by dziewczynka dla mnie gotowała, sprzątała i prała. W pewnym momencie handlarz spytał: „Czy ta mała ma być także twoją partnerką? Rozumiesz, co mam na myśli?”. I uśmiechnął się porozumiewawczo. Handlarze ludźmi na Haiti spełniają każde życzenie klienta. Chcę chłopca z prowincji? Będę go miał. Dziewczynkę? Da się załatwić.

Kupił pan tę dziewczynkę?

– Nie, bo wiedziałem, że ten handlarz zainwestuje pieniądze w rozwój swojego przestępcze-

go biznesu. Nawet gdyby udało mi się zgromadzić pieniądze na wykupienie wszystkich 300 tysięcy dzieci, jakie według szacunków UNICEF-u żyją w niewoli na Haiti, tobym tego nie zrobił – bo w następnym roku byłoby tam już 600 tysięcy małych niewolników. Taka jest natura tego interesu.

Jedyne, co mogłem zrobić, to zgłosić sprawę do haitańskiego biura Brygady Ochrony Nieletnich. Dowódca powiedział mi jednak, że jeśli dwie rodziny zawierają umowę o przekazaniu dziecka, policja nie interweniuje. Sama w domu darmowych pracowników, ale – jak zaznaczył z dumą – ich nie gwałci. Policja – nie tylko na Haiti – nie reaguje na takie przypadki. W Bukareszcie trafiłem do burdelu, gdzie zaoferowano mi dziewczynkę z zespołem Downa. Sutener powiedział, że mogę ją mieć

na własność, jeśli oddam mój samochód. Poszedłem na policję i opowiedziałem o wszystkim, a funkcjonariusz jedynie wzruszył ramionami. Powiedział, że to są Cyganie, którzy mają swoje zwyczaje. Nie zrobił nic.

Naprawdę nie miał pan pokusy, by kupić komuś wolność za 50 dolarów?

– Mam ją zawsze. Ale też zawsze kurczowo trzymałem się zasady, że płacenie za ludzkie życie jest złe, jest moralnie nie do usprawiedliwienia. Wykupienie niewolnika to proste rozwiązanie bardzo złożonego problemu humanitarnego. Kuszące dla potencjalnych zbawców, ale nielikwidujące problemu. Dowiedziałem się o tym w 2003 roku w Sudanie, gdzie na zlecenie „Newsweeka” obserwowałem, jak działa szwajcarska organizacja Christian Solidarity International zajmująca się wykupywa-

niem ludzi, którzy trafili do niewoli podczas wojny domowej.

Problem polegał na tym, że nikt nawet nie próbował ocenić, czy wykupieni byli naprawdę niewolnikami. Potem wyszło na jaw, że sukańscy partyzanci używali fałszywych niewolników, by wyciągnąć twardą walutę od naiwnych Szwajcarów. Na dodatek nikt nie próbował śledzić dalszych losów ocalonych. Działacze zostawili ich na pastwę losu – nie zapewnili im jedzenia ani pracy. Rzucając pełne sakiewki rebeliantom, zmarnowali miliony dolarów.

A co powinni byli zrobić?

– Nie wolno płacić za uwalnianie ludzi. To mówią wszyscy, którzy pracują w afrykańskich, europejskich czy bliskowschodnich schroniskach dla byłych niewolników. Płacenie to sponsorowanie niewolnictwa.

Szwajcarzy powinni wydać swoje pieniądze na walkę z polio albo na lekarstwa przeciwbiegunkowe dla dzieci. Stworzyć mikroprzedsiębiorstwa, które dadzą pracę i utrzymanie tysiącom ludzi. Pewnego razu na Haiti przyszła do mnie matka, prosząc, bym pomógł odebrać jej córkę z domu, gdzie jest darmową pomocą. Odnalazłem tę dziewczynkę i pomogłem jej wyrwać się z rąk gangsterów. Do dziś wysyłam jej pieniądze na edukację.

Co panu to daje? Czyste sumienie?

– Nie. Zyskuję pewność, że mała jest bezpieczna i bieda nie zepchnie jej z powrotem w ręce handlarzy ludźmi. Odwiedziłem ją zeszłego lata. Czuje się dobrze, wygląda inaczej, uśmiecha się, mówi pełnymi zdaniami. Chce być lekarką. Opowiada o swoich przeżyciach innym dzieciom i ostrzega je przed gangami.

Jak dzieci wpadają w ręce handlarzy? Czy są porywane z rodzinnych domów?

– Nie, handlarze są o wiele bardziej cyniczni. Wykorzystują miłość żyjących w nędzy rodziców, by przekonać ich, że syn czy córka będą mieć lepsze życie, jeśli znajdą nowy dom. Rodzice patrzą bezsilnie, jak ich dziecko umiera z głodu, i wiedzą, że gdzieś tam w wielkim świecie jest jedzenie, które może je uratować. Więc oddają dziecko w ręce handlarzy w nadziei, że oni mu wszystko kupią.

Często niewolnikami zostają najzdolniejsi dzieci w rodzinie, bo rodzicom wydaje się, że to jedyna szansa, by zdobyły wykształcenie. Sami handlarze, próbując się jakoś usprawiedliwić, też chętnie powołują się na względy humanitarne. Mówią: to dziecko nie ma rodziny, a u nowych właścicieli przynajmniej będzie mogło do syta się najęść. Gdy ich jednak przycisnąć, przyznają, że niektórzy klienci dręczą i wykorzystują kupione dzieci. Dają im najgorsze prace, biją, źle karmią.

W Polsce też są niewolnicy?

– Oczywiście. Tylko w ciągu ostatniej dekady wykryto u nas trzy tysiące przypadków. W USA odsetek uwolnionych wynosi około 2 procent, więc jeśli w Polsce jest podobnie, to liczbę niewolników można szacować na jakieś 150 tysięcy.

Kim jest polski niewolnik?

– To najczęściej romskie dziecko lub kobieta zmuszana do prostytucji. Dzieci pracują w gangach żebraków. Kobiety – w klubach ze striptizem, domach publicznych i salonach masażu. Większość jest spoza Unii Europejskiej. Zapewne same chciały przyjechać do kraju takiego jak Polska, niektóre nawet zdawały sobie sprawę z tego, czym się będą zajmować, ale z pewnością nie przypuszczały, że ktoś zabierze im paszporty, że będzie biem zmuszał do prostytucji.

Pisze pan w swojej książce, że kobiety zmuszone do prostytucji niezwykle rzadko uciekają z niewoli. Dlaczego?

– Abraham Lincoln powiedział: „Dobrowolna praca czerpie natchnienie z nadziei, a niewolnictwo jest tej nadziei pozbawione”. Te kobiety nie mają nadziei. W Mołdawii w schronisku dla byłych niewolników seksualnych spo-

W Polsce może być nawet 150 tysięcy niewolników. To najczęściej romskie dzieci pracujące w gangach żebraków i kobiety zmuszane do prostytucji

BENJAMIN SKINNER

tkalem Nataszę. Matka zostawiła ją w domu dziecka, skąd wyciągnęła ją jakaś Rosjanka i zmusiła do niewolniczej pracy w swoim gospodarstwie. Dziewczyna uciekła, ale wpadła w ręce handlarzy ludźmi i została prostytutką. Znów uciekła, ale spotkała mężczyznę, który też zmuszał ją do sprzedawania ciała. Uciekła po raz trzeci i po raz trzeci została schwytana przez handlarzy. Trafiła do Stambułu, potem do Dubaju i wszędzie gangsterzy zmuszali ją do prostytucji. Chwilę wytchnienia znalazła w schronisku. Ale kiedy ją spytałem, co zamierza zrobić, odpowiedziała, że wraca do Dubaju. Było jasne, że znowu będzie prostytutką. **Która historia niewolnika poruszyła pana najbardziej?**

– Nie robię takich rankingów. Niewolnictwo to zbrodnia tak potworna, że każda jego ofiara jest godna współczucia. Ale na zawsze zapamiętam człowieka, którego spotkałem na północy Indii. Nazywał się Gonoo, a jego dramat rozpoczął się od pożyczki w wysokości 62 centów, jaką w latach 60. ubiegłego wieku jego dziadek zaciągnął u właściciela gospodarstwa rolnego, w którym pracował. Od tej pory właściciel farmy zmieniał się trzy razy, ale rodzina Gonoo nadal tkwiła w niewoli. Dług urosł już do około 500 dolarów. Gdy któregoś dnia niewolnik próbował go renegocjować, został dotkliwie pobity. Jego historia mną wstrząsnęła, bo Gonoo miał szansę ucieczki z wioski, ale z niej nie skorzystał.

Pytał go pan dlaczego?

– Tak. A on tylko odparł: „A co będę jadł, jak będę żył?”. Wtedy przypomniałem sobie, że Mahatma Gandhi uważał, że niewolnictwo to w dużym stopniu stan umysłu. W przypadku Gonoo niewolnictwo nie było jedynie myślowym konstruktem, ono było całym jego światem. A człowiek, który go sprzedał, był jedynym bogiem tego świata.

Gonoo wiedział, że to przestępca i morderca, który miał na sumieniu wiele ludzkich istnień, ale wiedział również, że od niego dostaje jedzenie. To charakterystyczna cecha współczesnego niewolnictwa – u jego podstaw tkwi materialna zależność od drugiego człowieka. Jeśli więc chcemy skutecznie walczyć z niewolnictwem, musimy dać ofiarom narzędzia, by uniezależnili się od gangsterów.

Czyli pieniądze.

– Większość tych ludzi trafiła do niewoli z powodu biedy, więc trzeba ich najpierw wyrwać z nędzy. Tak, potrzebne są do tego pieniądze, ale znacznie mniej, niż można by pomyśleć. Uwolnienie jednego niewolnika kosztuje średnio około 400 dolarów. Tyle wystarcza, by go przeszkolić i znaleźć mu pracę, w której zarobi co najmniej 2 dolary dziennie i będzie już w stanie przeżyć. Jeśli pomnożymy to przez 27 milionów niewolników na świecie, otrzymamy 10 miliardów dolarów. Za taką sumę można by zlikwidować niewolnictwo.

Brzmi to pięknie, ale chyba naiwnością byłoby sądzić, że w ten sposób uda się wyrugować niewolnictwo.

– Ja nazywam takie podejście praktycznym. Nie chodzi o dobroczynność, bo tych pieniędzy nie trzeba przeznaczać na wyżywienie ludzi czy zbudowanie dla nich schronisk. Należy je w nich zainwestować. Ten, kto zarabia dwa dolary dziennie, jest już konsumentem. Przyczynia się do wzrostu światowej ekonomii.

Czy któraś historia, z którymi pan się zetknął, zakończyła się happy endem?

– Jest ich całkiem sporo. I zawsze uderzało mnie to, że ocaleńcy w jakiś niezwykle sposób zdołali odzyskać swoje życie i utraconą godność. Tak jak Rumunka Tatiana, zwykła dziewczyna, którą chłopak namówił na wyjazd do Holandii i oddał w ręce sutenerów. Okazało się, że był członkiem mafii. Dziewczynę bito i gwałcono, by ją zmusić do prostytucji. W końcu jednak udało jej się uciec. Dziś Tatiana pomaga innym niewolnikom.

Czy śledzi pan dalsze losy swoich bohaterów?

– Nie. Nie wiem, co się z nimi dzieje. I to jest potworny ciężar dla mojego sumienia. □



*** Benjamin Skinner** jest amerykańskim dziennikarzem, autorem książki „Zbrodnia. Twarz w twarz ze współczesnym niewolnictwem”, która właśnie ukazuje się nakładem Znak. Skinner przez ostatnie siedem lat podróżował po świecie w poszukiwaniu handlarzy ludźmi i ich ofiar.

NAJMŁODSZA
Z SUBKULTUR
NADAL DOBRZE
SIĘ SPRZEDAJE.
NIC DZIWNEGO,
ŻE NA EMOHOSSE
CHCĄ SIĘ ZAŁAPAĆ
TEŻ POLSCY TWÓRCY
– WKRÓTCE ZOBACZYSZ
NOWY EMOFILM
I PRZECZYTASZ
EMOKSIĄŻKĘ

CO Z NICH WYRÓŚNIE

TEKST AGATA JANKOWSKA, MARIUSZ HERMA, ILUSTRACJA MAREK BRZEZIŃSKI

W ŁEZ KAŁUŻACH JA I TY

ORGANIZATORZY ŁÓDZKIEGO KONCERTU TOKIO Hotel, największej gwiazdy sceny emo, od dawna zacierali ręce. Większość biletów na występ niemieckiej grupy* rozeszła się w dwa tygodnie od rozpoczęcia sprzedaży. Ale innych emo przysparzają o ból głowy.

– Mówisz, a oni nie odpowiadają. Choćbyś krzyczał, nic nie wskórasz. Zamiast na bójki nauczycielki narzekają na uczniów płaczących podczas przerw w toalecie – żali się dyrektor warszawskiego gimnazjum. Prosi, by nie wymieniał jego nazwiska. – Od 15 lat pracuję

w szkole. Zawsze walczyłem z agresją, ale chyba woląłem pyskujących rozrabiaków niż tych, co wykazują zero ekspresji.

– Pani od chemii powiedziała, że mózg mi wypłynął tymi wszystkimi dziurkami na kolczyki – opowiada 16-letnia Kasia z Zielonki pod Warszawą. Ma przebitą brew, kolczyk w języku i nosie i siedem dziurek w uszach. We włosach fioletowe i różowe pasemka, na łędźwiach wytatuowaną czaszkę z kolorową kokardką. Z rówieśnikami też nie ma łatwo. – Ciągłe krzyczą: emo, idźcie się pociąć!

Dezorientacja nauczycieli. Kpiny, czasem agresja ze strony kolegów. Paniczny strach rodziców. Z tymi reakcjami zwykle spotyka się najmłodsza – biorąc pod uwagę zarówno chronologię, jak i strukturę wiekową – subkultura. Tęgo fenomenowi często nie rozumieją nawet ci, którym kruczoczarna grzywka przysłania światło dzienne. Nic zresztą dziwnego, bo emo to gąszcz paradoksów. I coś jak spowiedź dziecięcia wieku.

– Łzy i bezradność emo odzwierciedlają to, co jest spychane na margines w świecie dorosłych.

W subkulturach odbijają się napięcia panujące w społeczeństwie – wyjaśnia doktor Marcin Sińczuch, socjolog z Ośrodka Badań Młodzieży przy Uniwersytecie Warszawskim. W latach 90. ludzie nazywani pogardliwie przywaciarzami dorabiali się na potęgę, ale przecież nie wszyscy załapali się na transformacyjny pociąg do sukcesu. Tak zrodzili się dresiarze – osiedlowi kombinatorzy i drobni złodzieje. W kolejnych latach pojawili się fanatycy techno, którzy w hipnotyzującym rytmie szukali alternatywy dla życia w skrajnym napięciu.

Ewolucję polskich subkultur trzeba oczywiście wywodzić z dekad o wiele wcześniejszych. Rzeczywistość lat 70. zrodziła gitowców – wytatuowanych więziennymi symbolami i posługujących się grypsersą. Trauma stanu wojennego była kołem zamachowym dla polskiego punk rocka i subkultury skinheadów. Jedni chcieli wysadzić system anarchistyczną bombą, drudzy – na gruzach komunizmu budować państwo narodowców.

Po 1989 roku sytuacja się skomplikowała. Młodzieży zabrano wroga i młodzież zgłupiała. Tylko nieliczni, jak Kazik i Kult, pozostali wierni wtkom politycznym – twierdzi profesor Anna Wyka z Collegium Civitas w Warszawie, socjolog subkultur młodzieżowych. – Nieszczęsny dar wolności przyniósł spadek zaangażowania społecznego. Jednak w miarę krzepnięcia kapitalizmu młodzież znajdowała nowe wyzwania. Zginął wróg polityczny, ale znaleźli się inni – dodaje profesor Wyka.

Emo na ogół wywodzi się z przykładowych rodzin. Ich rodzice, wykształceni i zamożni, przepis na przyszłość dzieci widzą we własnej przeszłości. Szkolny wyścig szczurów dodatkowo wzmacnia poczucie, że w życiu liczy się tylko sukces. I właśnie przeciw temu buntują się emo. – Młodzie dostają sprzeczne komunikaty: musisz być w życiu kimś, robić karierę. Z drugiej strony słyszą o harmonii i spokoju ducha, o potrzebie samoakceptacji – mówi profesor Małgorzata Jacyno z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. – Nic dziwnego, że nastolatek nie widzi sensu w drodze, którą proponuje społeczeństwo.

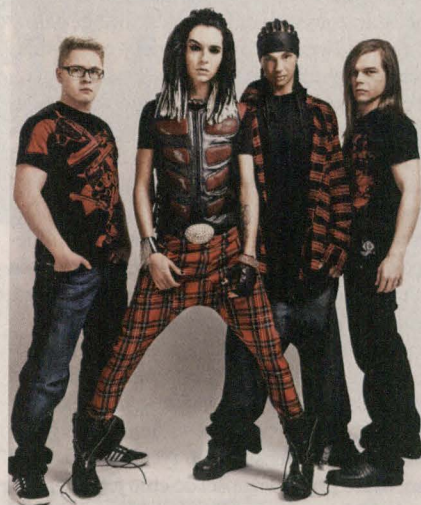
Oto pierwszy paradoks – w forpoczcie buntu przeciw społeczeństwu drapieżnego rynku znaleźli się dziś z zasady wycofani, radykalnie skoncentrowani na sobie i jak ognia unikający jakiegokolwiek zaangażowania emo. I – powtórzmy – sami często o tym nie wiedzą.

Buszujący w smutku

Zaczął się akurat typowo – od muzyki. I to muzyki, która – znowu rzecz typowa – była głośna. Bo choć niektórzy praocjem emo obwołali Jima Morrisona, a dla innych archetypem emonastolatka jest Holden Caulfield z powieści „Buszujący w zbożu”, to korzenie subkultury wyrastają z waszyngtońskiej sceny hard core punk. Na początku lat 80. agresja i obsesje polityczne w tym środowisku stały się tak nieznosne, że część zespołów, a wraz z nimi i fanów, do-

konała rewolty. Poetycki werteryzm w tekstach, lży na scenie i pod nią przyniosły odmiencom miano emocore. Emocjonalny hard core.

W latach 90. etykieta, skądinąd uznawana za obelżywą, skróciła się do nośnego emo, a światopogląd drugiego już emopokole-



Gdyby Tokio Hotel kupowali piwo, zapytałbyś ich o dowód. Ale jak na emo to staruszkowie

nia znów kształtował się w kontrze – tym razem do napastliwego materializmu hip-hopu. Nastoletnie twarze z pomalowanymi na czarno oczami sporadycznie pojawiały się na ekranach telewizorów na fali popularności gatunków grunge (po sukcesie Nirvany) i pop punk (Green Day). Emocjonalni wciąż jednak trzymali się głównie undergroundowych kapel typu Jawbreaker czy Sunny Day Real Estate.

Boom na emo nadszedł wraz z... atakiem na WTC w 2001 roku. Obwieszeni łańcuchami raperzy nie pasowali do amerykańskiej żałoby. Magazyny dla nastolatków szukały na okładki nowych twarzy. „Hedonistyczny hip-hop wprawdzie nadal dominował na listach przebojów, ale latem 2002 roku czytelnicy prasy dowiedzieli się, że społeczeństwo pogrążone jest w introwertycznej terapii. Polegała ona na noszeniu czarnych okularów i koszulek w paski. Emo, powiedziano nam, wyleczy nas przez modę” – pisał Andy Greenwald, redaktor pisma muzycznego „Spin”.

– To kultura przełomu wieków, a jak pokazuje historia, wtedy zawsze dominowały pesymizm i lęk – mówi Tomecki, do niedawna akustyk Jądłodajni Filozoficznej. Zanim klub spłonął w listopadzie ubiegłego roku, był jednym z ulubionych miejsc warszawskich emo.

Starannie dobrane ciuchy, demoniczny makijaż i misterne fryzury kontra niechlujny styl raperów – za wizerunkową frondą szło też od-

rzucenie kultu pieniądza, narkotyków, alkoholu i rezygnacja z szukania szczęścia na ziemskim padole. Nie było jeszcze subkultury, która w takim stopniu rezygnowałaby nie

tylko z przemocy, ale też nawet z jakiegokolwiek przejawu siły. Emo poszli o kilka kroków dalej niż hipisi: – Przyznają się do życiowej nieporadności i wrażliwości na cierpienie innych – mówi doktor Sińczuch. – Uczynili cnotę z tego, co powszechnie budzi ironię, niechęć. To dziś najbardziej wyśmiewana subkultura.

Oto drugi paradoks – nie tak nie budzi agresji jak brak agresji. Pal lichu, gdy kończy się na żartach – bardziej wybrednych (Dlaczego emo unikają McDonaldów? Bo serwują tam Happy Meal) lub mniej wyrafinowanych (Czym emo różni się od trampoliny? Po trampolinie nie skacze się w glanach). Kłopot w tym, że słowa zaczęła zastępować przemoc fizyczna.

Najgorzej było w Meksyku. W marcu 2008 roku w mieście Queretaro prawie tysiąc nastolatków, często związanych z subkulturami metalu, punk rocka czy rockabilly, polowało na emo. – Chcieli im złozić skórę. I kilku dopadli – opowiada „Przekrojowi” Daniel Hernandez, który relacjonował tamte wydarzenia dla „Los Angeles Times”. W ciągu tygodnia oblavy na emo przeniosły się do stolicy kraju. Ci zareagowali w swoim stylu – marszami milczenia.

Lokalny wybrzyk? W tym samym czasie telewizja chilijska pokazywała ataki skinheadów na grupy pokEMOnów, czyli tamtejszych emo. Czerwiec 2008 roku – nagonka na emo w rosyjskich gazetach doprowadziła do... debaty w Dumie. Usiłowano nawet przeformować „rządową strategię w sferze duchowego i etycznego wychowania”, która miała przeciwdziałać „niebezpiecznym nurtom młodzieżowym”. Zezwalała na przykład na cenzurę stron internetowych emo i zabraniała noszenia się w tym stylu w szkołach i budynkach publicznych.

Ani pożytku, ani szkody

„Hannah Bond była wesołą 13-latką, dopóki nie została emo – członkinią złowieszczej mody, która idealizuje śmierć. Trzy miesiące później Hannah się powiesiła. Zrozpaczona matka ostrzega rodziców: żadne dziecko nie jest bezpieczne!” – tak zaczyna się artykuł opublikowany w maju 2008 roku przez angielski tabloid „Daily Mail”. Gazeta obwieściła, że to subkultura emo odpowiada za śmierć dziewczyny i – szerzej – za wzrost liczby samookaleczeń wśród nastolatków. Bezkrtycznie powtórzyły to inne media. Reakcja rodziców: panika, szlabany, kontrole pólek z płytami i zdzieranie plakatów znad łóżek.

– Jeszcze niedawno była roześmianą nastolatką, a dziś nie wpuszcza mnie do pokoju i nie chce rozmawiać – mówi nam matka Ani, 15-latki z Myślenic, która od roku jest emo. Ściany pokoju dziewczyny są czerwono-czarne. Plakat wampirycznego „Zmierzchu”, mnóstwo świec, lampka przykryta chustą. – Ona myśli, że się powiesze, potnę albo zrobię coś równie głupiego – irytuje się Ania. – A ja po prostu nie chcę słuchać popu i lubię film „Zmierzch”. Tyle. – Znam jedną dziewczynę, która robi sobie sznuty i mówi, że to ją wyzwala, ale dla mnie to głupota – mówi Kasia z Zielonki. —>

* Koncert miał się odbyć w niedzielę 14 marca, gdy ten numer „Przekroju” był już zamknięty

→ Zdaniem profesor Jacyno takie incydenty zdarzały się zawsze i wbrew pozorom miały niewiele wspólnego z subkulturami. – Dla emo depresja to kwestia stylu. Każdemu nastolatki chce się płakać, gdy dorośli bagatelizują jego problemy. Ale gdy stanie się emo, wtedy to, czego mu nie wypada, czyli uzewnętrznianie emocji, staje się dopuszczalne, wręcz pożądane – tłumaczy Jacyno. I zastrzega: emo to niegroźny ruch, który nie przynosi ani pożytku, ani szkody. Jak wiele współczesnych fenomenów, które rozbłyskują na firmamencie mediów, a potem znikają bez śladu. Dlatego socjolog uspokaja rodziców: – Nic tak nie studzi emocji jak wyrozumiałość.

Oto trzeci paradoks – dorośli rwą włosy z głowy, choć ich dzieci programowo nie piją, nie ćpają i są nieszkodliwe dla otoczenia.

O ile nastoletnia kontestacja wydaje się rzeczą naturalną, o tyle – patrz raz jeszcze paradoks pierwszy – sama forma emobuntu, czyli poniekąd rezygnacja z niego, jest już dla dorosłych kompletnie nieczytelna. – Ojciec był perkusistą i jak ja nosił długie włosy. Bił się, gdy było trzeba. Ja tego nie lubię, za to chętnie podejmę bitwę umysłów – śmieje się Maciek, 19-letni emo. – Zagram w szachy, pogadam o książkach. Przepychanki zostawiam mięśniakom.

– To nowy, ale jasny komunikat – wyjaśnia profesor Jacek Kurzepa, socjolog z Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej w Warszawie. – Przerysowane do granic cierpienie za zło świata, na które młodzi nie mają wpływu, to manifest przeciw kulturze wypłukanej z emocji. Kultu-rze plastiku i obłudy.

Drut w bucie

Niestety, bestia marketingu już trzyma emo w paszczy. Pozostają wspomnienia weteranów o okresie pionierskim. – Kupowaliśmy z kumplem dwie pary spodni, białe i czarne, a potem przesyłaliśmy nogawki, żeby każdy miał dwukolorowe – śmieje się Tomecki. Z kolei Rafał z grupy Checkpoint kojarzonej ze stylistyką *screamo* (w skrócie: krzyki plus emo) opowiada o czasach, gdy z nowych butów wypruwał szwy, by w ich miejsce wplatać drut. Dziś jednak każda młodzieżowa marka ma w katalogu ciuchy emo: dzinsy rurki, obcisłe T-shirty, staroświeckie trampki, rajstopy i rękawiczki w czarno-czerwone lub różowe paski. Jak bardzo oplaca się metka emo, niech świadczy tysiące podczepianych pod nią produktów – od etui na telefon po lalki wudu.

Moda modą, ale co z muzyką? Dwa topowe zespoły emo to Blog 27 – założony w 2005 roku przez 13-letnią wówczas Tolę Szlagowską – oraz niemieckie Tokio Hotel. Oba z pierwotną sceną emocore mają tyle wspólnego, ile Rubik z oratoriami Bacha. Stoi za nimi potężna machina marketingowa, ta sama, która na szczycie wyniosła ukochaną przez emo serię kinową „Zmierzch”. Jej najnowsza odsłona, „Księżyc na nowiu”, w pierwszych dniach wyświetlania zarobiła ponad 300 milionów dolarów. Teraz na emohosę próbują załapać się polscy twór-

cy – Jan Komasa kręci film „Sala samobójców”, którego główny bohater skupia większość cech stereotypowego emo (tyle że zamiast podpierać ściany w klubach, ślęczy przed komputerem). Podobnie zresztą jak Anna z książki „Toksymia” Małgorzaty Rejmer. Na skojarzeniach z emo podwójnie skorzystało „Radio Armageddon” Jakuba Żulczyka. Z jednej strony opowieść o perypetiach garażowego bandu zwróciła uwagę nastoletnich nadwrażliwców, z drugiej – odkrywających subkulturę emo mediów. Sytuacja zapewne powtórzy się przy okazji premiery „Nie uderzy żaden piorun”, książkowego debiutu 19-letniej Dominiki Ożarowskiej, która doborom postaci (zagubione nastolatki) i językiem jednoznacznie celuje w gimnazjalną emopublikę. Za to już teraz możemy cieszyć oczy dwumiesięcznikiem „Back 2 Black”, który w styczniu na rynek wprowadziło wydawnictwo Egmont. Pismo w całości poświęcone jest... czerni.

Długi żywot punk rocka, metalu czy hip-hopu uczy, że zmasowany atak komercji nie musi kończyć się śmiercią. W najgorszym razie – zadydką i zepchnięciem z powrotem do nisz. Tyle że w przeciwieństwie do tych subkultur już sam okres przynależności do emo jest wyjątkowo krótki – trwa do kilku lat. Długie grzywki emocjonalni ścinają na ogół w chwili przekroczenia progu liceum. O wychowaniu młodszych pokoleń przez starsze nie ma mowy, a ciągłości nie zapewnia centralna dla innych subkultur spuścizna muzyczna. Trudno od gimnazjalistów oczekiwać dzieł ponadczasowych.

Tokio Hotel to legenda papierowa, i to z tak banalnego powodu, że członkom grupy stuknęła już dwudziestka. Dystans wiekowy między nimi a fanami stał się nie do wytrzymania. Wyznawców zniechęcają zresztą sami idole. Członkowie My Chemical Romance już jakiś czas te-

mu nazwali emo „stertą g...a”. A w październiku ubiegłego roku lider formacji Fall Out Boy na scenie nowojorskiego Madison Square Garden ostentacyjnie ściął sobie grzywkę i obwieścił, że „emo umarło”.

0 emo bądźcie spokojni

Obawa o przyszłość jest jednak tak naprawdę emo obca – i to jest czwarty paradoks. Wszak, co ich rodzice zdobyli, nie szczędząc raz kolan, a raz łokci, mają podane na tacy.

– Emo śpią spokojnie. Wyciszeni i grzeczni czekają na moment, gdy zetną gładkie grzywki, a młodzieżowe ciuchy zamienią na szykowne garsonki i garnitury – mówi profesor Wyka. – Bo kogo dziś stać na emo? Fryzjer, modne ubrania, profesjonalny makijaż. To kosztuje. Tak oto zamożne klasy średnia i wyższa szykują się do roli yuppie. Emo do serca wzięli sobie lekcję, którą dostali od rodziców – harując na dostatnie życie, można nawet nie mieć czasu na skorzystanie z tego, co gromadzi się w apartamencie.

Finansowo zabezpieczeni emo, na dodatek wykształceni i ocytani, posługujący się świetną polszczyzną i językami obcymi, poradzą sobie na rynku pracy. – Bez stresu i agresji, bez rozpychania się przez tłum wygrzą pierwszych kapitalistów, którzy wprawdzie skutecznie, ale nieco na oślep dorobili się w nowej Polsce – dodaje profesor Wyka. – Emo nie musi harować na pierwszy samochód i własne M-4. Z odrzucających świat nastolatków wyrosną profesjonaliści bez reaktywnej depresji na kapitalizm. Dano im podwaliny sukcesu, oni muszą tylko spokojnie dokręcić szczegóły.

I to jest piąty paradoks. A morał? Smutny jak emo – pieniądze szczęścia nie dają, ale koniec końców biorą górę.

Sukces, czyli porażka. Nawet skrajne subkultury rynek potrafił zmienić w modę



2001 EMO
Media szukają, i znajdują: smutni, introwertyczni emo jak ulal pasują do żaloby po atakach na World Trade Center

1976 PUNK
Nihilizm trafia do mainstreamu za sprawą Sex Pistols. Nie na długo

1977 SKINHEAD
Do walki ze zgnilizną punk rocka ruszają skini. Widoczni głównie jako kibole

1980 METAL
Iron Maiden, Saxon i Motörhead na listach przebojów. Równocześnie!

1990 HIP-HOP
Z MC Hammerem i Dr. Dre będą rapować nawet gospodynie domowe



W jeden dzień zmień firmę na lepszą.

W biznesie wszystko się zmienia, a z Play dla Firm na lepsze. Twoja firma, dołączając do Play, natychmiast wchodzi w **Stan Darmowy** – stan rozmów za **0 gr/min**, czyli całkowicie bezpłatnych i nielimitowanych, ze wszystkimi numerami w Play i stacjonarnymi. A jeśli zmieniasz sieć na Play, zachowujesz swój numer telefonu. Przeniesienie numeru może trwać zaledwie **jeden dzień**, a formalnościami zajmuje się Play.

www.playdlafirm.pl

PLAY



- aparat fotograficzny
8.1 Mpix
- GPS

- Nokia e-mail
- moduł A-GPS
z kompasem

Dla Firm

SYLWETKA

W tym tygodniu:
PAWEŁ PONCYLJUSZ PRZEKONUJE,
ŻE „NIE UGRYZŁ PREZESA
W RĘKĘ” – PONIŻEJ, A JANUSZ
WALUŚ – ŻE WIE, IŻ MORDERSTWO
TO GRZECH – S. 30

Najstubszy
pyta



ZA PIS!

Rozmowa odbyła się 10 marca 2010 roku w Warszawie

Polityk PiS ośmielił się skrytykować, czyli zdradzić, partię. Publika zamarała. Kaci zdjęli kaptury i dla niepoznaki zaczęli się golić toporami. „Przekrój”, korzystając z tej cudownej chwili, zapytał **Pawła Poncyljusza**, czy przelatuje mu przed oczami jego polityczne życie

Jak to jest bać się o swoją przyszłość?

– Każdy z nas czasem się o nią boi.

Ale akurat my się spotkaliśmy, więc pytam pana. Adresatem jest pan dobrym, bo właśnie skrytykował pan swoją partię za posiadanie tylko jednego kandydata na prezesa, a prywatnie, choć się to upubliczniło, uważa pan, że to schyłek PiS...

– Za bardzo się nie boję o swoją przyszłość, może jestem zbyt naiwny.

Pozbawiony wyobraźni?

– Może, ale dla mnie liczy się pewien komfort myślenia o przyszłości. Jeżeli nie ma szansy, że będzie lepiej – albo przynajmniej tak samo, jak jest – to człowiek staje pod ścianą i zastanawia się, co zrobić, żeby było lepiej albo chociaż nie gorzej. Traktuję politykę jako środek do realizowania swoich ambicji, celów, do zrobienia czegoś pro publico bono. Trwać w polityce po to tylko, żeby brać pensję i mieć za darmo bilet kolejowy czy lotniczy...

I podnosić rękę wtedy, kiedy mówią: „podnieś rękę”.

– Jak „oddaję” rękę, to muszę w zamian jakieś „swoje” rzeczy tu robić. I czasami mi się udaje. Nawet na kongresie panel dotyczący demografii i mój program „Absolwent” zostały pozytywnie odebrane. Tylko co dalej, co jest w przyszłości? Chciałbym być w partii, która co kilka lat sięga po władzę i ma szansę realizować swoje pomysły, więc wołałbym widzieć moją partię z szansami na wzrost, tym bardziej że w naszym przypadku zdolność koalicyjna jest również pod dużym znakiem zapytania, więc musimy być mocni sami w sobie.

Od dwóch lat szans na wzrost nie widać, więc może już czas porzucić sny o potęgze?

– Kłopot polega na tym, że dzisiaj mamy na scenie politycznej dwie duże siły, które trochę się zakęsały, a mnie interesuje stawianie realnych problemów, szukanie rozwiązań i to schodzi na margines. Gdybym mógł wejść do jakiejś szuflady, w której bym sobie dłużył, i z tego wychodziłyby jakieś sensowne ustawy, które pomagają tysiącom ludzi, tobym w niej siedział.

Z mebli jest tylko pokerowy stół.

– Jednak próbuję sobie taką szufladę sklecić.

Może czas odejść z polityki, panie pośle, wyjść spod stołu?

– Może taki będzie mój koniec. Ten 2011 rok nie jest tak daleko i rzeczywiście jeżeli dalej „jedynie słuszna Platforma” rządzi, a wszystko, co złe, to wina PiS, to takie okładanie się kijami w Sejmie bez żadnego efektu nie miałoby sensu...

Ale z drugiej strony gdyby wsłuchać się w wasz ostatni kongres, to alternatywą znowu jest IV RP, tylko z masowymi turnusami w Egipcie i Tunezji.

– PiS jest oceniane z perspektywy tych lat 2005–2007.

I słusznie, bo mężczyznę poznaje się po tym, jaki jest, kiedy ma władzę. Wtedy poznaliśmy mężczyznę o nazwisku PiS.

– Tylko że ten mężczyzna nie do końca pokazał wszystkie swoje walory. Albo nie dokończył tego, co rozpoczął.

Pokazał, na czym mu zależy, na przykład ustami i twarzą Zbigniewa Ziobry, że sprawiedliwości chce dokonywać na konferencjach prasowych, a niechętnych szachować umiejętnie sterowanymi przeciekami z prokuratur i służb specjalnych.

– Myślę, że są tacy ludzie jak pan, którzy nas oceniają surowo przez pryzmat tych konferencji... I to też powinno nas skłaniać do nabrania odrobiny powietrza w płuca i zastanowienia się co dalej. Ale mogę pana pocieszyć: nic dwa razy takie samo się nie dzieje. Mam nadzieję, że te błędy, które zostały popełnione, również z perspektywy – tak jak pan to powiedział – konferencji prasowych, nie powinny się powtórzyć.

A skąd ta nadzieja? Nie usłyszałem żadnego autorefleksyjnego słowa w sprawie ówczesnej działalności prokuratur, służb, konferencji ministra sprawiedliwości. Wręcz przeciwnie, jedynym, choć w kuluarach szepcany, kontrkandydatem dla Jarosława Kaczyńskiego jest właśnie sprawca tego wszystkiego, który nigdy nie powiedział – jeżeli nie został zmuszony przez sąd – „przepraszam”.

– Jeżeli pan mnie próbuje namówić do jakiegoś spekulowania o personaliach, to nie jestem tym zainteresowany. Tym bardziej że zdaję sobie sprawę, iż partia nie jest jednym człowiekiem czy dwoma ludźmi.

A czy partia może myśleć mózgiem jednego człowieka?

– Nie, bo ten mózg nie ma aż takiej percepcji, żeby ogarniał wszystko i na wszystkim się znał.

A jeżeli ma takie ambicje?

– Jeśli mówimy o Jarosławie Kaczyńskim, na pewno jest to bardzo silna osobowość i również bardzo silny „mózg” w kategoriach pewnych pomysłów. Jarosław Kaczyński idealnie nadaje się do wytyczania generalnych kierunków, ale potem przekuwać to na konkretne czyny, na konkretne projekty musi cała armia kaprali czy oficerów.

Mnie się włos jeży na głowie, jak wy mówicie

– w PiS i PO – my kaprale, żołnierze, jesteśmy armią, która wykonuje rozkazy. Sami się poniżacie.

– Ale ja dzisiaj właśnie o tę różnorodność myślenia i mówienia walczę w Prawie i Sprawiedliwości! I nie używam żargonu wojskowego po to, żeby obniżyć rangę polityków, tylko wydaje mi się, że nie ma lepszego nazewnictwa... Jest szereg i każdy ma swoje zadanie do wykonania. I byłoby dobrze, gdyby każdy odgrywał tę rolę, do której jest predestynowany. →





→ Dzisiaj życie społeczne jest w dużej części życiem grupowym. Tam, gdzie ono jest, idzie się naprzód. Natomiast tam, gdzie tylko pojedyncza osoba ma być takim *one man company*, wszystkim, to zazwyczaj coś jej umyka albo robi coś nie do końca dobrze.

Chyba tak jest w PiS?

– Tak wygląda to w telewizji, chociaż tak nie jest. Mamy w PiS całą rzeszę ludzi z doświadczeniem samorządowym, znających się na kulturze, służbie zdrowia, pomocy społecznej i nie do końca wykorzystujemy ich potencjał. I to nie jest kwestia decyzji prezesa, tylko czasami gdzieś wykuwa się jakaś koncepcja, nikt jej nie zestawia z poglądami tych, którzy naprawdę mają coś do powiedzenia, i na końcu mamy słynne trzy miliony mieszkań, które były wtopą. Ktoś tego nie położył na stole, nie poddał krytyce, a zostało wymyślone, bo „coś musimy powiedzieć”, i hasło „trzy miliony mieszkań” poszło. Przez to, że ci, którzy to wymyślali, czuli się wszechwiedzący, potem przez wiele lat żęśmy się z tego otrępywali.

Ważny jest dla pana pewnego rodzaju komfort bycia w polityce, a on jest wtedy, kiedy jest szansa na wzrost, na rzeczową dyskusję. Rozumiem po pańskich wypowiedziach, nieco samobójczych, że trochę pan tego poczucia komfortu stracił?

– Nie.

Zafikał pan tylko po to, żeby fikać?

– Nie, ja fikam po to, żeby przemodelować trochę Prawo i Sprawiedliwość, to znaczy fikam oczywiście w cudzysłowie.

Widzę w panu kogoś, kto kładzie się na tory w intencji remontu nadjeżdżającego pociągu.

– Nie. W PiS jesteśmy dość blisko tego, żeby złapać pewną refleksję z przeszłości, czy była dobra...

Co pana skłania do takiego myślenia, bo publicznie nic na ten temat nie wiadomo?

– Nie ma co uzewnętrzniać wszystkiego na forum publicznym.

Ale cokolwiek! Cokolwiek, co nie byłoby po myśli prezesa. W ostatnim czasie pański głos i głos posła, który proponuje, że być może w przyszłości zawiąże się koalicja z SLD, są jedynymi takim głosem. A to, że pan fika, nie jest więc może dowodem na autorefleksję w PiS, tylko może na pańskie szaleństwo lub chęć przecięcia jakichś więzów, które pana krępują.

– Ale mnie nic nie krępuje! To, jak potraktowano moją krytykę, pokazuje, że można w PiS mówić szczerze.

Pamięta pan historię Pawła Zalewskiego, który zaczynał podobnie jak pan – z krytyką. Robiłem wtedy z nim wywiad i mówię: wie pan, panie pośle, jak to się skończy, a on: nie, nie, jestem dowodem na to, że można w PiS robić rzeczową debatę... Już go nie ma, już jest wrogiem PiS.

– Mnie się wydaje, że jeżeli się jest w jakiejś grupie, to trzeba czuć z nią identyfikację. Ja do tej pory znajdowałem sobie przestrzeń, a może też było tak, że do tej pory mniejsza swoboda czy mniejsze pole mnie satysfakcjonowało...

Może pan dojrzeć, skoro zaczęło coś uwierać?

– Może tak, może dojrzałem i tego samego oczekuję od innych kolegów w PiS. Zwłaszcza że historia odejścia Pawła Zalewskiego, Kazimierza Ujazdowskiego i Ludwika Dorna pokazuje, że kiedy naprawdę by-

ło z naszej strony ostrzej, to gdzieś nam Platforma uciekła. A Zalewski, Dorn i Ujazdowski wtedy nie godzili się na to, co Jarosław Kaczyński proponował, że idziemy ostrzej, że musimy twardo traktować rząd, bez żadnej taryfy ulgowej. I w pewnym sensie na tym poległ. Dzisiaj po tych dwu i pół roku mamy konkretne wykresy notowań poszczególnych partii. I tak, jak w 2007 roku różnica między PiS a PO wynosiła 10 procent, tak dzisiaj ta różnica to około 20 procent.

Ale co pan! Prezes Kaczyński mówi, że macie tajne badania, które wskazują, że idziecie łeb w łeb!

– Pan szydzi.

Szydzi, bo politycy pana partii z poważnymi minami to powtarzają.

– Ja nie widziałem tych badań. Faktem jest, że dzisiejsze 27 procent jest dla nas obiecujące, choć pewnie odcinamy kupony od kongresu, który był przede wszystkim wydarzeniem medialnym. A ja bym chciał, żeby oprócz tego wydarzenia medialnego był też plan konkretnych rozwiązań. Ktoś powie: nikt PiS nie będzie słuchał... Ja wierzę, że jeśli coś się robi długo i konsekwentnie, nie popełniając medialnych gaf i nie szczerząc zębów, to można wiele osiągnąć. PO jest tego przykładem – ci goście tylko się uśmiechają, mówią, że są fajni, a blisko 50 procent Polaków to kupuje z różnych powodów. Również z takich, że są tak zrytowani na Prawo i Sprawiedliwość, iż poprą każdego diabła!

Może wystarczy, że pamiętają czas, kiedy PiS stawalo się mężczyzną.

– Każdy będzie co innego pamiętał. Wiem, że niestety ciąży nad nami ta cała atmosfera związana ze służbami i z konferencjami prasowymi, ale ja akurat cieszę się z wielu drobnych rzeczy, które udało nam się w czasie tych dwóch lat zrobić.

Dla salonu warszawskiego byłbym smaczny wtedy, kiedy „gryzłbym rękę prezesa”. Ale nie taka była moja intencja

Że „niech pan nam opowie, jak pan gryzł prezesa w rękę”?

– Raczej na zasadzie: a czy pan wtedy myślał o tym, o kim...

I „czy nie boi się pan, że zarazi się wściekłą, po tym jak ugryzł pan prezesa w rękę”, na przykład?

– Rozumiem, że dla tak zwanego salonu warszawskiego byłbym smaczny szczególnie wtedy, kiedy „gryzłbym rękę prezesa”. Ale nie taka była moja intencja i bardziej odnosiłem się do pewnej atmosfery na kongresie, która mnie nie napelniła nadzieją, i że „czeka nas świetlana przyszłość”.

Czego zabrakło?

– Spokojnej retoryki, takiej trochę z kongresu krakowskiego, że „nie wojna, a pokój”, czyli to, co wtedy powiedział Jarosław Kaczyński. Gdyby nam się udało utrzymać tę retorykę...

Ale się nie udało, bo nie mogło.

– Dzisiaj byłibyśmy na porównywalnym poziomie notowań z Platformą Obywatelską. Oczekiwałem, że kongres poznański będzie dobrym momentem na takie słowa.

Nie sądzi pan, że przywódcy waszej partii, a w szczególności Jarosław Kaczyński, taką mają naturę, wojującą, na oskarżaniu innych budującą własną pozycję, że partia zawsze będzie krzyczała raczej „wojna” niż „pokój”?

– PiS w swojej historii nie miało dłuższego okresu, w którym program pozytywny odgrywałby jakąś szczególną rolę.

– I pan przesądza, że jest już pewne jak amen w pacierzu, że nigdy partia nie może się zreformować właśnie w kategoriach balansu, przynajmniej między przekazem pozytywnym a negatywnym?

Jeżeli już jesteście dorosłymi ludźmi, w tej partii parę lat, jeżeli jej przywódca, jego zastępcy, również prezydent, tłumaczyli wam, że trzeba wojować, że trzeba szczeleć, to już będziecie szczeleć, panie pośle.

– Ale jak pokazały ostatnie dni, nie szczeleć.

99 procent szczeleć, a jeden nie, to znaczy, że nie szczeleć. Jarosław Kaczyński przekonał was do swojego widzenia świata, wroga i istoty polityki, a pan chce to reformować. Jest pan neurologiem?

– Nie, jeśli chodzi o diagnozę, to ja się w większości rzeczy z prezesem zgadzam, tylko chodzi o instrumenty czy narzędzia, które mają doprowadzić do poprawy rzeczywistości. Jeżeli mówimy: „ten jest zły”, to nie tylko się nakręcamy, że „on jest zły”, ale też zastanawiamy się, co z tym złym trzeba zrobić, jak go wyeliminować. W diagnozie PiS jest dzisiaj świetne, natomiast brakuje tego kolejnego kroku, czyli jest źle i tak będziemy robić, żeby było lepiej.

A jak się nie będzie udawało, to zawsze powiemy: „my stoimy tu, gdzie stoczniovcy, a wy tam, gdzie ZOMO”. Ile razy to przerabialiśmy...

– Chce pan mnie skłonić...

Do wyciągania wniosków z przeszłości.

– Nie czuję się romantykiem, na to jestem zbyt pozytywnie nastawiony do rzeczywistości. Twardo chodzę po ziemi i wiem, że w polityce nie ma niczego na pewno, że kiedy jest koniunktura na coś innego, to coś się przełamuje, więc może...

Jarosław Kaczyński na pewno nie jest koniunkturalny, a nic nie zapowiada, żeby przestał być przywódcą PiS, bo w dużej mierze stworzył tę partię i ją spaja.

– Ja nie mam problemu z Jarosławem Kaczyńskim. Nauczyłem się go rozumieć, jestem w stanie w miarę widzieć sens różnych ruchów.

Ale my go też doskonale rozumiemy, kiedy snuje swoje insynuacyjne oskarżenia. Nie rozumiemy, tylko kiedy mówi o pokoju.

– Właśnie, że nie, bo na przykład tekst o Egipcie czy Tunezji był opacznie zrozumiany. Podchwyciono tylko ten wątek, a nie ten, który moim zdaniem był najważniejszy dla Jarosława Kaczyńskiego, że za wyjazdem na te wakacje kryje się dobrobyt przeciętnej rodziny.

Pamięta pan, jak potem Wałęsie latami wypominano sto milionów?

– I skarpetki, w których miał puścić złodziei.

Emeryci będą krzyczeć w 2020 roku: Jarosław! Chcę do Egiptu! – tak to się skończy.

A pańska historia skończy się wykopaniem pana z PiS. I co wtedy, głupio będzie tak do Palikota się przytulić?

– Nie, zaprzeczyłbym sam sobie. Ale nie wiem, co będzie. Wierzę, że jednak będę w PiS, to od mojej partii zależy, czy uważa, że tacy jak ja są potrzebni.

Od Jarosława Kaczyńskiego, a nie od partii.

– No dobrze, od Jarosława Kaczyńskiego, ale partia też ma jakieś swoje organy statutowe. Cały czas mogą się przydać Prawo i Sprawiedliwość.

Jak pan nie będzie kłapał dziobem, to tak.

– Ale rola końca maszyny do głosowania też mnie nie interesuje.

Dzwonią do pana z wyrazami poparcia partyjni koledzy i koleżanki i mówią: też bym tak powiedział, gdybym nie miał kredytów?

– Nie, choć rozmawiamy o tym, co powiedziałem.

Mówią, że jest pan odważny?

– Nie odbierają tego w kategoriach odwagi.

Głupi?

– Mówią: coś ty zrobił, czy ten Twitter to naprawdę pomyłka? Dla mnie jest dobrym sygnałem, że partia dopuszcza różnorodność. Jest wypowiedź Joachima Brudzińskiego, że każdy w PiS może mieć swoje poglądy. Jestem o dwa pokolenia młodszy od Jarosława Kaczyńskiego, więc nie jestem żadnym zagrożeniem dla niego. Nie mam też interesu skakać mu do gardła. Moja szansa w PiS robienia czegoś fajnego wiąże się z tym, że tym spoiwem dla partii jest Jarosław Kaczyński.

Dopóki pan nie traci poczucia komfortu, że jest pan w tym miejscu, w którym coś można robić.

– No tak.

A przypomnę, że mamy przed sobą trzy kampanie wyborcze i raczej zamordyzm będzie panował we wszystkich partiach. Powyciągają was z szuflad i każą wam maszerować, a nie debatować.

– I w tych kampaniach musi być również przekaz konstruktywny, a nie tylko ten zły. I ja się zgłaszam do pisania tego pozytywnego przekazu.

Ale bez prezesa Kaczyńskiego ani rusz.

– Tak, Jarosław Kaczyński jest spoiwem.

Więc są dwa wytłumaczenia następstw tego nieodwołalnego spajania: spoiwo jest toksyczne – spaja, ale zatrzuwa to, co spaja, i nie pozwala wyrosnąć niczemu nowemu – albo wokół spoiwa jest grupa osób, które sączą ten jad. Są tylko takie dwa wyjścia.

– Tak.

Czyli jeżeli pan wierzy w Jarosława jako przywódcę, to w takim razie gdzieś w jego otoczeniu są ludzie, którzy po prostu szkodzą PiS... To trzeba przeciw nim otwarcie wystąpić!

Paweł Poncyłjusz, 41 lat, harcerz (ZHR), historyk (niespełniony), biznesmen (8 lat), poseł. Studia na Wydziale Historycznym UW przerwał, by założyć firmę. **Drogo do dużej polityki torował sobie w samorządzie Warszawy.** W 2001 roku wystartował w wyborach do parlamentu z listy PiS. Choć partia wycofała dla niego poparcie – nie konsultował kampanii – dostał się do Sejmu. W rządzie Kazimierza Marcinkiewicza wiceminister gospodarki. Żonaty, czwórka dzieci. Kocha polskie góry.

– Nie w takich kategoriach, że szkodzą, tylko że...

Nie pozwalają mu rosnać.

– Cały czas wierzę w to, że każdy człowiek ma jakiś swój talent i swój atut, tylko problem polega na tym, że jak gra w piłkę nożną w lidze okręgowej, to nigdy w ekstraklasie nic wielkiego nie robi.

Dobra. Do czego ma talent Gosiewski?

– Organizacyjnie jest bardzo dobry.

Na skalę ogólnopolską czy raczej...

– Na skalę ogólnopolską i na każdą.

Lipiński?

– Lipiński jest mocny intelektualnie i potrafi spojrzeć na taką rozgorączkowaną głowę, również czasami i moje emocje potrafi zgasić, powiedzieć: trochę inaczej trzeba na to spojrzeć. Ma dystans.

A Bielan do czego ma talent?

– Na pewno ma talent do działań medialnych.

No dobrze, czyli trójka głównych ludzi w PiS ma talent i robi to, co powinna robić. To dlaczego się nie udaje, panie pośle?

– To przecież nie jest koniec komitetu politycznego. I tyle.

Wytrzyma pan w PiS do przegranych wyborów prezydenckich, bo dopiero potem będzie szansa na rzeczową dyskusję o zmianach w partii?

– Poczekajmy na wynik. Może się okazać, że nie miałem racji i twarda retoryka przynosi efekty. Myślę, że wytrzymam, bo dyskusja nad kształtem PiS przed wyborami w 2011 roku zacznie się realnie po wyborach prezydenckich.

Ale panu już nikt tam nie będzie ufał, bo pan już zaszczekał na swoich, a w tej partii nie wolno szczeleć na swoich.

– Wszyscy by chcieli, żeby nikt nikomu nic nie wytykał. Powiedziałem tylko o pewnej atmosferze i o tym, że należałoby zmienić przekaz. Myślę, że wielu się ze mną zgadza co do tego, nawet nie muszą dzwonić.

No, ale siedzą w swoich budach...

– Teraz to pan do żargonu psiego nawiazuje.

To nie ma na celu poniżenia, tylko przybliżenia...

Świat psów jest mi bliski.

– Z różnych powodów siedzą. Przecież w polityce znajdzie pan bardzo wielu oportunistów, osób, które mało chcą, nobiletują ich tylko samo sprawowanie funkcji posła, wariatów, chciwych, głupich. Wszystkiego po trochu.

A pan jest jaki?

– Może jestem głupi – w tym sensie, że jestem naiwny.

Może pan tylko teraz udaje głupiego, żeby z prawdziwego pistoletu do pana nie strzelili?

– Najtrudniej samego siebie oceniać. Ale wracając do tych, którzy siedzą w tych budach i nie chcą wystawiać nosa... Walec oczywiście jedzie i rozjeżdża tych, którzy są zbyt naiwni, zbyt otwarci w swoich poglądach. Możliwe, że gdzieś za rok dojdę do bariery, po przejściu której już bym się niekomfortowo czuł przed lustrem. Dziś mój komfort polega na tym, że ja nie muszę tłumić w sobie poglądów. I druga cecha, która nie pozwala mi się zapomnieć, to ocena przy każdej porażce, czy ja sam nie jestem winny, a nie szukanie winnych naokoło siebie.

Jak ja żałuję, że pański szef nie ma tej cechy...

–...ale co ja mam na ten pański żal poradzić?

Pan nic, ja też mogę niewiele.

– Ja nie będę nikogo pouczał.

RATOWAŁEM RPA PRZED KOMUNĄ



Polski imigrant, który zabił Chrisa Haniego, nie uważa się za mordercę. Raczej za bojownika, który „walczył z terroryzmem”

WIĘZIEŃ SZYMON OPRYSZEK Z PRETORII

Czy pan wie, że w XVI wieku portugalscy żeglarze lepiej się znali na nawigacji niż Brytyjczycy 300 lat później? – pyta z pasją Janusz Waluś od 17 lat zwiedzając świat palcem po mapie. Nigdy nie był w Portugalii, ale chciałby tam pojechać. Język już zna. Musi jeszcze tylko wyjść na wolność. Trudno było z nim się spotkać. Na mój list skierowany do więziennej skrytki pocztowej odpowiedział po niemal pół roku. Teraz siedzi przede mną. Pomarańczowy strój, mlecznobiałe, krótko przystryżone włosy, twarz poorana zmarszczkami. I te oczy. Przejmujące. Jest inteligentny, czytany, wysportowany, ma czarny pas karate. Mówi wolno, waży każde słowo. To fatalnie, bo zgodnie z więziennymi regulaminem mam na rozmowę zaledwie godzinę.

Gmach więzienia w Pretorii, jednego z największych w Republice Południowej Afryki, widać z daleka. Do 2006 roku uchodziło za fortecę nie do sforsowania. Mit prysł, gdy z sekcji C-Max dla najgroźniejszych więźniów uciekł

Janusz Waluś, najslawniejszy zabójca w RPA, wie, że morderstwo to grzech. Już sobie go wybaczył. Teraz liczy na to, że wybaczy mu państwo

niejaki Ananias Mathe. Ten mozambijski seryjny zabójca przekupił strażnika, a potem wysmarował się wazeliną i przecisnął przez okno w celi. Waluś nigdy go nie poznał, bo siedzi w sekcji B o standardowym rygorze.

Z oddalonej o kilkaset metrów części dla najmniej niebezpiecznych więźniów dochodzą śpiewy, w strasznym upale kilku czarnoskórych kopie rowy. Tu, w sekcji B, panuje cisza. Straż-

niczka zagląda przez wizjer. Kamery obserwują korytarz. Pełno bramek do wykrywania metalu. Wrażenie jak z amerykańskich thrillerów.

Czyn

W Wielki Piątek 1993 roku Janusz Waluś zmienił historię RPA. Zabił Chrisa Haniego, czarnoskórego lidera partii komunistycznej i ulubieńca tłumów. Na opisanie tego zdarzenia nie używa słowa „zamach”, lecz „czyn”. Hani wrócił z zakupów i właśnie wysiadł z auta zaparkowanego na podjeździe przed willą. Waluś nie chciał strzelać w plecy, więc zawołał Haniego po nazwisku i nacisnął spust. Trafił w głowę i brzuch. Kolejne dwie kule posłał w skroń. Przez lata namnożyło się legend o ucieczce Polaka sportowym samochodem, ale prawda jest o wiele mniej spektakularna. Wsiadł do auta, odjechał i... kilka przecznicy dalej wpadł w ręce policji podczas rutynowej kontroli. – Nie stawiałem oporu, bo i tak nie miałem dalszych planów – opowiada. – Zresztą funkcjonariusze gratulowali mi odwagi. Wśród współwięźniów też cieszę się szacunkiem.



Soweto, 20 kwietnia 1993 roku, dzień pogrzebu Haniego. Dla czarnoskórych jego śmierć była ostatnim koszmarem apartheidu

Nie tylko wśród więźniów. W Pretorii, w niebezpiecznej dla białych dzielnicy, zatrzymuje mnie patrol policji. – Jesteś z Polski? – pyta glinkarz. – Znam jednego Polaka. Walusia. Gdyby nie zamordował Haniego, byłibyśmy drugim Zimbabwe zmagającym się z reżimem i biedą.

Z Polski Janusz Waluś wyjechał w 1981 roku, przed wprowadzeniem stanu wojennego. Był szlifierzem, ale w RPA miał się różnych zajęć, starał się nawet o pracę spawacza pod wodą. Ostatecznie jednak zajął się polityką. Najpierw zaangażował się w działalność Afrykanerskiego Ruchu Oporu, który opowiadał się za supremacją białych, potem został bliskim współpracownikiem Clive'a Derby'ego-Lewisa, czołowego polityka partii konserwatywnej. – Tamta RPA to było coś, o co warto było walczyć – mówi. – Starałem się chwycić dzień, wyjechałem z Polski za uczciwą pracą. Kusiły lepsze zarobki i dobry klimat.

Po przyjeździe do Afryki pozostała w nim zaszczerpiona jeszcze w PRL nienawiść do komunizmu. – Komuniści zniszczą nasz kraj – miał powiedzieć o RPA podczas procesu, uza-

sadniając zamach na Haniego. Wraz z Derby'm-Lewisem (od niego dostał broń) został skazany na karę śmierci. W 1997 roku wyrok zamieniono na dożywocie.

Brat

Z punktu widzenia konserwatywnych i białych środowisk przepowiednia Walusia się spełniła. Zniszczono ich kraj. Na zgłiszczach apartheidu powstało państwo nowych społecznych kontrastów, szerzące rasizm à rebours. Wielu Polonusów twierdzi zresztą, że niewinnego Walusia w całą sprawę wrobiono. Spotkałem tylko jednego, który ma inne zdanie. – Przecież jego brat dostał kontrakt od rządu na dostawę samochodów dla armii. Przypadek? – jeden z najbardziej wpływowych Polaków w tym kraju sugeruje, że za wszystkim stał układ. Waluś zabił lidera komunistów, który stanowił poważną konkurencję dla wielu innych polityków. Trafił do więzienia, ale w ramach rekompensaty jego starszy brat mógł rozkręcić interes. To jednak tylko spekulacje, a rozmówca nie godzi się na ujawnienie swoich danych.

Ów starszy brat to Witold Waluś. Jest kolekcjonerem pojazdów wojskowych. Pasję przekuł w biznes – jego firma modernizuje sprzęt bojowy dla zleceniodawców z Afryki. W siedzibie Farm Truck podpisuję z nim umowę o autoryzacji więziennej rozmowy z bratem. – Mamy złe doświadczenia z dziennikarzami – tłumaczy Witold. Za oknem stoją wraki zniszczone na kolejnych afrykańskich wojnach.

Spowiedź

Nelson Mandela powiedział w jednym z wywiadów, że zabójstwo Haniego mogło wywołać wojnę na tle rasowym i zahamować demontaż apartheidu. Mogło, ale nie wywołało i nie zahamowało. System oparty na rządach białych (choć stanowili zaledwie 13 procent społeczeństwa), bez praw wyborczych dla czarnoskórych odszedł w niepamięć. W 1994 roku jeden z najsłynniejszych więźniów politycznych XX wieku i laureat pokojowego Nobla został prezydentem demokratycznego państwa wolnych ludzi.

Oskarżyciele Walusia twierdzili, że następnym po Hanim miał być właśnie Mandela. →

→ Na dowód przedstawili listę nazwisk, którą posługiwał się Polak. Widniała na niej 10 osób, w tym przysły prezydent. – To był sporządzony przez pewnego dziennikarza spis wpływowych polityków RPA. Planował przeprowadzenie z nimi wywiadów. Mnie z listy potrzebny był tylko adres Haniego. Nie zamierzałem zabić Mandeli – zarzeka się Waluś.

Wyraża skruczę z powodu śmierci Haniego, ale zaraz udziela sobie rozgrzeszenia. – Żałuję, że odebrałem życie człowiekowi, osierociłem dzieci, a żonę uczyniłem wdową. Jednak ten czyn był wynikiem kalkulacji. Należy rozpatrywać go w wielu kontekstach, także politycznym – przekonuje.

Rozmawiamy skuleni na ławce, jedna strażniczka piluje paznokcie, druga czyta jakieś notatki. – Popeliłem grzech ciężki, mam tego

de Kock, pułkownik w czasach apartheidu, znany jako Pierwszy Zły. Trzy lata temu oskarżył nawet Frederika W. de Klerka, ostatniego białego prezydenta, laureata pokojowego Nobla wspólnie z Mandelą, jakoby ten wydawał rozkazy mordowania przeciwników apartheidu. De Kock podobnie jak Waluś odsiaduje wyrok, ale za zbrodnie przeciw ludzkości. Jeden i drugi mogą w oczach polityków uchodzić za cenne figury w bieżących rozgrywkach.

Hani typowany był bowiem na człowieka, który po Nelsonie Mandeli przejmie w RPA rząd dusz. Ale polityka nie znośi próżni: gdy Hani zginął z ręki Walusia, tempa nabrała kariera Thaby Mbekiego, który w 1999 roku został prezydentem RPA i rządził do 2008 roku. W ubiegłym roku miejscowe gazety poinformowały o tajnej wizycie obecnej głowy państwa Jacoba

go prezydenta. Polak zaklina się, że ani Zuma, ani Mbekiego nigdy nawet nie spotkał. – Problem w tym, że ludzie lubią plotkować i domniemywać. Nie było głębszej konspiracji. Byłem ja i Clive. Do dziś jesteśmy przyjaciółmi, więzienie nic nie zmienia. Nie rozmawiamy o czynie, wszystko zostało już powiedziane – ucina.

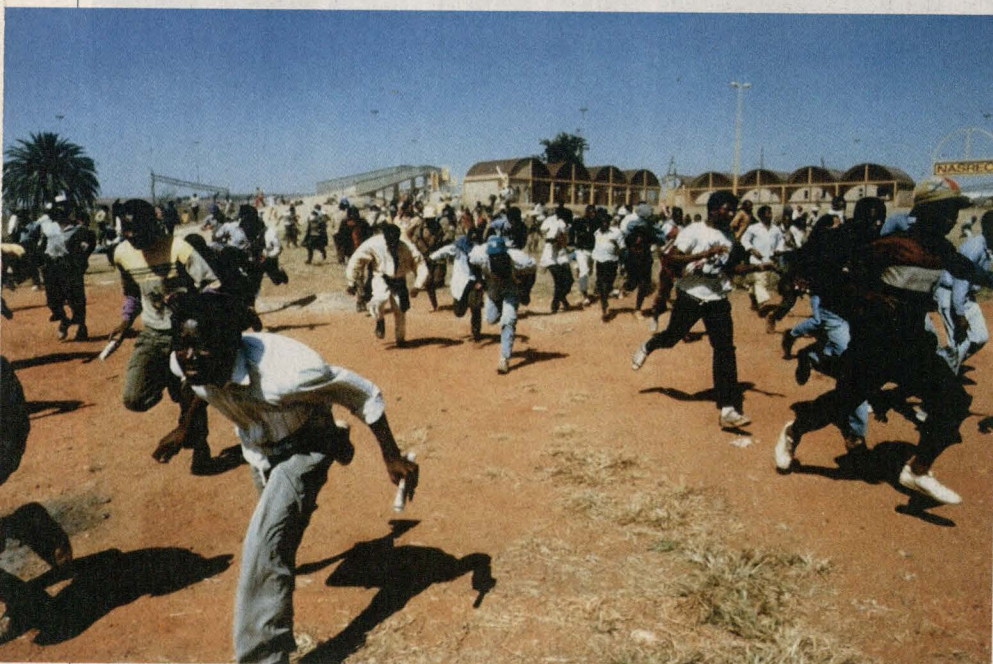
Nie wszystko. Nigdy nie został wyjaśniony udział w wydarzeniach niejakiego Joego Modise'a, którego nazwisko pojawiło się w trakcie śledztwa. Modise to kolejny przykład na to, jak absurdalne rzeczy dzieją się w tym kraju. Był kierowcą ciężarówki, partyzantem, współwięźniem Mandeli, a w końcu... podejrzanym o korupcję i nielegalny handel bronią, ministrem obrony i rywalem Haniego. Za pieniądze armii miał sobie wybudować sześć domów. Zasłynął też tym, że mianował generałem swoją żonę – jako pierwszą kobietę w historii południowoafrykańskiego wojska. Niektórzy twierdzą, że był podwójnym agentem udzielającym się po dwóch stronach – zwolenników i przeciwników apartheidu. Może to on zlecił zabójstwo Haniego? Tego zapewne nigdy się nie dowiemy, bo Modise nie żyje od 2001 roku, a Waluś nie chce o nim rozmawiać.

Bojownik

W 1998 roku Waluś rozwiódł się z żoną. Chciał poślubić śpiewaczkę gospel zaangażowaną w kampanię na rzecz więźniów politycznych. Nie dostał jednak zgody władz. Był to czas podsumowania kilkuletnich prac Komisji Prawdy i Pojednania, której przewodniczył czarnoskóry biskup Desmond Tutu (też laureat Pokojowej Nagrody Nobla). Podczas przesłuchania Polaka padło wtedy określenie „Waluś terrorysta”. – Nie byłem terrorystą – protestuje Waluś. – W 1992 roku spędzałem wakacje na wybrzeżu, gdy w jednym z hoteli wybuchła bomba podłożona przez przeciwników apartheidu. To był terrorizm. I ja z nim walczyłem. Zabijając Haniego, byłem bojownikiem o wolność.

Ale Komisja uznała zabójstwo Haniego za czyn kryminalny, nie polityczny. Polak znalazł się na liście 300 osób oczekujących na gest łaski prezydenta Zuma. Gdyby był więźniem politycznym, już objęłaby go amnestia. Dlatego Waluś narzeka na swój los. – Czyn polityczny można wykonać na zlecenie partii, a ja, wedle sądu, działałem na własną rękę. Jednocześnie skazano Derby'ego-Lewisa jako mojego przełożonego i zleceniodawcę – dodaje oburzony. Kilka razy prosi, by o tym napisać.

W zeszłym roku pewien mieszkaniak Radomia zaproponował, by jedną z ulic nazwać imieniem Walusia. Nic z tego nie wyszło. Waluś liczy na to, że z ulaskawieniem pójdzie mu lepiej. Ale nie przesadza z optymizmem. – W więzieniu nauczyłem się, by nie snuć planów. Nie odkładałem też spraw na jutro. Nie upalam się ani marihuaną, ani wizjami przyszłości – kończy. Nie, o Portugalii wcale nie marzy. Na święta poprosił brata o leki, tytoń i czarny pas karate.



Pogrzeb Haniego w Johannesburgu zamienił się w zamieszki

świadomość. Ale na początku lat 90. kraj był w stanie ciągłej walki pod różnymi sztandarami: narodowym, rasistowskim, wyzwolenieczym. W czasie wojny, a to była wojna niekonwencjonalna, niektóre czyny można usprawiedliwić – twierdzi. Dziś Waluś brzydzi się polityką, mówi, że teraz rządzi ci, którzy tylko urabiają opinię publiczną. Ale polityka do niego wraca jak koszmary apartheidu w RPA.

Haki

Marzenia o demokracji w tym kraju dawno zostały starte na proch. Dziś obok wspomnianego czarnego apartheidu, czyli reżimu skierowanego przeciw białym i kolorowym, w RPA panuje też ksenofobia wobec imigrantów z innych państw Afryki. Rządzą populiści na czele z Jacobem Zumą, prezydentem czarnoskórej biedoty. Politycy chętnie grzebią w historiach sprzed lat w poszukiwaniu haków na rywali. – Krew na rękach ma każdy – twierdzi Eugene

Zuma w więzieniu u Walusia i Derby'ego-Lewisa. Miał im proponować ulaskawienie w zamian za zeznania obciążające jego poprzednika, wciąż pozostającego jednym z jego najpoważniejszych konkurentów. Co ciekawe, adwokat Walusia bronił prezydenta Zuma w procesie o gwałt na kobiecie zarażonej wirusem HIV. Zumę uniewinniono, choć przyznał się do stosunku. – HIV? Szybko poszedłem pod prysznic – wzruszył ramionami. Absurd? W polityce RPA to norma. Oskarżonego o gwałt polityka popierają... kobiety z Afrykańskiego Kongresu Narodowego. A Zuma wygrał wybory, choć kiedyś za korupcję stracił urząd wiceprezydenta.

Mbeki już od dawna był podejrzewany przez komunistów o zlecenie morderstwa Haniego. Niespełna trzy lata temu jeden z jego ideowych towarzyszy nucił piosenkę: „Mbeki, Mbeki, powiedz nam, kto zabił Chrisa Haniego?”

Ale Waluś i Derby-Lewis mieli odmówić Zumie złożenia zeznań obciążających byłe-

KRAKOWSKIE KAMIENCE HERBOWE

Kraków, ul. Poznańska

Stać Cię na dobre sąsiedztwo

www.mieszkaniowy.as

TECZKI

MUZYKA JAREK SZUBRYCHT

Caryca abdykuje w Warszawie

Trzech tenorów to nudy, trzy diwy demoludów – to dopiero czad!

✓ **Maryla Rodowicz**, 65-latką, artystycznie najbardziej poszukującą, biznesowo najgorzej zorganizowaną, jako markę zaniedbaną. Jej klasyczne płyty czekają na reedycję, bogate archiwa na przejrzenie, a rynkowy potencjał na spieniężenie. Tyle dobra się marnuje...



TO KONIEC EPOKI. 61-LETNIA AŁŁA PUGACZOWA przechodzi na emeryturę. Nie chce nagrywać płyt, nie planuje koncertów. Nie będzie już śpiewać. Dla większości Rosjan może to być trauma porównywalna z upadkiem Związku Radzieckiego – Ałła też zawsze była, w dodatku wielka i niezwykła. Zadebiutowała w 1965 roku, ale na sukces musiała czekać aż 10 lat, kiedy piosenka „Arlekino” rzuciła na kolana jej rodaków, a w chwilę później inne bratnie narody.

Od tamtej pory panowała niepodzielnie na wschód od Bugu – nie zmiotły jej ani zmiany ustrojowe, ani stylistyczne (od piosenki literackiej po rocka), ani nawet bankructwo. Schodzi ze sceny u szczytu sławy, bo znalazła sobie no-

✓ **Alła Pugaczowa**

Już raz planowała emeryturę – w 1982 roku chciała odejść z wielkim hukiem, zdzierając z siebie sukienkę na transmitowanym przez telewizję koncercie z okazji Dnia Milicjanta. Uratował ją Leonid Breżniew. Bo umarł, a święto milicji i koncert odwołano

we hobby. Niejedno. Od trzech lat nadaje Radio Ałła, a szykowne Rosjanki mogą chodzić w butach Ałły i pachnieć Ałłą. Artystka szykuje się też do otwarcia teatru w Sankt Petersburgu i zapowiada autobiografię. Ponadto planuje przygodę z kinem. Wszyscy w Rosji marzą, żeby ujrzyć Pugaczową w roli carycy Katarzyny Wielkiej. Ona też nie protestuje, więc najpewniej taki film wkrótce powstanie.

Jej ostatni koncert w karierze odbędzie się 29 marca na Torwarze w Warszawie. □

✓ **Helena Vondráčková**

Jaka emerytura? Dla pięknej Heleny (63 lata) czas się zatrzymał. Wygląda równie dobrze jak w latach 70. i – co już nie jest takie fajne – to samo śpiewa. Czyli rozpasany festiwalowy pop i musicale



Pozbyć się takiego mleka to grzech. Daniel Angerer i lodówka wypełniona po brzegi pokarmem żony

Mami ser dla najbliższych przyjaciół

Kozi, owczy, krowi, a dlaczego nie kobiecy?

TO PYTANIE ZADAŁ DANIEL ANGERER, właściciel i szef kuchni nowojorskiej restauracji Klee Brasserie. I sam na nie odpowiedział. Na pomysł stworzenia twarogu z ludzkiego mleka wpadł, gdy jego córka Anabelle kończyła cztery tygodnie, a domowa lodówka nie domykała się od pojawienia się nadmiaru odesanego przez karmiaczkę mleka. Najpierw Daniel myślał o oddaniu go kobietom mającym problemy z niedoborem pokarmu. – Pozbyć się go

to jak wylać płynne złoto – mówił. Mleko uznał za szczególnie zdrowe, bo żona jest wegetarianką. W końcu postanowił coś z niego przyrządzić. I tak na swoim blogu kucharz zdradza recepturę na Mami ser oraz radzi, z czym najlepiej go podawać. Kulinarnym wynalazkiem częstuje tylko najbliższych przyjaciół. Nie odważył się zaserwować dania gościom restauracji i – jak zastrzega – nigdy nie wykorzysta w kuchni mleka innej kobiety. – aj

Wszystko na sprzedaż

WIELKA SZTUKA W GALERII. HANDLOWEJ

RZEŹBA PIOTRA UKŁAŃSKIEGO, jednego z najdroższych polskich artystów, stanie przed moskiewską Ikeą. W ramach przebudowy kompleksu Mega Tępy Stan pod Moskwą szwedzki koncern zamówił wielkie rzeźby u znanych artystów. Oprócz Ukłańskiego intratną (zapewne) propozycję otrzymał finalistą Turner Prize, Szkot Jim Lambie oraz Duńczyk Jeppe Hein. O tym, że obecność w najlepszych galeriach i w komercyjnych przestrzeniach nie musi się wykluczać, świadczy projekt Ukłańskiego z 1999 roku. Artysta wykonał na filarze



przy wejściu do warszawskiego Smyka mozaikę z porcelanowych talerzy, odpadków produkcyjnych z Cmielowa i Pruszkowa. Było to na długo przed tym, zanim zrobiło się o nim głośno. Momentem przełomowym w jego karierze stała się kontrowersyjna wystawa „Naziści” w warszawskiej Zachęcie w 2000 roku. Ponownie zawrzało

w 2006 roku, kiedy ci sami „Naziści” zostali sprzedani na aukcji w Londynie za rekordową wtedy sumę 568 tysięcy funtów. Ukłański ma za sobą jeszcze wiele innych głośnych projektów, między innymi monumentalną fotografię przedstawiającą podobiznę Jana Pawła II utworzoną z ludzkich sfotografowanych z lotu ptaka. Czym zaszkodzi w Moskwie? Szczegółów jeszcze nie znamy, ale wiadomo, że chce wykonać rzeźbę z metalu, na tyle wielką, by była widoczna z 16-pasmowej autostrady biegnącej w pobliżu kompleksu.

– anja

NIEZNANE O ZNANYCH, CZYLI SKOK W BOK

MEDYCY RZEŹNICY

GIGANCI MEDYCYNY, CZULI OPIEKUNOWIE RODZĄCYCH, WIELCY ANATOMOWIE, WIECZNI RYWALE. SERYJNI MORDERCY



Olga Woźniak

Londyn XVIII wieku nie był przyjemnym miastem. Przeludniony (liczba mieszkańców wzrosła z 675 tysięcy w 1750 roku do 900 tysięcy 50 lat później), wypełniony budowanymi naprędce i byle jak domami. Z rynsztokami wypelnionymi śmieciami, odchodami i zdechłymi zwierzętami. Śmierdzący, ponury, pełen biednych ludzi przybywających z prowincji po lepsze życie, porzuconych dzieci, złodziei, prostytutek i poszukiwaczy okazji. Nic dziwnego, że w tym właśnie czasie (w 1749 roku) władze miasta zdecydowały się na powołanie pierwszych oddziałów zorganizowanej policji.

Stróżę prawa mieli pełne ręce roboty. Publiczne egzekucje były na porządku dziennym, mimo to wcale nie zniechęcały różnej maści rzezimieszków. Wystarczyło ukraść, zastraszyć, zabić, by kilka pensów wpadło do kieszeni. Konkurencja w przestępczym świecie była tak duża, że na wagę złota było nawet zdobycie możnego zleceniodawcy. I tu nagle taka gratka!

Dwóch nobliwych panów dawało zarobić pod warunkiem dostarczania świeżych zwłok (lub nieprzytomnych ofiar). Warunek był dziwny – musiały to być kobiety w ciąży. Czego jednak się nie robi dla pieniędzy? I tak z londyńskich ulic zaczęły znikać ciężarne. Nikt nie podnosił krzyku, nie robił awantury, bo kobiety samotne, ze społecznych nizin, bez rodzin i wsparcia. Kilka osób, które może je znały, wzruszało ramionami – pewnie poszły utopić się w Tamizie albo umarły, poddając się spędzeniu płodu u jakiejś samozwańczej akuszerki. W ten sposób zniknęło blisko 40 kobiet.

Co się z nimi działo? Ich pośmiertne losy wyśledził niedawno brytyjski historyk medycyny Don Shelton. Przeprowadził prywatne, żmudne śledztwo i odnalazł je... w atlasach anatomicznych dwóch wielkich lekarzy tamtych czasów – twórców położnictwa, doktorów Williama Huntera i Williama Smelliego.

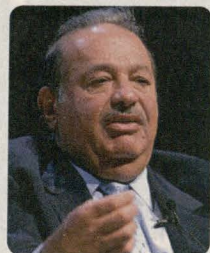
Medycy, wieczni konkurenci, prowadzili – niezależnie od siebie – badania anatomiczno-polożnicze. Ciągłe jednak brakowało im naturalnych modeli. Dlatego postanowili je pozyskiwać. W ciągu kilkudziesięciu lat działalności pozabawili życia więcej kobiet niż działający sto lat później Ku-



ba Rozpruwacz. Proceder przerwali na kilka lat, kiedy zaczęto zadawać im niewygodne pytania o to, skąd biorą modelki do rysunków anatomicznych. Na ilustracjach widniały kobiety w zaawansowanej ciąży z otwartym brzuchem i płody. Całość wzbogacały opisy udanych (i nie) cesarskich cięć.

William Hunter, wykorzystując wpływ, uciszył zainteresowanie ciemnym procederem. I to tak skutecznie, że już wkrótce mógł powrócić do swoich „badań”. Czy położnicy ponieśli karę? Nic z tych rzeczy. Hunter doczekał się nawet zaszczytów, zostając lekarzem żony króla Jerzego III. Asystował w przyjściu na świat przyszłego króla Jerzego IV. Dziś ma w Londynie muzeum swego imienia i bynajmniej nie jest to galeria dewiantów. Smellie natomiast dzięki swoim „studiom” skonstruował kleszcze używane przy skomplikowanych porodach, stał się uznanym położnikiem i nauczał innych.

Kontrowersyjne fakty właśnie ujrzały światło dzienne. □



Carlos Slim Helu fortunę odziedziczył po ojcu. Ale było mu mało. Teraz ma 53,5 miliarda dolarów

Miliarder z Meksyku przegonił Billa Gatesa

Magazyn „Forbes” ogłosił – najwięcej pieniędzy na świecie ma Carlos Slim Helu

CO ZA CZASY. DZIŚ WYSTARCZY mieć 53,5 miliarda dolarów, żeby znaleźć się na czele listy najbogatszych ludzi świata. Jeszcze trzy lata temu trzeba było mieć tych miliardów 60. Wniosek: miliarderzy nam ubożej, a wygrywa ten, który ubożej najwolniej. W tym roku jest to Carlos Slim Helu. I dzięki temu zde-

tronizował Billa Gatesa III, który według miesięcznika „Forbes” ma pół miliarda mniej. Biografia Slima jest dowodem na to, że świat się zmienia. Bo Slim to przedstawiciel krajów rozwijających się (kiedyś mówiło się o nich Trzeci Świat). Jest Meksykaninem o libańskich

korzeniach. Część fortuny odziedziczył po ojcu, a potem zaczął ją rozwijać. Specjalizuje się w telekomunikacji. Niemal cała łączność w Meksyku przechodzi przez jego firmy Telmex i Telnor. Przede wszystkim jednak Slim jest prezesem América Móvil, koncernu, który do-

starcza Internet i kablówkę 200 milionom mieszkańców Ameryki Południowej i Karaibów. Według „Forbesa” przewaga Slima nad Gatesem wynosi 500 milionów dolarów. To tak niewiele, że w chwili gdy ten tekst trafi w wasze ręce, znów może być po staremu. – raf

CYWILIZACJA

W tym tygodniu:

TROPIMY SSAKI MIĘDZY ŁAPAMI
GADÓW, OKREŚLAMY GRANICE
SZALEŃSTWA
I ŻEGNAMY SIĘ Z POTWOREM

TECHNOSPOŁECZEŃSTWO TEKST PIOTR STANISŁAWSKI, ILUSTRACJE VICTOR SOMA

Zmiana warty w Internecie

Ogromne gady, sprytnie ssaki i dziwne międzygatunkowe związki. Dzisiejsza sieć zadziwiająco przypomina dawną epokę geologiczną

W INTERNECIE MAMY WŁAŚNIE późną kredę. 65 milionów lat temu był to czas wymierania wielkich gadów i cichej ewolucji małych ssaków, które wkrótce potem opanowały Ziemię. Czas ustępowania gigantów wygranych (dosłownie i w przenośni) przez niewielkich konkurentów. Co dinozaury mają wspólnego z siecią? Rozejrzyj się.

Miniona dekada to epoka dominacji gadów, a wśród nich istnego tyranozaura – Google'a. To on dyktował warunki, najpierw tworząc fenomenalną wyszukiwarkę, która zmiotła wszystkie inne, a potem miazdżył lub pożerał pozostałych rywali.

Miliardy w sekundę

Googlesaurus rex – każdy jego krok oznaczał wstrząs. Gmail po prostu rozerwał innych na strzępy – Google dawał każdemu pocztę gigabajtowej pojemności, czyli mniej więcej 500 razy tyle, ile pozostali. Wkrótce potem Google Maps pokazał, że wojsko nie ma monopolu na zdjęcia satelitarne, a podglądanie sąsiadów w ogródku z wysokości 6,5 tysiąca kilometrów może być doskonałą zabawą. Równocześnie trwało pożeranie co bardziej ła-

komych kasków. Małutki YouTube ledwie wykluł się z jajka, by już po roku zostać wchłoniętym przez googlezaura jednym potężnym kłapieniem wartym niewyobrażalne 1,65 miliarda dolarów. Chwilę później gigant połknął Picasę, Bloggera czy Panoramio. Rósł, puchł i realizował plan bycia głównym graczem w każdym aspekcie internetowego życia.

Ten pomysł na wzrost był niemal idealny i opierał się na dwóch potężnych łapach. Jedna to ulubione słowo internautów: „darmowy”. Prawie wszystkie usługi, nawet te o najbardziej fantastycznych parametrach, dostępne mają być za friko. Efekt to napływ gigantycznej liczby użytkowników, którzy ochoczo wrzucają w wieczne głodne trzewia potwora petabajty danych, a jednocześnie wiążą się z nim na dobre i na złe. Druga łapa to oszałamiająca technologia. Jej szczegóły okryte są tajemnicą, ale efekty zobaczyć może każdy. Dość powiedzieć, że przeszukanie kilkunastu miliardów stron i wygrzebanie czterech miliardów trafień dla słowa *home* zajmuje wyszukiwarkę Google'a 0,2 sekundy.

By osiągnąć takie wyniki, firma utrzymuje w samych Stanach Zjednoczonych co najmniej 12 cen-

trów obróbki danych, a drugie tyle rozrzucone jest po reszcie świata. Niewiele o nich wiadomo – w zeszłym roku Google po raz pierwszy od lat uchylił rąbka tajemnicy. Ujawnił, że ośrodki wypełnione są standardowymi kontenerami transportowymi, z których każdy zawiera 1160 serwerów, a każdy serwer ma własną małą baterię na wypadek awarii prądu.

Oczywiście googlezaur to niejeden przedstawiciel gigantów fauny internetowej pierwszej dekady XXI wieku. Łapa w łapę szły z nim takie potęgi jak ignorujący wszelkie zmiany, pancerny ankylozaur Yahoo czy gigantycznie nieruchawy zauropod Microsoft. Jednak to do Google'a należał zawsze pierwszy ruch. Wyszukiwarka Microsoft Live ledwie zagroziła wielkiemu konkurentowi, a Yahoo Mail musiał szybko nadrobić braki względem Gmaila. W towarzystwie gigantów pętały się też takie dziwadła jak Go.com – jedyne porównanie, jakie się nasuwa, to kolorowy masjakazaur z głupio sterującymi zębiskami.

Przekleństwo doskonałości

Nie przypadkiem piszę o tym wszystkim w czasie przeszłym. 65 milionów lat temu megafauna późnej kredy osiągnęła szczegól-

ny stan. Ewolucja doprowadziła największe wielkie gady prawie do perfekcji. Niemal każdy element ich ciała doskonale odpowiadał warunkom środowiska – ogromne szczęki, grube pancerze i potężne pazury sprawiały, że potwory nie miały konkurencji. Podobnie wyglądała sytuacja w naszej współczesnej późnej kredzie – Internecie. Do niedawna naprawdę trudno było wyobrazić sobie coś, czego użytkownicy używaliby chętniej niż Google'a. Oczywiście od czasu do czasu ogłaszano powstanie strony, która zdetronizuje króla, albo systemu, który porwie miliony swoimi cudownie trafionymi odpowiedziami – ale jakoś nigdy nikt nie doskoczył potworowi nawet do przednich łapek.

Historia lubi jednak się powtarzać, więc tak jak w kredzie pod potężnymi stopami megadów pojawiły się cichcem małe ssaki, tak sieć zaczęła się zapelniać serwisami, które znajdowały sobie karmę tam, gdzie gruntu nie rozdeptały giganty. I podobnie jak nasi szczuroidalni przodkowie internetowe maluchy czekały cierpliwie na swój czas. 65 milionów lat temu z pomocą przyszedł (właściwie przyleciał) potężny kosmiczny głaz, →





→ który nawet nie tyle wytlukł megazaury, ile zmienił środowisko, do którego były tak świetnie przystosowane. To wystarczyło, by wyspecjalizowane w rozgryzaniu mniejszych szczęki stały się kosztownym balastem, a budzący respekt wzrost przeszkodą w ukryciu się. Trudniej wskazać, co takiego uderzyło w Internet, ale można przyjąć, że użytkownicy po prostu „zobaczyli, ilu ich, poczuili siłę i czas”. Może to relacjonowana na Twitterze irańska

rewolucja, a może po prostu znużenie techniczną doskonałością? Tak czy inaczej, powiał wiatr zmian.

Ssaki z ludzką twarzą

Okazało się, że mało kto podnieca się ogromnymi pojemnościami rozmaitych serwisów, szybkością wyszukiwania i jakością wideo. Ludzie zaczęli się interesować... innymi ludźmi. To właściwie nie zaskakujące – ta sama ewolucja, która rozdumuchała tyranozaura, ukształtowała ludzi jako

idealne zwierzęta społeczne. Internauci nie stracili oczywiście zainteresowania techniką, ale przestali ją traktować jak cel sam w sobie, a zaczęli jak narzędzie, które musi działać, ale właściwie się go nie zauważa. To mniej więcej takie uczucie jak przy wprowadzeniu kolorowej telewizji – przez pierwszy miesiąc ekscytujesz się bajecznymi tęczami, ale potem stają się one po prostu częścią codzienności.

Znaczenia nabrały za to opinie innych. I to nie istniejących gdzieś poza naszym zasięgiem blogerów, którzy piszą mądrze (lub nie), w gruncie rzeczy naśladować papierowe pisma. Chodzi o tych, których znamy lub przynajmniej mamy wrażenie, że znamy. Koronny przykład to oczywiście Facebook – dziesiątki wiadomości, jakimi codziennie zasypują nas tak zwani przyjaciele, dają poczucie utrzymywania kontaktu ze wszystkimi naraz. W kręgu znajomych mamy naturalnie takich, których uważamy za autorytety, na przykład od mody, komputerów czy muzyki. I to właśnie ich opinie mają często większe znaczenie niż najprawdziwsza recenzja w najbardziej znanym piśmie.

W zmieniających się warunkach powiał też łaskawszy wiatr

dla przyczajonego od 2004 roku serwisu zdjęciowego Flickr. Wchłonięty przez Yahoo wkrótce po narodzinach wraz z tym pan-cernikiem siedział nieruchomo, czekając na swój czas. Ewolucyjnie rzecz biorąc, to bardzo ciekawy przypadek – część typowego dinozaura, która jednak zachowuje się niczym sprytny ssak. Wraz z nastaniem nowej epoki Flickr pokazał swą ludzką twarz, wzmocnił elementy społecznościowe i szybko dołączył do nowego nurtu.

Były i inne przypadki, jak choćby klasyczna ryjówka – Last.fm. Ten muzyczny serwis oparty na mechanizmach wymiany informacji wśród użytkowników przez lata sprawnie poruszał się między łapami gigantów, jednak rok temu niespodziewanie pokrył się łuską i zesztywniał, wprowadzając opłaty za korzystanie ze swojego radia. Takie posunięcie sprawiło, że z ulubionego futrzanego pupilka internautów nagle stał się dla wielu zimnym gadem.

Kulawy gigant

Najciekawsze jest jednak to, że wszystkie te drobne zmiany sprawiły, iż kroczący dotąd zdecydowanie gigant nagle zaczął powłóczyć nogami. Google wykonał w ostatnich miesiącach dwa ruchy, które miały zapewne wyrzucić wrażenie nie mniejsze niż kiedyś wprowadzenie Gmaila, a tymczasem okazały się kompletnymi niewypałami. Pierwszy to telefon Nexus One. To właściwie nie telefon, lecz internetowy terminal ściśle spięty z sieciowym megacięskiem googlezaura. Potencjalnie ogromny przebój, naturalnie przedłużenie Internetu dla tych milionów klientów, których uwiedziono darmowymi usługami. O premierze, która odbyła się 5 stycznia, można właściwie powiedzieć tylko tyle, że się odbyła. Zabrakło jej właściwie wszystkiego. Tego, co sprawia, że kolejne produkty firmy Apple (nawet tak dziwaczne jak iPad) wzbudzają graniczące z eksplozją emocje. A więc: oczekiwanie, zaskoczenie, kontrowersje i wreszcie to szczególne uczucie: „Muszę to natychmiast mieć”. Google ujawnił przed premierą niemal wszystkie szczegóły techniczne

aparatu, ale w czasie prezentacji nie zaskoczył właściwie niczym. To dobry telefon. I tyle.

To jednak można by jeszcze wybaczyć – w końcu środowiskiem naturalnym giganta jest Internet. Jednak już miesiąc później, 9 lutego, Googlezaur właściwie rozbił sobie paszczę o głębię. Chodzi o premierę usługi społecznościowej Google Buzz. To miało być ussakowienie gada, zbliżenie go do tych wszystkich małych futrzastych i niebezpiecznych konkurentów, którzy wyrosli mu gdzieś pod łapami. Chodziło o stworzenie realnej konkurencji jednocześnie dla Facebooka i Twittera – serwisu, który z jednej strony będzie miał lekkość Twittera, a z drugiej publikowane w nim komunikaty będą wypełniały społeczną przestrzeń zupełnie jak na Facebooku.

Oczywiście w google'owym stylu wszystko osadzono w bardzo zaawansowanej technologii, dorzucając mocny system lokalizacji działający z komórki, ambitny system wyszukiwania przyjaciół czy publikowania multimediów. Wygląda to jak przepis na kolejny wielki sukces, a jednak dziś można już powiedzieć – Buzz to porażka. Jej przyczyny nie są łatwe do określenia, ale chodzi prawdopodobnie o brak wyczucia tego, co czyni serwis społecznościowym. Buzz sam próbował znajdować użytkownikom przyjaciół, jednak robił to dość topornie, a w dodatku nie respektował prywatności. Część z tych potknięć szybko naprawiono, ale niesmak pozostał. Efekt – tydzień intensywnego buzzowania, a później wielka cisza. Oczywiście ludzie nadal tego używają, ale nie wskazuje na to, by Buzz miał się stać choćby cieniem serwisów społecznościowych pełną paszczą, choć z pewnością jakością kodu i sprawnością działania przewyższa wciąż powolnego Facebooka.

Bingo

No dobrze, jedna czy dwie wpadki to jeszcze nie nieszczęście. Jednak Google ma większy problem. Większy w dosłownym znaczeniu, bo chodzi o Microsoft. Tu zawodzi późnokredowe porównania – ewolucja nie



Centralny Agregator Treści to nowa rola Facebooka. To tu dowiadujemy się, co jest ważne

zna chyba przypadku, by wielki organizm przespał całą epokę, potem znowu nabrał sił i narozbrał. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że koncern z Redmond, który fatalnie przegapił internetowy boom minionej dekady, podnosi właśnie wielki leń.

Tak, wiem, że jedną z najczęściej odwiedzanych stron ostatnich 10 lat była wyszukiwarka Microsoft Live, ale jakość jej działania liściwie przemilczmy. Jednak niespełna rok temu ruszyła jej zupełnie nowa wersja – Bing. Internetowy świat oczom nie wierzył. Ładna, przyjazna, a przede wszystkim dająca świetne wyniki naprawdę zagroziła Google'owi. Jeśli ktoś chciałby się nią pobawić, niech koniecznie przełączy się na amerykańską wersję (można



Pierwszy poważny konkurent Google'a podbija serca zarówno treścią, jak i formą

to zrobić w prawym górnym rogu ekranu). To tu uruchamiane są wszystkie bajery, to tu można zobaczyć inteligentne podpowiedzi i sugestie zakupów. Od razu widać, że Bing doskonale nadaje technologii ludzką twarz.

Mimo licznych podobieństw Internet to jednak nie świat końca kredy – tu wielkie wymieranie nie oznacza zwykłego całkowitego zniknięcia z powierzchni sieci. Googlezaur z pewnością nie zamieni się w kupę kości, bo jest na to potężny, za bogaty i zbyt sprytny. Jednak czekać go może rzecz nader bolesna – utrata miłości użytkowników. Dla firmy, która swą siłę opiera w dużej części na wierności klientów, to strata liczona w grubych milionach dolarów.

Sprawa jest tym poważniejsza, że zaraz obok, tuż za laskiem smukłych drzewiastych paproci trwa przedziwny taniec godowy. Niedawny partner Google'a, Apple ociera się czule o swoje go dotychczasowego wroga – Microsoft. Nieruchawy dotąd gigant nie pozostaje mu dłużny. Jego szef Steve Ballmer ostatnio nawet pochwalil publicznie jabłkowitego stwora. Co się dzieje? Nikt do końca nie wie, ale kreda huczy od plotek o umieszczeniu Binga jako domyślnej wyszukiwarki w produktach firmy Apple. Oczywiście kosztom Google'a. Jeśli do tego dodamy całkiem już jawne ruchy frykcyjne Microsoftu i Yahoo, okaże się, że współczesna kreda staje się znacznie ciekawsza niż świat sprzed milionów lat.

WOJNA TRWA, WYŚCIG ZBROJEŃ W TOKU

SPOŁECZNOŚCIOWE zamieszanie, wymieranie jednych i narodziny innych gatunków to oczywiście tylko moment w ewolucji. Dzisiejsza eksplozja popularności nowych ssaków to efekt odkrycia pokładów entuzjazmu internautów, jednak i one zapewne wkrótce się skończą. Co nas czeka dalej? Na pew-

no ludzkie podejście Internetu pozostanie – po prostu staje się on jeszcze jednym narzędziem komunikacji. Jak jednak odnajdzie się w tym Google? Myślę, że nie czeka go tak długa hibernacja jak ta, w którą zapadł Microsoft. Szykuje się raczej większe zagęszczenie w czołowie ewolucyjnego

wyścigu, konkurencja o żywność i siedliska, czyli nas, internautów. A to oznacza ciągle burze mózgów, setki rewolucyjnych pomysłów i wyścig zbrojeń. Za 10 lat Internet będzie wyglądał już zupełnie inaczej. I jedno jest pewne – bardzo dobrze na tym ewolucyjnym wyścigu wyjdziemy.

SSACZA CZOŁÓWKA, CZYLI POCHWAŁA STADNYCH POŁOWAŃ

EPOKA SSACZEJ SPOŁECZNOŚCI to nie tylko zmiana układu sił i pojawienie się nowych graczy. Siłą ssaków, która zdecydowała o ich dominacji we współczesnym świecie, jest zdolność do współdziałania, tworzenia stad i grupowego polowania. Ten sam schemat powtarzają dzisiejsze serwisy, które obejmują się zbiorczą nazwą Web 2.0. Giganci poprzedniej epoki działali niezależnie – każdy z nich zachowywał się (przynajmniej z punktu widzenia szeregowe-

go użytkownika) tak, jakby konkurencja nie istniała, i po prostu parł przed siebie. Tymczasem Flickr, Twitter, Facebook, Last.fm, YouTube, Tumblr czy Delicious powiązane są gęstą siecią wzajemnego iskania się. Polega to przede wszystkim na obecności przycisków, małych aplikacji i pluginów służących przekazywaniu treści między tymi serwisami. I tak zdjęcie opublikowane w serwisie Flickr można jednym ruchem pokazać na Facebooku, filmy z YouTube bly-

skawicznie dołączyć do blogu z serwisu Tumblr, a wszystko to razem (i dużo więcej) automatycznie publikować na Twitterze. I choć każdy serwis należy do innego właściciela, wszyscy godzą się na wspólne polowanie. Korzyści są oczywiste – z którejkolwiek strony zaczęłoby się przygodę w społecznościowym świecie, szybko poczujemy potrzebę rozszerzenia naszych możliwości. I tak – zamiast konkurencji i ignorowania się – wszyscy razem zajmują nowe tereny.



Amerykańska choroba

Ogłaszam akcję: chrońmy swą narodową chandrę! Jest polska, jest nasza. Plastikowym amerykańskim uśmiechom mówimy „nie!”. Nie dajmy się przerobić na jankesów w zamian za coca-colę i Britney Spears

NORMALNIE OLGA WOŹNIAK

Amerykane to hojny naród. Dzieli się z potrzebującymi – tu wysłał wojsko, tam zaprowadzą demokrację, ówdzie postawią swoje fast foody i zaszczepią miłość do Britney Spears. Czy jednak inne narody naprawdę tego potrzebują? OK, niech będą McDonaldy i country music, ale bardzo proszę nie mieszać nam w gło-

wach. A to właśnie – zupełnie dosłownie – się dzieje. Jesteś smutny – masz depresję. Zdechł ci pies? Uważaj na zespół stresu pourazowego. Łapie cię chandra wiosną/jesienią? Z pewnością powinieneś zasięgnąć rady w sprawie zespołu SAD (Seasonal Affective Disorder). Rzadko się uśmiesz? Może chcesz o tym porozmawiać?

Uf, jaka ulga: nie tylko mnie to irytuje. Oto bowiem wśród sterty kolejnych publikacji radzących, jak „przestać się martwić i zacząć żyć” (czy ten, kto napisał taki poradnik, był kiedykolwiek w Polsce? Pół roku ciemno, breja, zimno. Do tego setki rocznic wojennych i powstań-czych martyrologii. Rzeczywiście mam prze- stać się martwić?), odnalazłam na Amazon.com książkę, której treść była niczym miód na moje serce. Oto „Crazy Like Us. The globalization of American Psyche” („Szaleni jak my. Globali- zacja amerykańskiej psyche”) Ethana Watter- sa. Amerykański (sic!) dziennikarz nie ma złu- dzeń – na naszych oczach następuje ameryka- nizacja zdrowia psychicznego. Widać to dobrze choćby na przykładzie imigrantów przybywa- jących do USA. Pierwsze pokolenie, którego nie dopadł jeszcze tamtejszy sposób myślenia, jest całkiem zdrowe psychicznie. Z każdym ko- lejnym jest coraz gorzej. A do tego to pocucie misji: tsunami na Sri Lance, trzęsienie ziemi na Haiti – Amerykanie wysyłają psychologów i psychiatrów, by udzielali wsparcia potrzebu- jącym. Ci na zachodnią modłę przypinają po- szkodowanym łatkę stresu pourazowego i prze- pisują cudowne tabletki na szczęście. (I oto przed firmami farmaceutycznymi otwierają się nowe rynki zbytu! To ziemia niczyja. Będziemy tu pierwsi siać i zbierać).

Medyczna stygma

Zachodnie podejście do choroby psychicznej jest przecież takie naukowe. Zaburzona rów- nowaga biochemiczna mózgu, podstawy ge- netyczne, czynniki rozwojowe. Schizofrenia, choroba afektywna dwubiegunowa – należy odrzucić je z aury niezwykłości i zacząć leczyć jak grypę czy świnkę. Słyszysz głosy? Nie jesteś już opętany. Twoja choroba ma podstawy fizjolo- giczne. To takie cywilizowane.

Hej, hej, hej, biały człowieku z Harvardu czy Oksfordu! Wstrzymaj konie! I przyjrzyj się ba- daniom. W 1997 roku profesor Sheila Mehta z amerykańskiego Auburn University prze- prowadziła ciekawe doświadczenie. Podzieliła ochotników na trzy grupy. Dwie z nich to byli „pacjenci”, trzecia – „lekarze”. Badaczka powie- działa eksperymentalnym terapeutom, że mają leczyć ludzi, którzy są chorzy, bo coś złego przy- trafiło im się w dzieciństwie, oraz drugą gru- pę chorych, których przypadłość wynika z za- burzonej biochemii ich mózgow. A więc w jed- nym przypadku przyczyna choroby była ze- wnętrna, w drugim wewnętrzna, fizjologicz-

na. Co się okazało? Że leczyący gorzej trakto- wali fizycznie chorych. Zadawali im wię- cej bólu i byli wobec nich mniej empatycz- ni. Uznali ich za gorszych od osób, które za- chorowały w wyniku przyczyn zewnętrznych, psychologicznych. A więc – konkluduje Wat- ters, opisując to zdarzenie – gdy tłumaczymy chorobę bardziej fizjologicznie, narażamy pa- cjentów na stygmatyzację.

Skaczący Francuzi z Maine

Autor przytacza dane z badań prowadzonych nie tylko w Niemczech, Rosji, ale i Mongolii, które pokazują, że im częściej tłumaczymy choroby psychiczne uwarunkowaniami me- dycznymi, tym bardziej zdecydowanie oto- czenie wyklucza chorych ludzi, uznając ich za fizycznie uszkodzonych, biologicznie nie- sprawnych, a przy tym nieprzewidywalnych i niebezpiecznych. Tymczasem amerykań- scy specjaliści argumentują według swojego sposobu myślenia: wytłumacz chorobę psy- chiczną naukowo, zdejmiesz stygmat z pa- cjenta. Natomiast w kulturach tradycyjnych kłopoty psychiczne bardzo często przypisuje się siłom zewnętrznym: opętaniom, nawie- dzeniom, urokom. Ludzie chorzy nie są tam alienowani z grupy.

Badania psychiatrii kulturowej dowodzą, że nie ma czegoś takiego jak standardowa choroba psychiczna. Objawy schorzeń róż- nią się w rozmaitych kulturach (na przykład w krajach azjatyckich schizofrenia występuje najczęściej w postaci zespołu katatonicznego; częste uludności hinduskiej stany osłupienia wiążą się zprzyjętymi w tej kulturze postawa- mi jogi i sanny, a brak zachowań agresywnych – z nawykiem kontrolowania negatyw- nych emocji. Schizofrenia paranooidalna wy- stępuje częściej w Afryce Północnej i Ameryce Południowej, a urojenia są zwykle religijne).

Co ważniejsze jednak, zachowania, które w świecie Zachodu zostałyby uznane za pato- logię, w odbiorze mieszkańców innych kra- jów nie są niczym niezwykłym (i odwrotnie). Za przykład mogą służyć choroby określane przez specjalistów jako zespoły uwarunkowa- ne kulturowo. To grupa specyficznych zabu- rzeń psychicznych, które nie spełniają kryte- riów zachodnich systemów diagnostycznych.

Weźmy choćby taki pibloktoq opisywany u Inuitów zamieszkujących Arktykę. To ze- staw zachowań, na który składają się: pod- niecenie, agresja, przygnębienie, koprofagia, echolalia, niekiedy ucieczka przed siebie, cza- sem zupełnie nago. Ponapadzie chory zapada w sen, z którego budzi się bez objawów. Za- burzenie występuje częściej u kobiet. W lite- raturze psychiatrycznej zostało przedstawio- ne w 1913 roku. Przyczyna? Niejasna. Podej- rzewa się, że pibloktoq może być powodowa- ny nadmiarem witaminy A.

Albo latah. Opisany poraz pierwszy w Ar- chipelagu Malajskim przez zachodnich spe- cjalistów zakwalifikowany został do „kultu- rowo uwarunkowanych zespołów strachli-

wości”. Podobnie jak choroba o wdzięcznej nazwie „skaczący Francuzi z Maine” polega natym, że nagle bodziec wywołuje udotknię- tych zaburzeniem niezwykle reakcje ruchowe (gwałtowne ruchy kończyn, skakanie lub rzu- canie przedmiotami). Dotego chorzy powta- rzają zaskazywane przed chwilą frazy i słowa nawet w językach, których nie znają. To zależ- na od kultury reakcja na sytuację stresową.

Lista zespołów chorobowych o egzoty- cznych nazwach jest długa: koro, hwa-byung, taijin kyofusho, wendigo... Dość stwierdzić, że na całym świecie istnieje wiele mentalnych przypadłości, do których nie przystaje ame- rykański sposób myślenia o ludzkiej psyche. Cowięcej, są kraje, w których wogóle nie wy- stępują choroby opisane w amerykańskim DSM (Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders to klasyfikacja zaburzeń psychicznych utworzona przez Amerykań- skie Towarzystwo Psychiatryczne).

Jak jednak pokazuje Watters w swojej książce – potrzeba matki wynalazku. Ame- rykańskie firmy farmaceutyczne przekonały Japończyków, że masowo cierpią na łagodną odmianę depresji, dzięki czemu od 1998 ro- ku do 2003 roku zwiększyły w Japonii sprze- daż leków antydepresyjnych aż czterokrotnie! Podobna historia związana jest z masowymi przypadkami anoreksji w Hongkongu czy ofiarami stresu pourazowego w Sri Lance.

Depresyjny? Po prostu brytyjski

Choroby umysłu są powszechne, ale to, jak się manifestują, zależą od tego, jak, gdzie i kie- dy umysły owe zostały ukształtowane. Dla- tego nie można do wszystkich przykładac tej samej miarki – konkluduje Ethan Watters. Przyglądając się choćby historii Europy, znaj- dziemy czasy, w których kobiety masowo do- znawały histerycznego paraliżu, co pozwalało Zygmuntovi Freudowi testować na nich swe teorie. Dlaczego dzisiaj nie doświadczamy paraliżu? Bo choroba psychiczna często jest złożonym wytworem miejsca, czasu i kultu- ry, w których osadzony jest człowiek. Tymcza- sem cały świat zdaje się leczyć swą psychikę tak, jakby wszyscy byli wychowani na przy- godach Myszkki Miki i hot dogach.

Kilka lat temu brytyjskie media opisy- wały przypadek pewnego Anglika, który zo- stał w USA uznany za chorego na depresję. Poddano go farmakoterapii, a nawet elektro- wstrząsom. Pacjent, przekonywany, że jest chory, w końcu sam uwierzył w swój beznadziejny przypadek. Pomógł mu dopiero powrót do kraju. Tu okazało się, że cała jego odmien- ność psychiczna od amerykańskiego wzorca entuzjazmu była poprostu... brytyjską flegmą. Cyniczna, nieco ironiczna i fatalistyczna. To, co w USA wydawało się patologią, w Wielkiej Brytanii nie wykroczało poza normę.

Dlatego bardzo proszę nie rozweselać mnie na siłę. Nie naprawiać. Nie będę uśmie- chać się do lustra. Ja chcę normalnie i w pol- sku czasem sobie ponarzekać.



Wypędzanie złych duchów to w wielu społecznościach gromadne wydarzenie. Zachodni lekarz nie ma tu czego szukać. Chyba że dogada się z szamanem

2010
ethno
jazz
festival
WROCLAW

prezentuje:

20.03.10

SALIF KEITA

złoty głos Afryki,
światowa gwiazda world music

25.04.10

RICHARD GALLIANO

francuski multiinstrumentalista

8.05.10

BASIA TRZETRZELEWSKA

wybitna wokalistka jazzowa
powraca do Polski

29.05.10

MARIZA

największa portugalska
gwiazda fado

www.ethnojazz.pl

Upadek kowboja

Hummer, niepraktyczny gadżet, którego popularność wyrosła na militarnej modzie, przegrywa z nowym fetyszem zachodniego świata – ekologią

POŻEGNANIA MAX SUSKI

Moje pierwsze spotkanie z hummerem. Noc, centrum Warszawy. Wyrasta przede mną wielka, żółta, lśniąca cegła na kołach, która nie mieści się na pasie ruchu. Pasuje jak pięść do oka.

Zaczął się od „Pustynnej burzy”. Pierwsza od czasów II wojny akcja „sprzymierzonych” przeciw „złemu” była wielką operacją medialną. Na zdjęciach z Kuwejtu i Iraku amerykańscy żołnierze poruszali się wozami niepodobnymi do poczywch dziupli. Samochody nazywały się Humvee – od HMMWV (High Mobility Multipurpose Wheeled Vehicle – wielozadaniowy pojazd kołowy o dużej zdolności przemieszczania się). Duże, kanciaste budziły respekt i zaufanie.

Auto jak młot

Amerykański AM General, producent samochodu, miał nosa. Auto zapragnął kupić Arnold Schwarzenegger, filmowy Terminator i kawał chłopca. Trudno o lepszą reklamę. Już w 1992 roku do sprzedaży trafiła cywilna wersja wozu, z wyczuciem nazwana Hummer (co wymawia się podobnie jak *hammer* – młot).

Auto idealnie wpasowało się w panujący za oceanem szyk. Po dekadzie bezpłciowych, zaokrąglonych karoserii znów można było kupić samochód po staremu amerykański; spełniający wymogi tamtejszej gigantomanii.

Hummer szybko wywalczył sobie miejsce wśród dóbr pożądaných. Pojawił się w garażach gwiazd Hollywood, sportowców i w teledyskach raperów. Był niepraktyczny i drogi jak długie limuzyny i świadczył o próżności właściciela. Bo mimo warunków do jazdy w terenie rzadko kiedy zjeżdżał z asfaltu.

– USA to wciąż kraj na dorobku – tłumaczy Andrzej Markowski, psycholog transportu. – Społeczeństwo bez tradycji musiało stworzyć wyznaczniki statusu. Stąd umiłowanie wielkiego, mocnego samochodu zapewniającego poczucie niezależności i bezpieczeństwa. Nie wjadę czymś takim w teren, ale gdyby było trzeba, jestem gotowy. To auto jest jak ubranie kowboja: buty, kapelusz i skórzane spodnie.

Pierwsze hummery przy swoich monstrualnych rozmiarach (2,2 metra szerokości i 1,9 wysokości!) były niewygodne nawet w Ameryce. Nie mieściły się w garażu, kabina i wnętrze były zbyt spartańskie. W 2002 roku zrodził się więc Hummer H2, nieco węższy i wyższy, bardziej przypominający SUV-a niż pojazd wojskowy. Trzy lata później dołączył doń mniejszy H3 („ledwie” 199 centymetrów szerokości) opracowany z myślą o Europie.

Oba trafiły fatalnie. H2 wszedł na rynek niedługo po zamachach z 11 września. Rozpoczęła się wojna w Afganistanie, potem w Iraku. Ceny ropy poszybowały. Producenci skoncentrowali się na autach mniej paliwożer-

nym. A ośmiocylindrowy silnik trzytonowego monstrum spalał 30 litrów na setkę. Dziennikarze, którzy jeździli hummerami, narzekali też, że nie czuć w nich mocy, kiepsko hamują i prowadzi się je jak taczkę.

Brudasa nie chcemy

Hummer stał się za to pożądanym gadżetem. Sprowadzone do Polski nieliczne egzemplarze (za ponad 400 tysięcy złotych) są do dziś wynajmowane na śluby, używane w akcjach promocyjnych. Krążącym po Opolu czarnym hummerem Tatiana Okupnik zachęcała do oddawania głosów na jej kandydaturę w konkursie piosenki; wymalowanym w kwiaty Mandaryna promowała nową płytę. Wszystkich przebiła Doda, zamawiając przedłużaną, różową wersję auta z zestawem do karaoke. W tym samym czasie pogrążony w kryzysie rynek bezłotnie weryfikował zasadność istnienia zjawiska o nazwie Hummer.

Auto razem z innymi równie paliwożernymi smokami z napędem na cztery koła trafiło na celownik ekologów. Dbające o wizerunek gwiazdy show-biznesu zaczęły kupować pojazdy hybrydowe albo elektryczne. Nie chciały być kojarzone z samochodem, który demonstracyjnie przyczynia się do globalnego ocieplenia. Od 2006 roku sprzedaż hummerów drastycznie zmalała z 80 do 9 tysięcy sztuk w roku 2009.

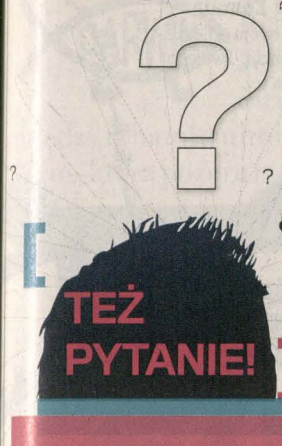
General Motors, który w 1998 roku kupił prawa do marki, 10 lat później postanowił się jej pozbyć. Zainteresowanie wykazywali Chińczycy, którzy zresztą produkują kopie wojskowego humvee. W październiku 2009 roku spółka Tengzhong zgodziła się zapłacić 150 milionów dolarów za Hummera. Na przeszkodzie stanął jednak chiński rząd, który oświadczył, że nie chce u siebie fabryki samochodów zanieczyszczających powietrze – choć dotąd zdawał się nie przywiązywać dużej wagi do ochrony środowiska. Pod koniec lutego GM zdecydował o likwidacji marki. – Dzisiaj hummer, a raczej humvee, nie spełnia wymogów pola walki – tłumaczy Wojciech Drzewiecki z instytutu Samar badającego rynek samochodowy. – Kiepsko chroni przed minami. A gdy upada wojskowa część linii, nie ma sensu utrzymywać cywilnej.

Hummer dostał więc dwa ciosy – nie chce go już armia, bo jest za słaby. Nie chcą go gwiazdy, bo za bardzo brudzi. W ciągu zaledwie kilku lat dawne zalety znikły albo zamieniły się w uciążliwe wady.

Została tylko legenda.



W rekordowym 2006 roku sprzedano 71 524 hummery. W styczniu tego roku już tylko 265 sztuk



Kto pyta, nie błądzi.

A my dalej szukamy odpowiedzi na wasze pytania.

Nadsyłajcie je na adres nauka@przekroj.pl.

Co tydzień przyznajemy nagrody!

URSULA DĄBROWSKA

1. CZY PO ŚMIERCI CZŁOWIEK MOŻE SIĘ OPALIĆ?

Może, ale tylko trochę, i to pod warunkiem że i za życia łatwo się opalał. Po pierwsze, nieboszczyk musi być wystawiony na działanie słońca najwyżej w ciągu kilkunastu godzin od ustania funkcji życiowych. Komórki skóry, choć i tak żyją najdłużej po śmierci człowieka, umierają bowiem w ciągu 24 godzin. Tyle czasu wystarczy jednak, aby zaszła pierwsza faza opalania. Polega ona na uwolnieniu zmagazynowanego w wewnętrznej warstwie skóry pigmentu i przetransportowaniu go do komórek znajdujących się na powierzchni. Ta reakcja zachodzi dość szybko (po mniej więcej godzinie od wystawienia na słońce), ale znika w ciągu doby. Dlatego jeśli nieboszczyk ma jasną karnację, raczej nie może liczyć na porządną opaleniznę. Tylko za życia miałby szansę bardziej zbrązowieć – dzięki opóźnionej reakcji melanocytów, komórek produkujących pigment. W ciągu dwóch–trzech dob po opaleniu zwiększają one produkcję barwnika, co nadaje skórze trwałe ciemniejszy odcień. Niestety, zmiany w pracy melanocytów nie mogą zająć po śmierci, bo inne, dużo mniej estetyczne procesy już to udaremniają.

2. DLACZEGO PO WYJĘCIU DŁONI ZE ŚNIEGU PO KILKU CHWILACH ROBI SIĘ W NIĄ BARDZO CIEPŁO?

Zarówno uczucie chłodu, jak i ciepła jest odbierane przez zakończenia nerwowe w skórze zwane termoreceptorami. Rejestrują one zmiany temperatury, ale nie jej bezwzględna wartość. Dlatego przy zetknięciu dłoni ze śniegiem receptory zauważają, że ciepło gwałtownie ucieka, i sygnalizują: „To jest zimne”. Jednocześnie skóra się schładza (a wraz z nią receptory). Natomiast krążąca krew cały czas ogrzewa dłonie. Gdy wyjmemy je ze śniegu, temperatura skóry wraca do normy, czyli przez chwilę receptory rejestrują, że robi się cieplej albo wręcz gorąco.

REKLAMA



mecenas wystawy

patronat medialny

mnk
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

PZU
MECENAS MUZEUM
NARODOWEGO W KRAKOWIE

TVP KRAKÓW

RADIO
KRAKÓW
Małopolska

PRZE
KROJ

gazeta
WYDROZKA.PL

art
& BUSINESS

Sztuka.pl

onet.pl

KRAKÓW

Cosmo-life

krakow POST

KURZ
na KURZ

artinfo.pl

ams

Kwame
Nkrumah-
Acheampong
z Ghany,
zwany
śnieżną
panterą



3. DLACZEGO KIJE NARCIARSKIE ZJAZDOWCÓW SĄ ZAKRZYWIONE, A ŚLALOMOWCÓW NIE?

W zjeździe, a także supergigancie, prędkość odgrywa kluczową rolę. Jest tym większa, im mniejsze opory stawia powietrze zawodnikowi. Dlatego kijki są zakrzywione i wydłużone. Gdy narciarz trzyma je wzdłuż ciała, nabiera opływowego, aerodynamicznego kształtu. Z kolei w slalomie i slalomie gigancie, które są dyscyplinami technicznymi, najważniejsza jest dynamika oraz płynność, z jakimi narciarz pokonuje zakręty. Tradycyjnie służą do tego proste kijki. W dodatku w zjeździe slalomowym nie ma zbyt dużo momentów, kiedy trzeba przyjmować charakterystyczną dla zjazdu pozycję z kijkami pod łokciami. Wręcz przeciwnie – niewprawne oko może uznać, że przez większą część zjazdu kijki latają, jak im się żywnie podoba.

Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak



TAK JEST
MARCIN MACIEJOWSKI

26.03 – 23.05.2010

MUZEUM NARODOWE
W KRAKOWIE

GMACH GŁÓWNY
KRAKÓW, AL. 3 MAJA 1

Zapraszamy do udziału
w licznych wydarzeniach
towarzyszących wystawie

www.muzeum.krakow.pl

KORZYSTAJ

NERWY
RYBK
JASZCZURKI
EOMAIE
CIOSY

KSIAŻKA

Tropimy ewolucję

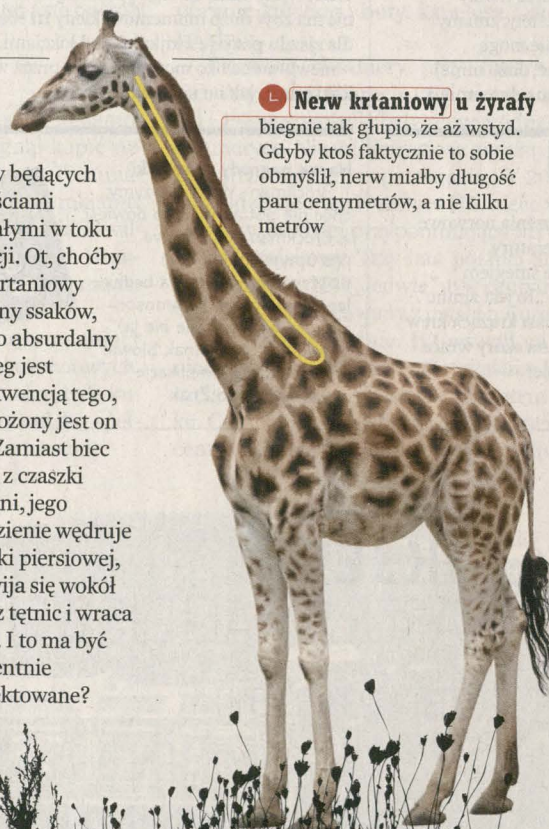
Ewolucja działa. To fakt potwierdzony naukowo. Mimo to 30 procent Polaków wierzy, że człowiek został stworzony od razu w takiej postaci, w jakiej istnieje dziś. Nawet wśród tych, którzy są przekonani, że powstał w wyniku długotrwałej ewolucji, aż 47 procent sądzi, że człowiek pochodzi od małpy.

Właśnie pojawia się szansa na poprawę tych rozpaczliwych wyników. W Polsce ukazała się książka Richarda Dawkinsa „Najwspanialsze widowisko świata. Świadczenia ewolucji”, która ma jeden cel – wytłumaczyć łatwo, przystępnie, ale dosadnie, że ewolucja trwa w najlepsze. I trzeba przyznać, że robi to doskonale. Poniższe przykłady zaczerpnęliśmy właśnie z niej, ale to zaledwie maleńki odprysk tego, czego można się dowiedzieć z „Najwspanialszego widowiska...”.

Projekt całkiem nieinteligentny

PONIEWAŻ kreacjonizm fatalnie się kojarzy, został przykryty płachtą z napisem „inteligentny projekt”. Chodzi o wytłumaczenie, że cała złożoność świata musi być wynikiem działania jakiejś inteligentnej siły sprawczej. Jednym z najlepszych dowodów zadających temu kłam jest udowodnienie, że w rzekomo genialnych projektach roi się od fatalnych

błędów będących zaszłościami powstałymi w toku ewolucji. Ot, choćby nerw krtaniowy wsteczny ssaków, którego absurdalny przebieg jest konsekwencją tego, jak położony jest on u ryb. Zamiast biec wprost z czaszki do krtani, jego odgałęzienie wędruje do klatki piersiowej, tam owija się wokół jednej z tętnic i wraca do szyi. I to ma być inteligentnie zaprojektowane?



Nerw krtaniowy u żyrafy biegnie tak głupio, że aż wstyd. Gdyby ktoś faktycznie to sobie obmyślił, nerw miałby długość paru centymetrów, a nie kilku metrów

Ogniwo, którego nie brakuje

JEDEN Z ARGUMENTÓW kreacjonistów to stwierdzenie, że słabym punktem teorii ewolucji jest brak ogniw łączących gatunki. Skoro wszystkie istoty żywe łączy pokrewieństwo, to dlaczego nie znaleźliśmy stadium pośredniego między wielbłądem a orangutanem? Odpowiedzi są dwie. Po pierwsze, brak skamieliny nie świadczy o tym, że dany organizm nie istniał. Raczej należy się cieszyć, że po stu milionach lat w ogóle znajdujemy cokolwiek. Druga odpowiedź jest ciekawsza. Otóż znaleźliśmy wspólnego przodka orangutana, wielbłąda, kozy, szczura i nas samych. To małe ssaki eomaia, który żył 125 milionów lat temu w dolnej kredzie. A że nie jest stadium pośrednim między wielbłądem a orangutanem? Nikt nie mówił, że miał być. Ssaki mają wspólnego przodka tak, jak ty masz go ze swą ciotecną siostrą.



Najbliższy wspólny krewny orangutana i wielbłąda? Patrz zwierzę na gałęzi

Eomaia to twoja odległa babcia. Twojego psa też



Rybka Darwina to popularny symbol wojowników zwalczających kreacjonizm. Jest nawiązaniem do chrześcijańskiego symbolu ichthys, a jednocześnie odniesieniem do ichtiostegi – jednego z kopalnych przodków płazów będących formą przejściową między rybami a nimi. Oczywiście kreacjoniści nie pozostają dłużni, odpowiadając większą rybą za napisem Jezus, która pożera rybkę Darwina. Rybia wojna trwa.

To się dzieje tu i teraz

Najlepsze znaleziska kopalne czy zaszłości anatomiczne nie są tak dobrymi dowodami na działanie ewolucji, jak złapanie jej za rękę (w końcu ewolucja trwa, dzieje się tu i teraz).

Okazuje się, że to możliwe i wcale nie takie trudne. Świetnym przykładem jest długość kłów słoni żyjących w Ugandzie. Do lat 60. trwałoby polowanie na te zwierzęta, którego celem było ubicie osobników o możliwie największych ciosach. Zatem im słon miał mniejsze kły, tym większa była szansa, że przeżyje. Można więc uznać, że zwierzęta, których geny powodują wzrost mniej masywnych ciosów, powinny spłodzić więcej potomstwa. To typowa presja selekcyjna, czynnik napędowy ewolucji. I choć w grę wchodziłby przypadek krótki okres, to taką tendencję u słoni da się wychwycić. W ciągu 33 lat intensywnego polowania międzyrokiem 1925 a 1958 średnia masa kłów spadła z około 25 do około 18 kilogramów. Nawet po uwzględnieniu wszystkich dodatkowych czynników, które mogły mieć

tu znaczenie, sytuacja wydaje się jasna – złapaliśmy ewolucję nagorącym uczynku.

Inny przykład to losy jaszczurki z gatunku *Podarcis sicula*. Ten pospolity gad mieszka między innymi na chorwackiej wysepce Pod Kopiste, nie było go jednak na pobliskiej Pod Mrcaru. W 1971 roku biolodzy celowo przenieśli kilka par na Pod Mrcaru, a dwa lata temu porównali obie populacje. Jaszczurki z Pod Kopiste nie zmieniły się przez 37 lat, jednak te z Pod Mrcaru (pochodzące wyłącznie od pięciu par przeniesionych z drugiej wyspy) powoli zaczęły stawać się innym gatunkiem.

Zewzględu na przewagę roślin w diecie szczęki tych zwierząt stały się mocniejsze, a w ich jelitach zaczęły pojawiać się struktury charakterystyczne dla roślinożerców, służące skuteczniejszemu trawieniu skrobi przez symbiotyczne bakterie.

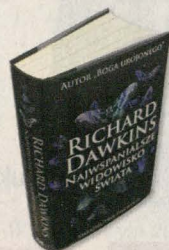
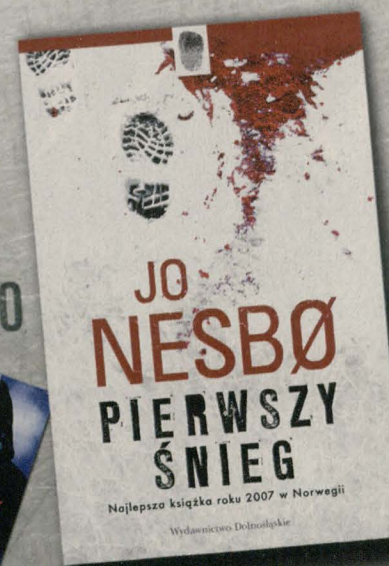
Za kilkadziesiąt (kilkaset) lat obie populacje prawdopodobnie będą różnić się tak bardzo, że staną się już zupełnie odrębnymi gatunkami.

Duże kły przydają się do zdobycia samicy, ale ich posiadanie to większe ryzyko bycia upolowanym. Dziś słoniom bardziej opłaca się nosić małe ciosy



REKLAMA

JO NESBØ
MISTRZ KRYMINAKU Z OSŁO



Ewolucjonista na wojnie

RICHARD DAWKINS kojarzył się głównie z wojującym ateizmem, ale brytyjski profesor to przede wszystkim biolog i genialny

popularyzator nauki. „Najwspanialsze widowisko świata. Świadczenia ewolucji”, opublikowane przez wydawnictwo CiS, jest fascynującą opowieścią o rzeczach, które właściwie każdy z nas powinien

wiedzieć, ale jakoś tak się składa, że do tej pory nie wie. Oczywiście w krajach, gdzie kreacjonizm istnieje w formie znacznie bardziej agresywnej niż w Polsce, książka ta z pewnością będzie budziła emocje

pozanaukowe, ale i bez tego jest po prostu świetnie wymyślona i napisana. I chyba powinniśmy się cieszyć, że my możemy ją czytać tylko jako opowieść naukową, a nie światopoglądową.

→ W tym tygodniu:

AGA ZARYAN NIE JEST DIANĄ KRALL,
POLSKI TEATR NIE JEST TEATREM
WIELKIM, JACK REACHER
NIE JEST WALLANDEREM,
A AGNÈS VARDA NIE JEST NUDNĄ BABCIĄ



WYSTRZAŁOWE FILMY OLA SALWA, MICHAŁ OLESZCZYK

KINO W PUŁAPCE WOJNY

WIELKIE WIDOWISKA PEŁNE
BATALISTYCZNYCH SCEN ODCHODZĄ
W PRZESZŁOŚĆ. TAK JAK DĘTE
PATRIOTYCZNE OPOWIEŚCI, ALE TEŻ
NAIWNIE PACYFISTYCZNE PRZESŁANIA.
**INTYMNA PERSPEKTYWA,
INDYWIDUALNE DOŚWIADCZENIA
I FORMALNE EKSPERYMENTY**
– OTO NAJNOWSZA BROŃ REŻYSERÓW

W EPILOGU NAGRODZONEGO OSCA-
rem dokumentu Errola Morrisa
„Mgły wojny” (2003) były ame-
rykański sekretarz obrony Robert
McNamara wypowiada znamien-
ne słowa: „Nie jestem na tyle na-
iwny, by snuć mrzonki o tym, ja-
koby człowiek mógł obejść się
bez wojny”. Z punktu widzenia
kinowego fotela zdanie to wyda-
je się jeszcze prawdziwsze – ki-
no bez wojny żyć nie może. Przy-
kład? Tegoroczne Oscary. Jak za-

uważył recenzent „Washington
Post”, nominowane i nagrodzo-
ne filmy dały obraz wojny total-
nej i niejako wiecznej. „Bękarty
wojny” to wojenne wczoraj, „The
Hurt Locker. W pułapce wojny”
to dzień dzisiejszy, a „Avatar”
przenosi w spektakularne jutro.

Konflikt króluje także w te-
lewizji – HBO emituje właśnie
(poniedziałki, 20.00) serial „Pa-
cyfik”, którego bohaterami są
amerykańscy marines walczący

z Japończykami podczas II woj-
ny światowej. Choć jest zreali-
zowany z rozmachem (bo czego
innego byśmy się spodziewali
po producencie Stevenie Spiel-
bergu?), wpisuje się w trend
nowoczesnych filmów wojen-
nych. Walka jest w nich odar-
ta z romantycznego mitu – za-
miast herosów są zwykli ludzie,
którzy po ataku na Pearl Har-
bor trafili do piechoty morskiej;
to ich oczami patrzymy na bit-

wę. Zamiast podniosłych ge-
stów i patriotycznych formu-
łek są pot, krew, biegunka i ra-
ny po ugryzieniach moskitów.
– Zapewniam, że nikt, kto obej-
rzy ten serial do końca, nie bę-
dzie chciał iść walczyć – mówi
w rozmowie z „Przekrojem” Je-
remy Podeswa, jeden z czterech
reżyserów „Pacyfiku”. Ale jed-
nym z pierwszych, który poka-
zał zupełnie nową twarz wojny,
był Sam Mendes. Tematem jego

kapitałnego „Jarheada” (2005)
były nie spektakularne potycz-
ki, niebezpieczeństwa i śmierć,
lecz... nuda. Wysłani do Zatoki
Perskiej żołnierze owszem za-
bijali, ale głównie czas, siedząc
w bazie i czekając na zadania,
które nie nadchodziły.

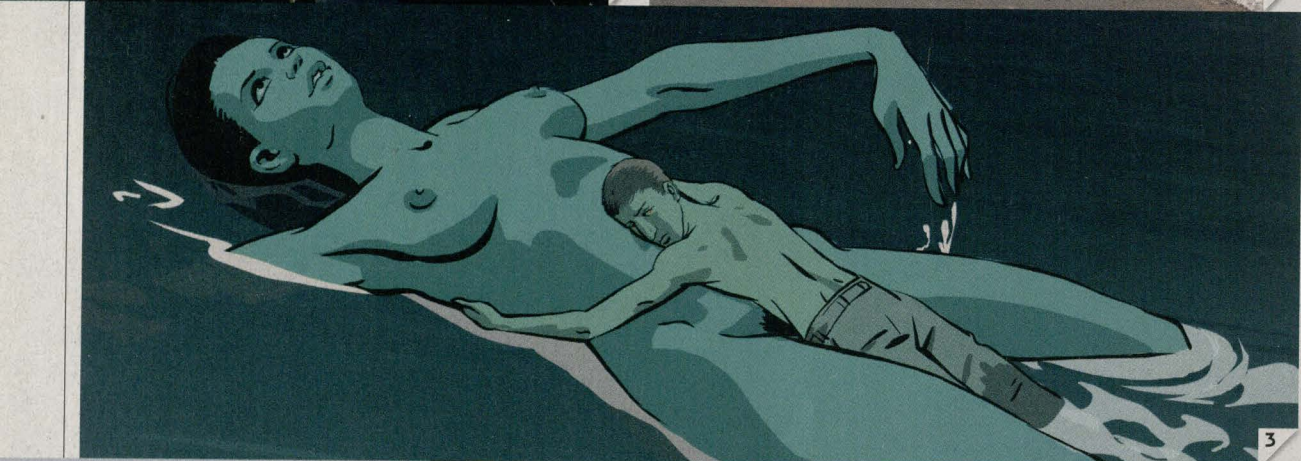
Szok i (reality) show

„Pacyfik” też nie demonizu-
je wojny. Nie ma tu scen peł-
nych przemocy bądź przesadnie

brutalnych – w końcu nie jeden
widz stacji ma kogoś bliskiego,
kto walczy właśnie w Iraku lub
Afganistanie. – Amerykanie ży-
ją dziś wojną – tłumaczy wysyp
produkcji na jej temat Podeswa.
Widowisko ma więc nie tylko
dostarczać rozrywki, ale także
zaspokajać ciekawość szarego
obywatela, który chce wiedzieć,
jak to jest być na linii ognia,
oraz oswajać go z tym doświad-
czeniem. Przykładem jest →

Nowe oblicze
kina wojennego
w serialu
„Pacyfik”,
czyli brud, smród
i padające błoto





1. „Messenger” - Tony (nominowany do Oscara Woody Harrelson) i Will (Ben Foster) przynoszą rodzinom żołnierzy same złe wiadomości
2. Kompania znudzona - „Generation Kill” prezentuje broń
3. „Walc z Bashirem”. Nawet pójdzie w tango nie pozwoli zapomnieć o koszmarach wojny
4. „The Hurt Locker” rozsądza konwencjonalną wojenną narrację
5. Bohaterowie „Jarheada. Żołnierza piechoty morskiej” na próżno szukają rozrywek

→ nieco starszy serial „Generation Kill” (2008), który pokazuje wojnę jako zbiurokratyzowaną machinę, a armię jako korporację. Jej misja w Iraku niewiele się różni od tworzenia i wdrażania strategii kampanii reklamowej, a codzienną nudę żołnierze rozpraszają sobie głównie rozmowami o seksie i szalecym humorem z homofobicznymi odniesieniami.

Kto czeka na spektakularne sceny walki, lepiej, żeby włączył stare DVD z „Szeregowa-

cem Ryanem”. W 1998 roku ten film Spielberga wbił nas w fotel, a krytycy obwieścili narodziny nowej estetyki filmu wojennego. Groza prezentowanych zdarzeń, nagość przemocy, grube ziarno i rwany montaż szły w parze z naszą fascynacją i absolutnym uwiedzeniem przez filmowe rzemiosło. Od tamtej pory każdy film wojenny musiał sprostać normie wytyczonej przez Spielberga: realizm i spektakl miały stopić się w jedno. Co więcej, tak właśnie się stało.

Obrazy oparte na ogranych schematach estetycznych nagle wydały się żałośnie nieadekwatne. „Wróg u bram” (2001) Jeana-Jacques’a Annauda i „Szyfry wojny” (2002) Johna Woo ze swymi zamazystymi metaforami oraz wymyślnymi konceptami trafiły w odbiorczą pustkę. Nierówny i zignorowany przez publiczność „Redacted” (2007) Briana De Palmy był jedynym filmem odważnie stawiającym diagnozę niewystarczalności dotychczasowych środków prezentacji

– fragmenty youtubowe zderzały się w nim z amatorskim wideo kręconym przez jednego z żołnierzy i ze sfingowanym artystowskim „dokumentem” o amerykańskich punktach kontrolnych. Następny krok to wojenne reality show w stylu „Wybacz mi”, w którym niczego niepodważający domownicy zaskakiwani są bolesną wieścią. Przykład? Film „The Messenger” Orena Movermana. Jego bohaterowie informują o śmierci żołnierzy ich najbliższych. Kamera z ręki i pozornie

niedbały montaż mają wzmacniać wrażenie autentyzmu.

Swoją drogą, kto wie, czy po filmach, tak zwanych torture porn, w typie „Piły” i „Hostelu”, nie pojawia się kino grief porn, gdzie przedmiotem podglądactwa będzie właśnie naga żałoba i jej smutny spektakl lez bądź oniemienia?

W ostatnich latach kino wojenne odświeża się właśnie dzięki formie. Pomysł na to, jak pokazać wojnę, jest ważniejszy niż nawet najlepiej rozpisane sceny i dialogi. Reżyser „Libanu” Samuel Maoz, weteran pierwszej wojny libańskiej, ustawił kamerę wewnątrz czołgu, więc akcja prawie całego filmu dzieje się w klaustrofobicznym, wilgotnym i ciemnym pudełku. Przed zdjęciami wsadził do takiego ciasnego pomieszczenia swoich aktorów. – Jeśli mają stworzyć dla widza namiastkę prawdziwego zdarzenia, sami muszą poczuć emocje, jakie my czuliśmy – tłumaczy „Przekroju” Maoz. W innym wywiadzie przyznaje, że specyficzna forma była dla niego oczywista, bo nie wiedział, jak inaczej opisać to, czego sam doświadczył. Instynkt go nie zawodził, a ograniczone pole widzenia kamery rozszerzyło je widzom – do dziś piszą do niego weterani różnych konfliktów, że dzięki „Libanowi” zrozumieli, co się z nimi działo. Zrozumienie wydarzeń z własnej przeszłości było celem samego reżysera.

W umyśle żołnierza

Podobne intencje miał Ari Folman, twórca „Walca z Baszirem”, który tak jak Maoz opowiedział o prywatnych doświadczeniach z pierwszej wojny libańskiej. Jak się okazało, jego film silnie przemówił nie tylko do weteranów, ale także do ich matek, żon i sióstr. – Spodziewałem się, że ludzie będą mnie zaczepiać i opowiadać mi swoje historie. Nie przewidziałem jednak, że dla tak wielu kobiet „Walc...” będzie pierwszym filmem, który im pokazał, czym jest wojna. Nie chodzi o to, że one nie lubią kina wojennego, ale do tej pory żaden obraz nie pozwolił im tak głęboko zrozumieć naszego doświadczenia – mówi reżyser.

Mieszając dokumentalne środki wyrazu z animacją komputerową, Folman balansuje między rze-

czywistością a snem i oddaje specyficzny stan umysłu żołnierza walczącego z wrogiem oraz własną psychiką. Hipnotyczne, surrealistyczne sceny przemówiły bardziej niż graficzna przemoc i wlewające się z ran wewnętrzności. Te zresztą można zobaczyć nawet na własnym komputerze, a opowiadanie przez formę i tworzenie doświadczenia to bodaj ostatnie bastiony broniące swoistości kina wojennego przed atakami telewizyjnych serwisów i Internetu.

Walka z nudą

Wojna jeszcze w innym sensie zbliżyła się do przeciętnego widza. Choć kamery telewizyjne były obecne na frontach w Wietnamie czy w Zatoce Perskiej, przekaz nie był tak intensywny, a materiały selekcjonowano. Dziś relacjami z walk jesteśmy wręcz zale-

Kino staje się kosmopolityczne; politycznie poprawne, ostrożniej odwołuje się do patriotycznego sentymentu

wani, i to nie tylko przez telewizyjnych reporterów niezliczonych stacji. Informacje docierają także od blogerów piszących z oblężonych miast, cywili uzbrojonych w telefony komórkowe, którymi można szybko zarejestrować i wysłać w świat dowolne zdarzenie. To dzięki komórkom dowiedzieliśmy się, jak amerykańscy żołnierze traktują więźniów w Abu Ghraib, a Errol Morris nakręcił na podstawie tych na poły przypadkowych zdjęć świetny dokument „Standard Operating Procedure” (2008) rekonstruujący naturę i chronologię tamtych zdarzeń. Nawet kino fabularne spożytkowało ten motyw – „W dolinie Elah” (2007) Paula Haggisa opowiada o ojcu żołnierza, który właśnie dzięki komórkowemu filmowi dowiaduje się o okrucieństwach popełnionych przez jego syna w Iraku.

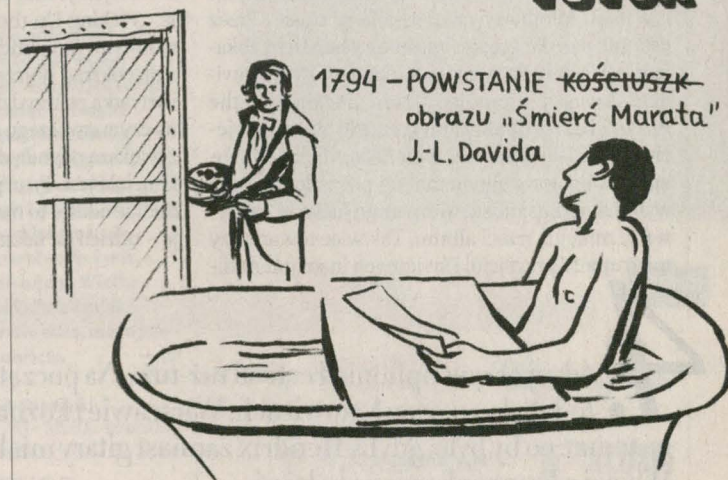
Bliskie plany, stylizyka amatorskiego przekazu i niemal intymna perspektywa to cechy nowych filmów wojennych. Bohater zbiorowy odchodzi w niepamięć, podobnie jak efektowne sceny z udziałem setek statystów. Kameralne, skromne i raczej tanie produkcje w rodzaju „The Hurt Locker. W pułapce wojny”, „Messengera” czy „Stop-Loss” (2008)

Kimberly Peirce (kolejny dramat osnuty wokół wojny w Iraku nakreślony przez kobietę!) uciekają nie tylko od widowiskowości, ale i od doraźnej polityki. Zresztą spektakularne finansowe klapy nieznosnie moralistycznych, politycznych właśnie filmów „Ukryta strategia” (2007) Roberta Redforda, „W dolinie Elah” czy „Transfer” (2007) Gavina Hooda wyraźnie dowiodły, że nie tędy droga. Bo polegnie każdy, kto spróbuje dziś stworzyć czarno-biały obraz wojny, będzie chciał rozstrzygać o racjach czy o winie. Polityczne motywy są zbyt zagmatwane, a w oficjalne wersje nikt już nie wierzy. Nieaktualny jest podział na „naszych” i „wrogów”. Konflikty w Iraku i Afganistanie, a także w Libanie to walka nie z regularną armią, lecz z duchami. Wojenny teatr nie dzie-

no staje się coraz bardziej kosmopolityczne, politycznie poprawne, coraz ostrożniej odwołuje się do patriotycznego sentymentu. Eastwood nakręcił dwa filmy o tej samej bitwie, tyle że z dwóch różnych perspektyw: amerykańskiej i japońskiej, pokazując, że raczej leżą po obu stronach. Tyle tylko że w obu przypadkach zachował reguły wojennego widowiska.

Zupełnie inną perspektywę przyjął chuligan kina, czyli Quentin Tarantino. „Bękarty wojny” to fascynujący spektakl, bezczelna manipulacja faktami historycznymi (z ofiar czyniąca katów), a zarazem amoralna baśń – kto z nas nie czuł satysfakcji podczas finałowej sceny rzezi kilkuset kinowych widzów? Tarantino, przepisując historię i odbierając jej prawo do wielkiego H, ocalił tylko sam filmowy gatunek; jego esencję i rusztowanie. Na nasze szczęście lub nieszczęście historia pisze się dalej, więc nie ulega wątpliwości, że wciąż zmieniającemu się kinu wojennemu nie zabraknie materiałów do opowiadania. Jeszcze nie przebrzmiało echo oscarowego sukcesu filmu „The Hurt Locker”, a już w ostatni piątek w amerykańskich kinach miała swoją premierę „Green Zone” Paula Greengrassa („Lot 93”) z Mattem Damonem. Oparta na faktach, opowiadająca o kulisach inwazji na Irak, kosztująca sto milionów dolarów produkcja to rasowe kino akcji. Hollywood robi, co może, żeby wojna nam się nie znudziła. □

RYŚ. MARCIN MACIEJOWSKI



POTOK

1794 - POWSTANIE KOŚCIUSZKI - obrazu „Śmierć Marata” J.-L. Davida

Nie jestem polską Dianą Krall

O nowej płycie „Looking Walking Being” – nagranej częściowo w garderobie, a wydanej przez Blue Note – opowiada Aga Zaryan

ROZMOWA

Podpisała pani kontrakt z Blue Note. Marzenie o Ameryce wreszcie się spełniło?

– Wydanie albumu w wytwórni z 70-letnią tradycją, dla której tworzyli Nina Simone czy mój ukończony Sonny Rollins, to dla artysty jazzowego wyjątkowa nobilitacja. Czuję się niezwykle doceniona, bo jestem pierwszym polskim wykonawcą, któremu się to udało. A poza tym „Looking Walking Being” to moja pierwsza w pełni autorska płyta. Myślę, że to dla mnie kolejny ważny krok...

Skok?

– Właśnie, i to znaczący. Okazało się, że warto konsekwentnie iść swoją drogą, bo z czasem może się to przełożyć na karierę poza granicami Polski.

Ciekawe, że Amerykanie docenili pani najmniej amerykańską płytę. Mnóstwo tu akcentów latynoskich czy skandynawskich.

– Przez kilkanaście lat poznawałam standardy jazzowe. Słuchałam dużo amerykańskiej wokalistyki i jazzu instrumentalnego. Teraz poczułam się wystarczająco dojrzała, by zrobić coś własnego, odejść od mainstreamu. Na „Looking Walking Being” czerpiemy z wielu źródeł i po tej płycie chyba nikt już nie napisze, że jestem polską Dianą Krall (*śmiech*). Lubię muzykę brazylijską, kocham soul, a gitarzysta David Dorużka przepada za muzyką skandynawską. Mamy otwarte głowy.

Płytę nagrała pani tym razem głównie z polskimi muzykami.

– Jazz wprawdzie nie jest rockiem i koncertowanie z różnymi instrumentalistami jest rzeczą normalną, ja jednak wierzę w regularne muzykowanie. Najchętniej grywam z ludźmi, z którymi łączy mnie kilometry przejechane w trasie. Przez ostatnie parę lat grałam właśnie z Michałem Tokajem, Michałem Barańskim, Łukaszem Żytą i Davidem Dorużką, promując album „Picking Up the Pieces”, bo oryginalny amerykański skład przyjechał do Polski tylko raz. Z pianistą Michałem Tokajem współpracuję niemal od początku. Z kolei wybitny perkusjonista Munyungo Jackson nagrywa ze mną już trzeci album. Tak więc towarzyszy mi grupa 17 przyjaciół i świetnych instrumentalistów, którzy od dawna ze sobą grają, bez zapraszania specjalnych gwiazd.

Zrozumieliście się bez słów?

– Podczas sesji „Picking Up the Pieces” dany utwór nagrywaliśmy dwa-trzy razy i wybieraliśmy najlepszą wersję. Tym razem było mnóstwo dogrywek. Munyungo przysłał część materiału z Los Angeles, a ja większość ścieżek wokalu nagrałam w swoim domu. Konkretnie w garderobie (*śmiech*). To metoda niezwykle pracowita, ale w rezultacie powstał materiał gęstszy i bardziej różnorodny niż „Picking Up the Pieces”.

A motto płyty: „Świat nie jest do oglądania, trzeba w nim być”?

– Zależy mi, by zacząć odbierać świat wszystkimi zmysłami, smakować każdy dzień, być tu i teraz. To moje pogodzenie ze światem, ale też powrót do wspomnień, obserwacji z życia. Są obrazy z dzieciństwa, wątki miłosne, jest też opowieść o Nowym Jorku, który mnie niezwykle inspiruje. „Picking Up the Pieces” nagrywałam w dosyć trudnym momencie wychodzenia z przedłużonego okresu dojrzewania. Dzisiaj jestem kobietą i artystką po trzydziestce, która zaczyna rozumieć, na czym stoi, czego szuka, która przygląda się życiu z większą pogodą ducha. Godzi się ze światem takim, jaki jest. Tytuł płyty „Looking Walking Being” dobrze oddaje to nastawienie, które – mam nadzieję – udzieli się także słuchaczom.

Notował Mariusz Herma

Aga Zaryan chłonie życie wszystkimi zmysłami, a wy chłońcie jej muzykę. 17 marca rusza w trasę po Polsce, w planach ma 11 koncertów



Chodzi, patrzy, oddycha

Niezobowiązująca dojrzałość szansą na sukces

BEZ IMPORTOWANYCH GWIAZD, SIĘGANIA po standardy i kłaniania się tradycjonalistom Aga Zaryan nagrała swój piąty i najlepszy album, który paradoksalnie może przynieść jej długo oczekiwany sukces w konserwatywnej kolebce jazzu. „Looking Walking Being”, bardziej intensywny, różnorodny i chwytliwy niż „Picking Up the Pieces” z 2006 roku, pod pozorem niezobowiązującej lekkości skrywa dojrzałe kompozycje i większą pewność wykonawczą. Kiedyś Zaryan zarzekała się, że nie znosi wielogatunkowych miszmaszów, ale najwyraźniej zmieniła zdanie, bo amerykańską tradycję zdenerza tu z mglistym skandynawskim duchem i łatynską swobodą rytmiczną, brzmienia klasycznie szlachetne z figlarnym fusion, własne teksty z refleksjami poetki Denise Levertov, notabene przyjaciółki Czesława Miłosza. „Chodzę, patrzę, oddycham, jestem” – śpiewa Aga, a nam pozostaje posłuchać.

– mh



Aga Zaryan „Looking Walking Being”, Blue Note

FOT. MATEUSZ STANKIEWICZ/MATERIAŁY PROMOCYJNE, SONY

+++++

Owady bez wad

Musiałbym mieć muchy w nosie, żeby źle pisać o tej płycie

„TERROROMANS”, WYDANY DWA LATA TEMU debiut poznaniaków, został okrzyknięty sensacją sezonu trochę na wyrost, głównie z braku interesującej konkurencji. Mogło ich to głośno rozdzielić. Ale jak śpiewa w „Rekwizytach” Michał Wiraszko, „to, że cię nie gonią, nie znaczy, że masz stać” – i nie stanęli w miejscu. Dorosli do pokładanych w nich nadziei i wbrew tytułowi płyty nie brzmią już jak debiutanci, ale jak starzy wyjadacze. Nie usłyszycie tu dziarskiego młodzieńczego



Muchy „Notoryczni debiutanci”, Sony

pohukiwania, nie znajdziecie refrenów wymachujących jednoczącymi pokolenie sloganami. Nowe Muchy są mniej oczywiste, bardziej wsobne, rozmarzone i niejednoznaczne. Pewnie Marcin Bors, najgorętszy dziś producent polskiej alternatywy, pomógł im odpowiednio dać rzeczy brzmienie, ale płyty za nich nie nagrał. To Muchy panują nad słowem (od jaskrawych strzępów codzienności à la CKOD po cyniczne filozofowanie, którego nie powstydziłby się Janerka) i nad dźwiękiem (dużo dobrego i nieoczywistego dzieje się z gitarami, ale z umiarem dozowane klawisze też robią swoje), a przy tym nie budzą już żadnych jednoznacznych skojarzeń. Poszli na swoje.

– Jarek Szubrycht



Muzyczne żywe srebro, czyli zespół Muchy, który chwyta strzępy codzienności

Na to idziemy

ŚWIĘTO PIOSENKI

Już nie grają, że śpiewają

Tegoroczny Przegląd Piosenki Aktorskiej może przyprawić o zawrót głowy

Dawno minął czas, kiedy można było bezkarnie dworować sobie z Przeglądu Piosenki Aktorskiej i pisać, że polscy aktorzy zjeżdżają co roku do Wrocławia, by zagrać śpiewanie.

31. edycja PPA to impreza, która ze względu na bogactwo programu może przyprawić o zawrót głowy. Na początek gotycki kabaret ekscentrycznej Amandy Palmer (piękniejszej połowy The Dresden Dolls), potem między innymi włoski duet Musica Nuda (czyli on gra na kontrabasie, ona śpiewa – i choć tak ich mało, niczego wam nie zabraknie), Inga Liljeström (śpiewająca wolonczelista ze Skandynawii, którą docenią wielbiciele alternatywnych brzmień) oraz Brendan Perry z Dead Can Dance bez Lisy Gerrard. A dwa dni później... zjawiskowa Lisa bez Brendana, za to z innymi znakomitościami, czyli koncert „Life Along the Borderline”. Taki tytuł nosi

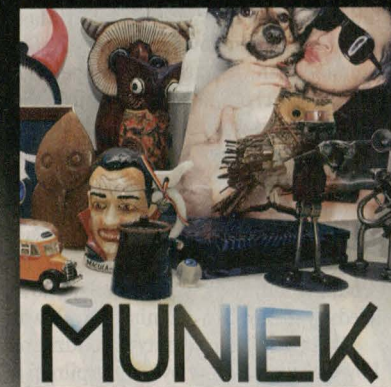
hold dla Nico, wokalistki The Velvet Underground, ozdoba programu tegorocznego przeglądu. Muzie i przyjaciółce poklonią się John Cale (o nim więcej w „Przekroju” za tydzień) oraz jego goście, między innymi Mark Lanegan (Screaming Trees) i Laetitia Sadier ze Stereolab. Zapowiadał się strzałem z pistoletu. Wielka strata. Ale cokolwiek miał do powiedzenia Nico, może już to zrobić oświadczenie. – jsz

31. Przegląd Piosenki Aktorskiej, 20–28.03, Wrocław, różne lokalizacje
Info: www.ppa.art.pl

REKLAMA



MUNIEK
PIERWSZY SOŁOWY ALBUM
WOKALISTY T.LOVE



PREMIERA
15 MARCA 2010

SONY MUSIC

Singiel Muniek „Święty” jako Czasoumlacz
Wyślij SMS: MUN na 333 (koszt: 2,5zł, tylko w PLUS)

WP.PL

PRZEKROJ

cgm.pl

DLACZEGO

cojestgrane

students.pl

EXKLUSIV

SUKCES

Radio 24

4. edycja Francophonie Festival tuż-tuż... Na początek Speed Caravan (od 18 do 20.03 w Katowicach, Warszawie i Poznaniu), czyli wariacja na temat: co by było, gdyby Hendrix zamiast gitary miał arabską lutnię oud. Więcej o Francophonie za tydzień.

Pamflet na zadowolonych, czyli między nami świetnie jest

Ponoć w polskim teatrze od niepamiętnych czasów nie działo się tak wspaniale jak dziś

POLEMICZNIE JACEK SIERADZKI



NASI TWÓRCY MAJĄ WYSOKĄ MARKĘ w świecie, są cenieni i nagradzani, w kraju zaś publiczność wali drzwiami i oknami, artystów nosząc na rękach. Cemu więc marudzić z boku, nie kwapiąc się do udziału w zbiorowej euforii? Nie pasują mi reguły rządzące tym sukcesem? Owszem, nie pasują. To mój kłopot; ale czy naprawdę tylko mój?

Przy czym, żeby nie było tak prosto, wcale nie mam najmniejszego zamiaru negować poszczególnych osiągnięć. To realny fakt, że polski teatr – jak od lat nie bywało – jest obecny na scenach świata „od Ekwadoru po Moskwę”, jak napisała w „Gazecie Wyborczej” Joanna Derkaczew. Krzysztof Warlikowski występuje w głównym programie festiwalu w Awinionie i reżyseruje w Paryżu, gdzie Andrzej Chyra partneruje Isabelle Huppert. Jan Klata realizuje w Düsseldorfie niemiecką prapremierę Ravenhilla. Grzegorz Jarzyna daje świetną prapremierę „Między nami dobrze jest” Doroty Masłowskiej, współprodukcję warszawskich Rozmaitości i berlińskiej Schaubühne. Krystian Lupa jest laureatem arcyprężnej Europejskiej Nagrody Teatralnej.

Chapeau bas! Takiej ekspansji dalibóg najstarsi suflerzy nie pamiętają. Co napisawszy i honory oddawszy, można jednak trochę – niech będzie, że dla równowagi – powyrzekać na temat charakteru współczesnej karuzeli festiwalowej i, szerzej, całości międzynarodowej wymiany artystów oraz przedstawień. Jej swoistego skomercjalizowania. Jej produkcji „gotowych sukcesów” wpisanych z góry w projekty. Jej koniunkturalizmu, niezbędnego choćby w procesie pozyskiwania środków unijnych, wreszcie jej hołdowania poprawności politycznej z jednej strony, a tworzenia kontrolowanych skandalu z drugiej...

To są wszystkie tematy na oddzielną debatę z udziałem uczestników i obserwatorów być może pilniej niż ja śledzących międzynarodowe życie scen. Tu tylko symbolicznie zaznaczam, że jeśli niewielkie, ustylizowane na koncert przedstawienie kieleckiego teatru, kochane przez fanów hulaśliwego rocka, a złościące jego wrogów, po prezentacji na krakowskim festiwalu Boska Komedia dostaje z miejsca zaproszenie do Nowego Jorku, to owszem, twórcom należał się brawa. Aliści lepiej nie wyciągać z tego wniosku, że życie teatralne Kielce zbliża się szparkim krokiem do klimatów Manhattanu.

Chciałbym natomiast zatrzymać się przy drugim argumente mającym świadczyć o wyśmienitej kondycji polskiej sceny – owej rosnącej w dzikim tempie frekwencji. To też jest fakt: ludzi na widowniach jest dziś ponad wszelką wątpliwość więcej niż 10 czy 15 lat temu. Widać to gołym okiem. Tyle że owa zwykła niekoniecznie oznacza to, co by się zwłaszcza heroldom odnawianego młodego teatru marzyło.

PROSZE WZIĄĆ DO RĘKI KTÓRYSZ Z WARSZAWSKICH DZIENNIKÓW i spojrzeć na repertuar. Scen „popularnych” było tu przed dekadą ledwie parę: Syrena, Komedia, Kwadrat, Roma, Bufło. Dziś doszło drugie tyle: Polonia, która właśnie stworzyła drugą scenę, Kamienica, Capitol, Bajka. Ich nazwy dominują już w rubryce i skutecznie wbijają się w pamięć czytelnika. Czym? Ano głównie tym, że widzi je w kółko na szpalcie! W tych przybytkach nie ma zmiłuj – codziennie o 19 wznosi się kurtyna i idą te arcydzieła: „Skoki do łóżka”, „Maydaye”, „Latające narzeczone” i co tam jeszcze. W firmach wysokoartystycznych nie bywa już tak pracowicie. Wierzących z wygaszonymi światłami jest sporo, a niektóre sceny z pustych dni potrafią złożyć niemal cały miesiąc.

Co więcej, w świątyniach lżejszego repertuaru nawet przy tak obfitym graniu nie ma gdzie szpilki wetknąć – siadywałem na dostawkach, więc wiem. Nie do pomyślenia byłyby tam takie łysiny, jakie trafiają się na widowniach Dramatycznego, sztandarowej dziś warszawskiej sceny eksperymentalnej, czy Studia, którego afisz wypełniała w ostatnich sezonach – fakt, że bez sukcesu – wyłącznie cenioma przez krytyków reżyserska młódź.

Co ty gadasz – powie mi ktoś z kolegów po fachu – dostań się do Dramatycznego na Lupa. No tak, Lupa, pewnie – co mistrz, to mistrz. Aliści na spektaklach Krystiana Lupy widzę ma wariackie wrażenie, że siedzi wśród wykopalisk. Ogląda spektakl z pochylego podestu wznoszącego się od poziomu sceny do wysokości pierwszego balkonu. W szparach w podłodze widzi jednak pod spodem niższy pokład geologiczny: dawną widownię teatru, czyli stare, obite czerwonym pluszem fotele. Na podeście krzeseł jest jakieś 120, może – z balkonem – nieco więcej. Stara widownia miała miejsc 650.

Żeby było jasne: nie wnoszę pretensji. Akurat ten artysta klasą swoich sukcesów wywalczył sobie prawo stawiania takich wymagań. Jego spektakle zapewne muszą być oglądane z takiej, a nie innej perspektywy, wymagającej kameralnej, bliższej aktorom widowni. Co nie zmienia faktu, że na „Marilyn” z fenomenalną Sandrą Korzeniak wchodzi sto kilkadziesiąt osób, a spektakl zjawia się na afiszu parę razy co dwa-trzy miesiące.

Podobnie w TR Warszawa: Jarzynowy „T.E.O.R.E.M.A.T.” czy „Między nami dobrze jest” grane są w parodniowych seriach przedzielanych wielotygodniowymi (!) przerwami. To samo dotyczy



„T.E.O.R.E.M.A.T.”: dobro rzadkie, a zatem wyczekiwane

przedstawień Krzysztofa Warlikowskiego. Pokazywane są, a jakże, w dużej, wynajmowanej hali, ale wszystkich spektakli uzbiera się w sumie na parę tygodni grania. W skali roku!

Cóż w tym dziwnego – powie ktoś przytomny. – Widowiska lżejsze zawsze cieszyły się bardziej masowym odbiorem, a poszukiwania artystyczne miały elitarną klientelę. Normalne, nieprawdaż? Owszem, normalne. Tylko niekoniecznie oczywiste dla tych, którzy czytają peany o zachwycającej kondycji sceny. Albowiem zachwyceni skwapliwie starają się nie dostrzec, że w obszarze sztuki scenicznej najwyższej przez nich cenionym – pełnym przedsięwzięć ambitnych, odważnych, obrazoburczych – sukces frekwencyjny polega bądź na drastycznym reglamentowaniu spektakli, bądź na prezento-

waniu ich w 50-100-osobowych klitkach, w których mieści się ledwie niewielka grupa krewnych i znajomych królika. Zaś rzeczywisty lawinowy przyrost widowni dokonuje się w przybytkach popularnych, przystępnych, mrówczo pracowitych, tyle że z perspektywy wyżyn wysokiej sztuki pogardzanych. Pogardzanych często jak najbardziej zasłużenie! Sztuka tu sprzedawana bywa tandetna, niska, grubo zaniska. Ale nikt tego nawet nie próbuje poróżnić, posegregować, wyłowić tego, co docenienia warte; całą produkcję ryczałtem wrzuca się do śmieci, absolutyzując wzamian wąsko adresowane eksperymenty. Czego rezultat może być tylko jeden – rzeczywisty obraz życia sceny gwałtownie rozjeżdża się z pięknym mierzakiem.

Teatry takie jak Kwadrat siedzą w ciasnych klitkach i wyciągają łapę po dotacje

DOCKIELIWI HISTORYK TEATRU za jakieś 50 lat odkryje z zaskazaniem, że w Polsce pierwszej dekady XXI wieku istniały teatry, bytak rzec, nieoficjalne. Takie, o których opiniootwórcza prasa nie wspominała nawet słówkiem. Nie publikowano z nich recenzji, piśma branżowe nie znały nawet ich tytułów. Ajednak opinia publiczna sobie tylko znanymi kanałami całkiem skutecznie kolportowała pantoflowe rekomendacje. Pomijane w fachowych rankingach widowiska latami nie schodziły z afisza, aludzie zabijali się o bilety. Wymieńmy sztandarowe przypadki: „Cholonek” w reżyserii Roberta Talarczuka w katowickim Teatrze Korezcy, „Klimakterium i... już” Elżbiety Jodłowskiej triumfalnie objeżdżające kraj. Na „Cholonek” wcisnąłem się, nadużywając śląskich znajomości. Wzafascynowaniu obserwowałem żywiołowy odbiór widowni – i śmiech, i płacz, słynne „trzy elementy” z piosenki Młynarskiego. Po bilety na „Klimakterium...” nawet nie startowałem.

Podobnie jak nie dobijam się od lat dostojnego Kwadratu. Parę miesięcy temu „Przekrój”, chcąc odnotowywać przynajmniej niektóre premiery tego teatru, zwrócił się o zaproszenie recenzentki. Miła panienska od biletów zaofiarowała redakcji miejsca... stojące. Koledzy się wściekli i skwitowali zajście złośliwą notatką. Podzielałam irytację, lecz nie mogłam nie rozumieć antrepreneur Edmunda Kamila Karwańskiego, który musiałby zrezygnować z żywej gotówki za krzesło (70 czy 100 złotych) i oddać miejsce za darmo jakiemuś gryziopiórkowi. Nie przejmując się za bardzo, co ów by napisał, bo to i tak na frekwencję nie miałoby żadnego wpływu. Szef Kwadratu nie musi liczyć się z prasą, chyba że ktoś znów zażąda – temat wraca cyklicznie – by odebrać mu dotację, bo przecież na świecie tego rodzaju farsowo-gwiazdorskie teatry naprawdę utrzymują się same. Dyrektor wówczas smaży odpowiedź, że aby zbilansować dochody i koszty, miejsce w 170-osobowej sali musiałoby kosztować krocie. Marację. Tylko właściwie dlaczego ów przybytek gnieździ się w tak elitarnym wnętrzu?

Marek Kraszewski, szef warszawskiego Biura Kultury, ma pod sobą zarówno Kwadrat, jak

i Dramatyczny, poktórym (zwłaszcza po jego dużej scenie) tygodniami hula wiatr. Mam dla niego darmową poradę: niech zamieni instytucję miejscami! Cóż prostszego? Karwański przejdzie na plac Defilad i rąbiąc dzień w dzień swoje „Maydaye” w 600-osobowej sali, zarobi tyle, że nie tylko nie będzie chciał dotacji, ale jeszcze wyremontuje rozpaczliwie zapyziały, sypiący się postalinowski gmach. A Paweł Miśkiewicz ze swoimi pójdzie do Kwadratu, przemaluje salę na czarno, wyrzuci plusze, rozbebeszy pocziwe zastawki tworzące dekoracje i przynajmniej przestanie zmuszać gości, by wylazili oglądać kolejne premiery Dramatycznego weksperymentalnej salce na piątym piętrze bez windy. Człek najzyczliwszy nawet, wszedłszy w wiek poststudencki, znosi te wspinaczki po awangardę z jakimś trudem.

Nie da się? Pewnie, że nie; sam się śmieję ze swojej propozycji. Żaden szafarz publicznego grosza nie podpisze się pod taką decyzją, którą wszyscy – a zwłaszcza jego wrogowie – odebraliby jako triumf komercji nad artystem. W związku z czym nie maruchu. Teatry rozrywkowe typu Kwadrat siedzą w ciasnych klitkach i wyciągają łapę po dotacje, twierdząc – zasadnie – że z kasy nie wyżyją. Teatry elitarno-ambitne typu Dramatyczny grają jak na lekarstwo, łkając, że nie mają pieniędzy, by utrzymać wielki gmach i jeszcze dopłacać do przedstawień, z których każde musi być otchłannie deficytowe. Tak zwane teatry środka dostają połbie z obydwu stron – od krytyki za mieszczańską bezambicjność, od miasta za wyniki finansowe słabsze od rozrywkowców. Teatry prywatne też stoją w kolejce po subwencje, jakieś pieniądze – mniejsze, ale zawsze – wyszarpując. I rośnie kompletny już chaos hierarchii wartości w życiu scenicznym. Chaos, którego doprawdy nie da się przykryć okrzykiem à la Masłowska, że „między nami – w teatrze – dobrze jest!”

PRZED ŚWIĘTAMI BOŻEGO NARODZENIA odbyło się w Warszawie Forum Polskiego Teatru, którego lwia część poświęcona była problemom instytucji scenicznych i ich stosunków z mecenatem (część samorządowym niż państwowym). Szefowie wielkich scen efektywnie wykazywali zasadniczą niewystarczalność otrzymywanych subwencji. Dowodzili, jak tak zwane koszty stałe zjadają dotację, nie pozostawiając nic na produkcję artystyczną. Domagali się różnych, w większości rzeczowych i sensownych usprawnień. Aliści wśród wymienianych źródeł wpływu gotówki do kasy teatru nigdy właściwie nie uwzględniano źródła elementarnego – „dotacji” wnoszonej przez widza kupującego bilet.

Dlaczego o tym zapomniano? Wolno sądzić, że z nader prostego powodu. Otóż w teatrach najbardziej prestiżowych, więc i najwyżej dotowanych, pozycja księgowa zwana „wpływami z kasy” jest zwyczajnie nieistotna. Czy przyjdzie więcej widzów, czy mniej, czy kupią bilety →



Teatr Polski w Poznaniu

Termin nadsyłania prac
31 maja 2010

METAFORY 2010
RZECZYWISTOŚCI

Ogólnopolski konkurs poświęcony polskiej dramaturgii współczesnej

e-mail: konkurs@teatr-polski.pl, www.teatr-polski.pl

Ogólnopolski konkurs poświęcony polskiej dramaturgii współczesnej

METAFORY 2010
RZECZYWISTOŚCI

→ normalne, czy najtańsze wejściówki – nie zmieni to bilansu instytucji w takim stopniu, by warto było zaprzętać sobie tą kwestią głowę.

Co oczywiście nie dotyczy wszystkich. To problem największych miast: Warszawy, Łodzi, Krakowa, Wrocławia, gdzie teatrów jest najwięcej, pieniądze względnie duże, a kontrasty między wysokością subwencji dla scen wysokoartystycznych i tych lżejszych bywają krzyczące. Więc jedni nie muszą prawie wcale zwracać sobie głowy wpływami z kasy, inni wychodzą ze skóry, by czynić z niej istotne źródło dochodu, a jeszcze po piętach depcze im komercja prywatna, czując koniunkturę. Z kolei w miastach o jednym teatrze nikt frekwencji nie zlekceważy; repertuar jest zatem eklektyczny, obliczony na różne grupy widzów. Także objazdowe rozrywkowce chętnie korzystają z jedynej sali w mieście i – niejako siłą bezwładu – wpisują się na jej afisz.

Bywają, nieliczne, przypadki odwrotne. Objawiały trzy lata temu teatr w Jeleniej Górze, reżyser Wojtek Klemm wprowadził jednolicie odważny, obrazoburczy repertuar. Musiał się zapewne liczyć z redukcją widowni (choć może nie aż do tej trzydziestki na sali, którą tam spotykałem). Zapasć frekwencyjna zresztą byłaby może w dłuższej perspektywie do pokonania. Niestety, ekipa teatru, natrafiwszy na obstrukcję miejscowych elit, straciła rozsądek i wygarnęła swoim chlebobdawcom, że są matolami i ignorantami, bo teatr jest ceniony i zapraszany na ogólnopolskie festiwale. A co najważniejsze – chwalony przez krytyków z samej Warszawy. Po takim samobójcu dyrekcja musiała z hukiem się zawałić, ale zdarzenie wciąż funkcjonuje w publicystyce jako przykład sztuki, którą władza zniszczyła za niezależność – nie zaś za to, że mało z kim na miejscu potrafiła się skomunikować.

Teatry w niedużych miastach, jak wszystkie przedsięwzięcia ze skromniejszymi subwencjami, z reguły umieją dbać o kasę i zapewniają sobie z niej istotny dochód. Tyle że ceną są kompromisy. Artysta, który ma głowę wypełnioną śmiałymi pomysłami performatywnymi i postdramatycznymi, musi sięgnąć w gabinecie dyrektora i odpowiadać na marudne pytania: a kto na to przyjdzie? A komu ja to sprzedam? A ile razy zagramy? Taka konwersacja, wiadomo, artystę wnerwia. I znów, żeby uczciwie rozkładać pro i contra: bywa, że wnerwia słuszenie, gdy podtatusiały szef sceny jest kompletnie zamknięty na nowe pomysły. W dodatku ośło przekonany, że tylko teatr, jaki sam robi, ma rację bytu, nie widząc, jak rządzenie zrutynizowało go i zurzędziło. Co nie zmienia jednak faktu, że w tej rozmowie to właśnie ów dyrektor reprezentuje – niechby i z urzędu! – potrzeby widza. Jego partner w większości przypadków reprezentuje głównie swoje ego. Nader mocno wśród artystów sceny eksponowane.

**Młodym
ludziom
należy się,
i to od zaraz,
większy kęs
odpowiedzialności
za losy
sceny**

W TRAKCIE OBRAD WSPOMNIANEGO FORUM POLSKIEGO Teatru kontrspółkowie urządzili młodzi reżyserzy i aktorzy. Nazwali je Obywatelskim Forum Teatru Współczesnego. Wydali komunikat, z którego wynikało, że to oni, reprezentanci roczników '70 i '80, odmiennili obraz polskiego teatru i są głównymi sprawcami jego dzisiejszej żywotności. Cóż jednak – pisali – skoro ta zasługa nie owocuje rzeczywistym wpływem na teatry rządzone przez staruchów. Nikt im nie proponuje dyrekcji, nawet ich nie zaproszono na owo oficjalne forum zwołane pod auspicjami organizacji środowiskowych, których nie uważają za swoje. Więc zebrali się sami.

Można ich zrozumieć. Co więcej, nawet niepodobna żywić pretensji, że zapomnieli wspomnieć o czymś, co w nieco innym świetle stawia ich postulaty. O tym, że nikt na przestrzeni dziejów nie miał – jak oni właśnie – tak łatwego startu, dostępu do liczących się scen, błyskawicznego pięcia się na szczyty uznania, szacunku, popularności.

Tym młodym ludziom, a przynajmniej części z nich, należy się, i to od zaraz, większy kęs odpowiedzialności za losy sceny; tradycyjne mechanizmy pokoleniowego następstwa najwyraźniej się poza-

cierały. Tylko jedno budzi niepokój. W ich pracach, poszukiwaniach, proklamacjach, zwierzeniach prasowych bardzo trudno doszukać się choćby cienia czegoś, co w teatrze zawsze było pewną esencją – szacunku wobec widza. Elementarnej chęci odczytywania jego potrzeb i oczekiwań, szukania skutecznego języka porozumienia, budowania wspólnoty w skali szerszej niż pojedynczy spektakl. Na tego rodzaju wspólnocie fundowana była rzeczywista wielkość teatru. Z niej pączkowała awangarda, która zwyczajnie miała od czego się odbijać. Tymczasem dziś proszę mi pokazać prominentnego artystę, z ekspansywnych roczników '70 i '80, który w swoim credo użyje, niechby z rozpędu, staroświeckiej kategorii „mój widz”, „mój partner”, „mój odbiorca”. Nie będzie zaś bez reszty skupiony na wiecznym „ja”, „ja” i „ja”.

Gadanina o szacunku, społecznych powinnościach i wspólnotach wywołać może – zwłaszcza wśród młodszych czytelników – poczucie zagrożenia gwałtem na wolności twórczej. Niesłusznie. Jeśli mamy do czynienia w praktyce scenicznej z jakimś przegięciem, to akurat w przeciwną stronę. Teatr bywa dziś, owszem, bezwzględnie służebny, ale wyłącznie wobec artysty. Wobec jego wizji, zachcianek, nieokielznanej swobody. Jego prawa do niekomunikatywności, do kaprysów, dezynwoltury. Skutki często mętne? Nie szkodzi. Nazwiemy to *work in progress*, innego alibi nie potrzeba. Nic się kupy nie trzyma? A kto żąda, że ma być logicznie? To przesąd. Zdobywanie widza? Widz, jak ponoć powiedział pewien dyrektor pewnej aktorke kontestatorce, przychodzi na własną odpowiedzialność. Równie dobrze niech sobie lezie gdzie indziej, choćby na jaką szmirę. Łaski bez. Ma nadażyć za naszą wizją; nie nadaża – jego problem. Najlepiej zresztą byłoby mieć taką dotację, żeby przestać się martwić o widza i przygotowywać premiery wyłącznie dla satysfakcji własnej i najwierniejszych kibiców, nie zawracając sobie głowy moźną eksploatacją gotowego tytułu.

Nie będziemy pokazywać palcem scen, które zdają się być całkiem blisko tego ideału.

O niczym nie marzę tak jak o tym, by powyższe uogólnienia móc spieszenie poodszczekiwać. Chciałbym znów nabrać przeświadczenia, że spotykamy się wszyscy wieczorem w teatrze, albowiem ktoś nam chce coś istotnego od siebie powiedzieć. Ponadto ma to przemyślane, ułożone i przeprowadzone przez zespół. A jako główny cel wysiłku założył sobie, by wieczór w wieczór jego prawda stawała się istotnym przekazem dla ludzi, którzy przyjdą do teatru. Ludzi, którzy nie szukają bezmyślnej rozrywki, ale też nie chcą dać się zredukować do roli biernych obserwatorów fontann reżyserskiego narcyzmu. Proste? Chyba proste.

Niestety, na tle akompaniamentu bębnow i trąb oznajmujących urbi et orbi, że mamy nieznany w historii sukces, świat nas kocha, widz nas kocha i w ogóle między nami w teatrze dobrze jest, daje się słyszeć wyraźnie odmienny hymn kroczącego chóru pretendentów. Proszę wyteńczyć słuch. „Jesteśmy młodzi. Jesteśmy zdatni. Jesteśmy dobrzy. Nasze debiutanckie przedstawienia recenzenci najważniejszych gazet uznają za genialne. Drugie robimy na scenach narodowych. Trzecie zapraszane są do Nowych Jorków. Przeto wołamy: dajcie nam rząd scen! Dajcie dyrekcję! A przede wszystkim dajcie te dotacje, które pozwalają w sali na 800 miejsc robić widowiska dla 80 osób i nie zastanawiać się, czy nawet tyle przyjdzie. Będziemy wiedzieli, co z tym zrobić. Zapewnimy rozgłos. Media zatrąbią. Krytyka zapieje. Festiwale zaproszą. Wydziały humanistyczne uniwersytetów wyprodukują studentów, którzy przyjdą i wypełnią wszystkie sześć rzędów widowni, wykupiwszy tanie wejściówki”.

A przeciętny konsument kultury, o duszy pewnie filisterskiej, ale nijak z tego stanu nieleczonej, w tym samym czasie zostawi dwie stówki w kasie rozpasanej i bezkarnej szmiry, cały szczęśliwy, że zdobył bilety, za którymi uganiają się znajomi. Po czym, czytając przy obiedzie gazetę, powie żonie: wiesz, tu piszą, że mamy teatr na poziomie światowym. Rzeczywiście, Władkowie byli wczoraj i mówili, że dawno tak się nie obśmiali.

+ + + + + ŁUKASZ DREWNIAK

Buddyjski melodramat Gruszka tańczy „Taniec »Delhi«” w Narodowym i w naszej wyobraźni

Pamiętacie te radzieckie filmy o niemożliwej miłości, te „Dworce dla dwojga” czy „Lecą żurawie”, na których lży ciurkiem lecą z oczu, a po seansie chce się pierwszej napotkanej kobiecie wykrzyknąć w obecności jej partnera osiłka: „Jekaterina Iwanowna, ja was lubię!”? „Taniec »Delhi«” żeruje na stylistyce melodramatu. Pokazuje bohaterów dobrych i prawych uwikłanych w uczucie silniejsze niż moralność, rodzina, dobro ogółu. Wyrzypajew kopiuje radziecką czułościowość, spauperyzowane czechowowskie klimaty i rozkłada je na czynniki pierwsze: przeciągle spojrzenia, górnotłone frazy, serca na dłoni. A potem spiętrza je ad absurdum. Tyle że nie o absurd i drwinę tu chodzi.

Zaczyna się tak. Tancerce Katii (Karolina Gruszka) umiera matka (Aleksandra Justa). Dziewczyna jeszcze w szpitalu wyznaje miłość znanemu mężczyźnie (Paweł Paprocki), ale zostaje odrzucona. Nikt nie ma do nikogo pretensji. Katia nie czuje bólu ani po stracie matki, ani po eleganckiej odmowie Andrieja, który kocha inną. Zamiast cierpienia jest jakieś artyuczucie. Zaskakuje naiwny, nademocjonalny styl mówienia aktorów, niemal na jednym oddechu. To są nieprawdziwi ludzie



Katia
(Karolina
Gruszka)
szuka
szczęścia
w płasach

w nieprawdziwym świecie – tyle że po kilkunastu minutach nieznośna maniera staje się naturalnym językiem bohaterów. Mylnych trików jest więcej. Wyrzypajew oddziela siedem mikrosceńek opadaniem eleganckiej włoskiej kur-

tyny, aktorzy wychodzą do ukłonnów, maszyniści przemeblowują scenę. Orientujemy się jednak, że zmiany scenografii są kosmetyczne. Reżyser przedstawia akcenty, miesza konteksty, gra z kolejnością wyznań i uczuć, uśmierca co-

raz to inną osobę, o czym informuje wciąż ta sama rezolutna pielęgniarka (Agata Buzek).

W tej strategii nie ma jednak zabawy „dublami”, mnożeniem alternatywnych biografii i zdarzeń. „Dubie” Wyrzypajewa służą dojrzewaniu bohaterów i widzów do ukrytego na początku filozoficznego tematu. Tytułowy „Taniec »Delhi«” to wymyślony przez Katię taniec „antytaniec”, który jest „nią samą, jest tańcem, jest końcem tańca”. Zrodził się w niej pod wpływem wizyty na bazarze w stolicy Indii, w miejscu największego stężenia cierpienia, nieszczęścia, brzydoty. Czy można tworzyć dobro ze zła? Przecież samej tancerce i jej widzom taniec daje szczęście i nadzieję, przemienia ból w jego nieobecność. Jest czymś nienaturalnym, niemożliwym do opisu. Aż chciałoby się zobaczyć, jak Gruszka go tańczy. Tylko że Wyrzypajewowi chodzi o to, by ona tańczyła wyłącznie w naszej wyobraźni. Żeby coś w nas zatańczyło. Reżyser toczy spór o etyczność sztuki, przygląda się paradoksom współczucia i miłości. „Taniec »Delhi«” to melodramat w służbie buddyzmu zen.

„Taniec »Delhi«” Iwana Wyrzypajewa, reżyseria autor, scenografia Margarita Ablajewa, choreografia Leszek Bzdyl, Teatr Narodowy w Warszawie

+ + + + +

Encyklopedysta w zalotach

Diderot Wojtyński woli
filozofować ustami

ZAKOCHANI WE WŁADCACH filozofowie zwykle doświadczali na własnej skórze skutków walki do bra ze złem. Intelektualny flirt Diderota z Katarzyną Wielką na szczęście nie obudził absolutnego Zła. Ot, carycza filozofowi zrobiła dobrze, a potem kazała jechać precz.

„O rozkoszy” to dowcipny apokryf traktujący

właśnie o tym, jak mógł wyglądać rosyjski epizod z życia wielkiego encyklopedysty, który przybył do Petersburga na zaproszenie zacytowanej w jego pismach carycy i ulega iluzji, że może mieć istotny wpływ na edukację imperium. Związek imperatorowej z filozofem zasadza się jednak na fundamentalnym nieporozumieniu. Diderot twierdzi, że samo czynienie dobra jest największą

rozkoszą dla człowieka. Katarzyna uważa, że już sama rozkosz jest dobrem. I wygrywa: Diderot, propagator racjonalizmu i dystansu wobec teatru życia, zaczyna marzyć o rozkoszy filozofowania ustami – byle z Katarzyną. Wojtyśko opowiada tę historię za pomocą teatru kostiumowego, prowadząc ją w eleganckich i ironicznych konwersacjach. Tomasz Międzicki jest Diderotem ospałym

i nieporadnym w amarach. Brawurowo rolę faworyta Potiomkina wcielił Wojciech Skibiński. Rafał Dziwisz jako obły i cyniczny agent Grimm zagrał chyba najlepszą rolę w karierze. Joanna Mastalerz (Katarzyna) z uciemiężonej dziewczynki zmienia się w sawantkę z rokokowym afro na głowie, by na koniec objawić oblicze chutliwej, bezwzględnej modliszki. Patrząc, jak uwodzi Diderota, zaczynałem żałować, że nie dość pilnie studiowałem filozofię.

– 1d



Diderot (Tomasz Międzicki) ma kłopoty z Katarzyną (Joanna Mastalerz)

Najgłośniejszą książką Kazimierza Orłosa pozostaje „Cudowna melina”, w kraju zatrzymana przez cenzurę i wydana w Paryżu w 1973 roku

++++ TADEUSZ NYCZEK

Lutek dostał lewarkiem Czytajcie opowiadania Kazimierza Orłosa! Mocna rzecz

Prozy Kazimierza Orłosa zachwalać nie trzeba. Każdy, kto żyje trochę dłużej niż pies pekińczyk i lubi gęste, męskie opowieści o ludziach odrzuconych, sponiewieranych, opuszczonych albo inaczej nieszczęśliwych, wie, o czym mówię. Orłoś pisze już od pół wieku, specjalizując się w opowiadaniach, które są dla prozaika tym, czym dla kompozytora etiudy. A jest to w wydaniu tego pisarza specjalizacja najwyższej próby, o czym łatwo się można przekonać, czytając właśnie wydany wybór tych prozatorskich majstersztyków pisanych od lat 60. do dzisiaj.

Zdziwicie się po drodze parę razy. Nie tylko sugestywnością opisywanych tam wydarzeń i osób biorących w nich udział. Każde z tych opowiadań jest gotową fabułą filmową i gdyby Wojtek Smarzowski, nasz ekspert od Polaka leżącego na dnie i słyszającego pukanie od spodu, znalazł je wcześniej, mógłby poczuć, że jego „Wesele” i „Dom zły” są w dobrym towarzystwie. Wicie, o czym mówię. Jest tam na przykład wesołe opowiadanie o niejakiem Gorczycy, co robił na budowie i wracał dopiero o czwartku. Pewnego dnia dwaj sezonowi robotnicy, którym akurat wypadła praca w pobliżu domu Gorczycy, upili mu żonę i przelecieli ją w stodole na sianie. Gorczyca był łajza i to nie on pobił chwilowych szwagrow, ale oni jego. Albo tamto o starym Decu Antonim, który wracał z kościoła, a Lutek Kostrzewski wychylił się z moskiewicza i złośliwie przezwiał go wujem. Dec poskarżył się

synom i zięciowi, ci pojechali do Kostrzewskich, trochę się poprzytkali, Kostrzewscy spalili im auto, oni spalili im stodołę, Lutek dostał lewarkiem, Stacha wzięli pod obcas, stary Kostrzewski postrzelił z obrzyna siostrzeńca Jadzi, a stara Kostrzewska odgryzła Zenkowi kawałek ucha.

Ale nie tym się zdziwicie. Ani nawet nie opowiadaniem o niezwykłej miłości durnego Józka do przygłupiej Zeni Jureckiej czy tytułowym arcydziełkiem o innej, złej miłości pijaka Władka Ptaka do swojej Basi Ptakowej, co się dla wszystkich z ojcem Basi na czele źle skończyło, bo zdesperowany ojciec zadłgał zięcia nożem. Tytuł tej nowelki jest sam w sobie arcydziełem, bo sentymentalny frazeologizm obraca w śmiertelną dosłowność.

Otóż zdziwicie się niepomniernie, jeśli spróbujecie wykasować daty spod tych opowiadań (najwcześniejsze jest z roku 1967, najpóźniejsze z 2007),

a same opowiadania potem przemieszacie. Nie zgadniecie wtedy za nic, które ma lat 5, a które 35. Może jakieś drobne, drugorzędne realia coś wam podpowiedzą. A wszystko dlatego, że Orłoś pisze o konkretnych ludziach, a nie członkach społeczeństwa. Nie pisze o polityce, władzy, historii, przemianach, kulturze i cywilizacji. Pisze o najwzrostlejszym życiu, prostym, chamskim, brutalnym, pozbawionym jakichkolwiek ozdób, gospody, sklepu spożywczego i namiotu nad rzeką trwa niezmiennie od dziesięcioleci, a może i od stuleci.



Kazimierz Orłoś „Bez ciebie nie mogę żyć”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 382, 38 zł

++++

Błędny major

Nie masz bohatera nad Jacka Reachera

W ROKU 1939 BRYTYJCZYK o wdzięcznym nazwisku René Brabazon Raymond wydał powieść „Nie ma orchidei dla panny Blandish” – brutalny, arcyamerykański czarny kryminał. Podpisał go pseudonimem James Hadley Chase i został jednym z klasyków gatunku, produkując jeszcze dziesiątki thrillerów osadzonych w amerykańskich realiach, choć sam odwiedził Stany tylko dwukrotnie i na krótko.

Inny Brytyjczyk, Lee Child (także pseudonim), dokonał czegoś podobnego. Tyle że on w 1997 po prostu przeniósł się do Ameryki i zaczął wydawać powieści z Jackiem Reacherem w roli głównej. Reacher to błędny rycerz co się zowie – wielki i nadzwyczaj sprawny major żandarmerii wojskowej, który po odejściu z armii włóczy się po kraju, bo lubi wędrować. Nie ma żadnego dobytku poza szczotką do zębów – najczęściej, bo w niektórych z kilkunastu już powieści sytuacja majątkowa Reachera nieco się komplikuje, ale to detal. Najważniejsze, że major, mąż szlachetny, co rusz pakuje się w tarapaty. Czasem, jak w przypadku „Podejrzanego”, współpracuje z policją czy FBI, czasem (i te powieści, na przykład „Echo w płomieniach”, są najlepsze) trafia do zapyziałej dziury, gdzie dobrym ludziom dzieje się krzywda, i staje do rozprawy ze złem, po czym odchodzi w stronę zachodzącego słońca. Jak samotny rewolwerowiec. Bo Reacher to nie jest modny dziś magik, który z kłóci martwej myszy wnosi kule, jakie IQ miał kot morderca. Ani mentalnie kluchowaty bohater książek nieszczęsnego Mankella. Reacher zna się na wojsku, broni i walce. Kiedy idzie na niego pięciu opryszków, wie, co zrobić, by posłać ich do szpitala, ale nie zabić. Choć kiedy trzeba – zabija. A Child bezpretensjonalnie wszystko to opisuje. Efekt jest odrobinę camp – pewnie stąd cały smak lektury. Ale Jack Reacher wcale nie jest groteskowy. Szerokiej drogi, majorze.



Lee Child „Podejrzan”, przeł. Krzysztof Sokółowski, Albatros, Warszawa 2010, s. 464, 31,90 zł

+++++ MARCIN SENDECKI

Papa Baudelaire Ojciec nowoczesnej literatury w nowym przekładzie

Na kolejną polską książkę (bo jakże inaczej dzieło to nazwać?) Baudelaire’a składają się „Sztuczne raje” (rozważania o winie, haszyszu i opium), patronujący gatunkowi poematów prozą „Paryski splin”, szkice i nowela (oraz intrygująca lista tytułów powieści oraz nowel, które poeta planował, a których napisać nie zdołał). I wreszcie – tak jak wszystko inne w nowym przekładzie Ryszarda Engelkinga i opatrzone klasycznymi przypisami Claude’a Pichois – intymne zapiski: „Race”, „Listy śledziennika”, „Moje serce obnażone”. Wściekle, fragmentaryczne, intrygujące.

„Książka, do której zgarnę cały swój gniew” – pisał o „Sercu obnażonym” Baudelaire. A w innym liście: „Swoją niezwykłą dar mówienia impertynencji obróć przeciwko całej Francji. Zemsta jest mi tak samo potrzebna, jak zmęczone-

mu potrzebna jest kąpiel”. Ale to przede wszystkim zapis wątpliwości, dociekań i autoanalizy.

Słowa sprzed 150 lat, współczesne jak wszyscy diabli. Jak ten drobiazg z „Serca”: „Podobno niektórzy ludzie umieją się bawić tylko stadem. Prawdziwy bohater bawi się samotnie”. Jak finał „Pierwszej w nocy” ze „Splinu”: „Niezadowolony z innych, niezadowolony z siebie, chciałbym w ciszy i samotności nocy odkupić swoje winy i odzyskać choć odrobinę dumy. (...) odsunąć ode mnie kłamstwo i znieprawiające miazmaty świata, a Ty, (...) Panie mój, spraw w swojej łasce, abym złożył parę pięknych rymów, co pozwoliłoby mi uwierzyć, że nie jestem ostatnim z ludzi, że nie jestem gorszy od tych, którymi gardzę!”.

Kiedy się człowiek rozgląda po świecie i przychodzi mu coś do głowy, warto sprawdzić, czy nie ma już tego u Baudelaire’a. Naprawdę warto.



Charles Baudelaire „Sztuczne raje”, przeł. Ryszard Engelking, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2009, s. 640, 79 zł

++++

Vonneguta rzeczy rozproszone

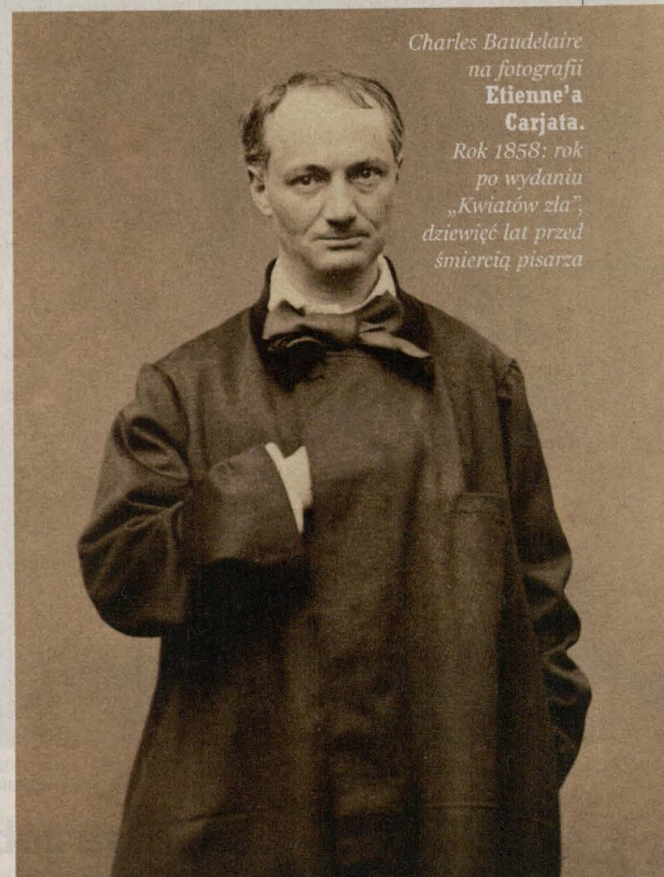
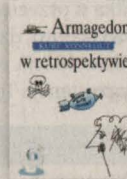
...czyli Kurt Jr na wojennej ścieżce

KSIAŻKI ZMARŁEGO TRZY LATA TEMU pisarza trochę już dziś zbladły, ale i tak po pośmiertnym tom jego tekstów rozproszonych sięgnąć warto. Mamy tu 11 różnej klasy opowiadań – większość obraca się wokół wojennych i tużpowojennych przygód autora i zaleca się iście vonnegutowską zgryźliwością. Kurt Jr gromi milita-

ryzm, okrucieństwo, ludzką małość, zbrodniczą głupotę – jej szczytem jest aliancki nalot na Drezno, który autor przeżył w niemieckiej niewoli. Najciekawszy (nie licząc przemówienia z roku 2007, którego pisarz nie zdążył już wygłosić) jest jednak list szeregowca Vonneguta do rodziców, w którym, w końcu maja 1945, pisarz – oficjalnie uznany za „zagnionego w akcji” – donosi, że żyje, i rzeczowo zdaje sprawę ze swego (krótkiego) szlaku bojowego, niewoli, transportów, Drezna, wy-

zwolenia, chaosu pierwszych dni pokoju. Powraca w liście złowieszczy i radosny zarazem refren – ostrzelali nas, tyłu i tyłu zginęło. Ale ja przeżyłem. Bomby zabiły sto tysięcy ludzi. Ale nie mnie – a rzecz kończy zdanie: „Mam cholernie dużo do opowiedzenia (...)”. Opowiadał o tym przez 60 lat.

Kurt Vonnegut „Armagedon w retrospektywie”, przeł. Robert Sudół, Albatros, Warszawa 2010, s. 264, 35 zł



Charles Baudelaire na fotografii Etienne’a Carjata. Rok 1858: rok po wydaniu „Kwiatów zła”, dziewięć lat przed śmiercią pisarza



++++ MICHAŁ BURSZTA

Podboje sprzed przebojów „Była sobie dziewczyna” to szczególna komedia romantyczna

To opowieść o tym, co było przed hipisami. A co było przed nimi? No właśnie, niewiele – mówi odtwarzająca główną rolę (nominowana do Oscara) Carey Mulligan. I można jej wierzyć. Jesteśmy w Londynie początku lat 60., jednak nie tym swingującym, który za parę lat zobaczymy w „Powiększeniu”, ale tym szarym i wciąż tkwiącym w powojennym marazmie.

Jenny jest ambitną nastolatką z przeciętnej rodziny, rodzice chcą, by poszła na Oksford, dziewczynę kusi jednak intelektualna dekadencja nadchodzącej epoki. Chce esencji, nie egzystencji. Tę pierw-

szą właśnie ma w swojej ofercie David (Peter Sarsgaard). Proponuje Jenny przyspieszoną edukację (tak brzmi oryginalny tytuł filmu) kulturalno-erotyczną: zadymione knajpki Paryża, galerie Londynu, otwartość i swobodę zapowiadającą rychłą obyczajową rewolucję.

Trzeba przyznać, że Lone Scherfig („Włoski dla początkujących”) kapitalnie rekonstruuje klimat pogranicza epok, Anglię sprzed Beatlesów, którą scenarzysta filmu Nick Hornby scharakteryzował następującymi słowami: „Podczas gdy w USA każdy woził się cadillakiem, my nadal czekaliśmy

Jenny (Carey Mulligan) uczy się palić. Ale prawdziwa szkoła życia dopiero przed nią

na autobus”. Nazwisko Hornby’ego pojawia się tu nie bez powodu. Autor takich hitów jak „Był sobie chłopiec” czy „Przebojów i podbojów” jest specjalistą od opowieści o trudnym dojrzewaniu, sentymentalnych historii pozbawionych sentymentalizmu. W duecie z obdarzoną empatią i umiejętnością obserwacji Scherfig stworzyli bardzo szczególną komedię romantyczną.

Trzymając się ram gatunku, przesuwają akcenty – banalna opowieść o miłości staje się historią o emancypacji. Miejsce psychologicznych kłisz zajmują emocjonalne niuansy. Nikt nie jest tu jednoznacznie określony: ojciec Jenny w swoich mieszczańskich aspiracjach bywa żałosny, ale nie karykaturalny. Jego córka egzaltowana, ale nigdy śmieszna. David uwodzący, ale unikający tanich chwytów lowelasa.

Duża w tym zasługa aktorów, którzy momentami sprawiają wrażenie, że są ciekawszy od napisanych postaci. Niestety, w pewnym momencie miśternie tkana historia zostaje przecięta skalpelem banału, a z nieba wieloznaczności ładujemy w piekło stereotypu, w którym historia bohaterki zostaje sprowadzona do prostego wyboru (nie zdradzimy jakiego).

„Była sobie dziewczyna”, reż. Lone Scherfig, Wielka Brytania 2009, Gutek Film, 95', premiera 19 marca

Podobno wyraźnie sztuczne zakończenie zostało narzucone reżyserce przez producentów. Nie omieszkajcie więc zobaczyć filmu jeszcze raz, gdy ukaże się na DVD. Z zakończeniem zgodnym z wizją Lone Scherfig. □

i kultowego „Donniego Darko”, i arcydzielnego, wydanego u nas na DVD „Końca świata”. „The Box. Pułapka” domyka tak zwaną trylogię odkupienia Kelly’ego; niestety, jest jego najslabszym filmem. Punkt wyjścia jest intelektualnie stymulujący i mrozący krew w żyłach zarazem (pożyczono go z odcinka „Strefy mroku”). Oto młodemu małżeństwu sypią się finanse. Na progu znajdują tytułową skrzynkę i nieznanego z propozycją. Wcisną guzik dziwnej konsoli – dostaną milion dolarów w gotówce. Efektem ubocznym będzie śmierć nieznanego im osoby. To jak będzie...? Bez wciśniętego gu-

zika nie byłoby filmu; sęk jednak w tym, że wyjściowa klarowność mętnieje z każdym kolejnym aktem. CIA, zamartwychwstanie, czwarty wymiar, pociągający za sznurki „oni” – wszystko miesza się prawie jak w „Końcu świata”. Ale tam ów chaos był fundamentem całej strategii, tutaj zaś smakuje jak niechciana konsekwencja. Kelly we wszystkich filmach głosi nowinę o wartości ofiary, tu jest podobnie. Szkoda tylko, że tym razem tak mało metody w reżyserskim szaleństwie.

„The Box. Pułapka”, reż. Richard Kelly, USA 2009, Kino Świat, 115', premiera 19 marca

++++ OLA SALWĄ

Stare i nowe fale Zapraszamy na spacer po „Plażach Agnès”. Największa filmowa zbieraczka zgromadziła na nich pamiątki z całego życia

Nie wiecie, kim jest 82-letnia Agnès Varda? Nie szkodzi. Nawet trochę wam zazdroszczę, że dopiero teraz czeka was to fascynujące spotkanie. Choć artystka należy do filmowej awangardy, z jej twórczością kojarzą się same konwencjonalne określenia typu: „wspaniała”, „najwybitniejsza przedstawicielka Nowej Fali”, „fantastyczna”. Co gorsza, pisząc o jej autobiograficznym dokumencie „Plaże Agnès”, trudno uciec od równie banalnych komplementów.

„Moje życie upłynęło w kinie” – opowiada artystka, siedząc w niewielkim domku obwieszonym pociętymi kawałkami taśmy. Światło przechodzi przez utrwalone na celuloidzie twarze aktorów, fragmenty budynków i ulic. W klatkach jest zamknięta historia postaci i miejsc, czasem zmyślnych na potrzeby filmowej fikcji, ale częściej tych prawdziwych – Agnès Varda to także dokumentalistka („Zbieraczki i zbieracze”). Opowieść o swoim życiu ubiera w obrazy. W końcu to one towarzyszyły jej od początku drogi zawodowej, bo zanim została reżyserką, była fotografką, a zmieniła zawód dlatego, że – jak sama mówi – lubi słowa.

W „Plażach Agnès” łączy archiwalne zdjęcia, fragmenty swoich filmów, takich jak „Cleo od 5 do 7”, „Zużyte ściany” czy debiutancki „La Pointe Courte”, ze scenami kręconymi na potrzeby „Plaży Agnès”, tworząc coś między filmowym kolażem a albumem ze zdjęciami. Do tego dołącza słowa, jest narratorką filmu, czyniąc z niego



celuloidowy odpowiednik książkowej autobiografii.

Varda zawsze lubiła eksperymentować z formą, poszukiwać nowych środków wyrazu, na co dowodem są również jej instalacje pokazywane między innymi na weneckim biennale. W „Plażach...” staje się multimedialną przewodniczką po swoim dzieciństwie, młodości w Paryżu, znajomości z nowofalowcami, jak Jean-Luc Godard, Alain Resnais, Jacques Demy. Nie trzeba jednak znać historii kina, aby nadążyć za opowieścią: „Plaże Agnès” to nie wykład dla filmoznawców, ale opowieść o ważnych dla reżyserki ludziach. Życie zawodowe przecina się w jej narracji z prywatnym – przez 28 lat była żoną Demy’ego i po raz pierwszy wyjawia prawdziwą przyczynę jego śmierci. Szczerość nie przekłada się tu jednak na ekshibicjonizm. „Nawet jeśli wszystko z siebie wyrzucamy, niewiele ujawniamy” – mówi Varda ustami jednej ze swoich muz Jane Birkin.

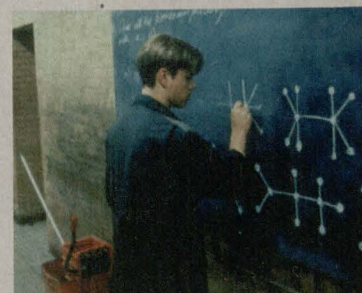
Reżyserka zaprasza do swojego świata, pokazując ukochanego mężczyznę, dom i dziecinne marzenia, ale jednocześnie pozostawia dużą przestrzeń dla widza, pozwalając na interpretację faktów i przejrzenie się w jej wspomnieniach jak w lustrze, które ustawia na dzikiej plaży. Gest filmowca odwracającego zwierciadło w swoją stronę u innych byłby przejawem pychy lub samozachwyty. U Agnès Vardy jest to ciekawość samej siebie, procesów percepcji i pamięci. I do tego jest to ciekawość niezwykle zaraźliwa. □

„Plaże Agnès”, reż. Agnès Varda, Francja 2008, Stow. Nowe Horyzonty, 110', premiera 19 marca



Agnès Varda odslania w filmie nawet bardzo intymne szczegóły ze swojego życia

Film z cyklu Wiesz co dobre



BUNTOWNIK Z WYBORU

wtorek 23 marca 20:25 TVP1

Dziewięć nominacji do Oscara (i dwie zdobyte statuetki), Złoty Glob i nominacja do Złotego Niedźwiedzia – a to wszystko dla filmu z debiutanckim scenariuszem Bena Afflecka i Matta Damona, dwójki młodziutkich wówczas hollywoodzkich aktorów. „Buntownik z wyboru” (1997) podbił zresztą nie tylko serca jury i krytyki, ale i widzów, przez wiele tygodni nie schodząc z czołowych miejsc w światowych box-office’ach. Swoją kameralną historią Damon i Affleck wprowadzają nas w świat Willa Huntinga, amerykańskiego nastolatka, który choć ma nadzwyczajne zdolności, zamiast studiować na uniwersytecie, myje tam podłogi. Z wyboru. A przynajmniej tak nam się wydaje, dopóki wraz z psychologiem Seanem Maguire’em (Robin Williams) nie dogrzebiemy się do jego mrocznej przeszłości. Twórcy czerpią z klimatu zarówno genialnego „Buntownika bez powodu” (z Jamesem Deanem), jak i ekranizacji „Stowarzyszenia umarłych poetów”. Intrygująca historia, elektryzujący bohaterowie i mistrzowskie aktorstwo. „Buntownik z wyboru” to seans obowiązkowy!

Wiesz co dobre

Program Wiesz co dobre to system rekomendacji Skody.

W telewizyjnej odsłonie akcji spośród tysięcy tytułów wybraliśmy dla Ciebie najciekawsze pozycje filmowe z ostatnich lat. Przy wyborze kieruj się jednak przede wszystkim własnym gustem, bo przecież sam najlepiej wiesz, co jest naprawdę dobre...



PORTRET ANTYBOHATERKI

Jak na osobę emocjonalnie autystyczną, tak lubi się pani określać, dużo czasu i miejsca poświęca pani analizowaniu siebie samej. Najpierw była książka „Ja. Próba rekonstrukcji”, teraz wychodzi rozmowa z panią pod tytułem „Życie umysłowe i uczuciowe”.

– Wbrew pozorom nie jestem egocentryczna. Nie zajmuję się sobą, ale tym, co wokół mnie. Czytam teraz drugi tom „Dzienników” Jarosława Iwaszkiewicza, którego bardzo lubię, i widzę u niego szczerą wobec siebie, wierność także złym wyborom i coś, co nas zbliża, przy zachowaniu oczywiście wszystkich proporcji, a więc zniecierpliwienie hipokryzją i pretensjonalnością inteligencji w czasach komunizmu. U mnie ten wątek jest bardzo silnie obecny.

Gdybym sama o tym decydowała, nazwałabym książkę o sobie „Antybohaterka”. Jesienią byłam na konferencji naukowej w Finlandii, której tematem były między innymi koszty psychiczne neutralności. Wrażenie zrobił na mnie referat Czecha, który przeprowadził wywiady z czeskimi więźniami politycznymi skazanymi na pracę w kopalni uranu i ich dziećmi. Kiedy tego słuchałam, nagle poczułam się podobna do tych dzieci. Mój ojciec na przełomie lat 40. i 50. też siedział w więzieniu. Ja byłam wzorową uczennicą poddawaną indoktrynacji i jednocześnie córką wroga klasowego. Pod wpływem indoktrynacji myślałam czasem, że moja rodzina jest sama sobie winna, że mamy coś na sumieniu. Z drugiej strony nie mogłam pogodzić się z systemem, który mnie odpychał. To wtedy stałam się emocjonalnie letnia, niezdolna do nienawiści. Ciekawość brała górę nad emocjami. Wolałam obserwować, niż się angażować. Książka o mnie miała być studium adaptacji do komunizmu przez bycie pomiędzy, brak lojalności wobec czegokolwiek.

We wstępie do książki pisze pani: mogłam być bohaterką, ale za mało nienawidziłam.

Zazdrości pani swojej koleżance ze studiów tego, że potrafiła w proteście rzucić kałamarzem w tablicę. Pani by się na to nie zdobyła?

– Zosia Lewicka była taką dziewczyną jak dawna Chylińska: ostrą, agresywną, emocjonalną, tyle że to były lata 60. i ona rzucała kałamarzem w proteście przeciw działaniom aparatczyków na uniwersytecie. Nazywała się tak samo jak ja po pierwszym mężu i kiedy została aresztowana, ubecy łączyli to, co ona zrobiła, ze mną. W pewnym momencie zaczęło mnie to irytować, bo czułam się intelektualistką opozycji. Chciałam ubekom uświadomić, że ja analizowałam wydarzenia, natomiast nie miałam w sobie nagiej emocji.

Wówczas byłam z tego dumna, a dziś żałuję, że od wydarzeń oddzielała mnie szyba. Nie zrobiłam niczego nieprzyzwoitego, a równocześnie znalazłam się na liście Wildsteina. Może mój brak demonstrowanej nienawiści ubecy potraktowali jako szansę dla siebie? W każdym razie zapłaciłam wysoką cenę. Na 13 lat wyrzucono mnie z uniwersytetu, musiałam się imać najróżniejszych zajęć, żeby utrzymać siebie, dziecko, i niestety zmarnowałam swoje zdolności. Nie przeczytałam masy książek i choć jestem rozpoznawalna także na Zachodzie, to myślę o tym, co mogłabym zrobić, gdyby nie ta wyrwa w życiorysie.

Skoro, jak pani twierdzi w autobiografii, nie opowiada pani o sobie, tylko o tym, co wokół, to czy potrafi pani spojrzeć na siebie z boku? Jak na rzecz?

– Przede wszystkim nie umiem myśleć liniowo, dlatego nie pamiętam książki z Czarkiem Michalskim, bo on narzucił liniowy sposób opowiadania o mojej biografii. Tymczasem dla mnie moja biografia nie zastygła w narzuconych przez czas przeszły formach. Fakty obudowane w nowy kontekst ciągle nabierają innego znaczenia. Myślę, że jestem trochę wytrącona

ze swojego pokolenia ze względu na typ umysłowości. Najnowsze badania pokazują, że młodzi ludzie czują się pokoleniem nie za sprawą treści, bo są bardzo zindywidualizowani, ale poprzez sposób myślenia. Ich umysł działa sieciowo, a nie liniowo. Ja mam podobny do nich sposób myślenia.

I rzeczywiście mam stosunek do siebie jak do rzeczy, bardzo praktyczny. Dlatego tak uwielbiam literaturę japońską, Mishimę, czyli połączenie odlotowości z praktycznością w szaleństwie. Mishima, który popełnił samobójstwo, w swoich opowiadaniach studiował techniki przeprowadzania harakiri. Taka logistyka szaleństwa mnie fascynuje.

Z jednej strony jestem osobą sklonną do ryzyka, a z drugiej lubię wiedzieć, do czego ono może mnie zaprowadzić. Z tym że dla mnie za ryzykowanie czegoś dla jakiejś wartości jest mniejszym wyzwaniem niż ryzyko głębszej relacji z drugim człowiekiem. Dlatego w książce wspominam o moim rozwodzie. Jest to sprawa marginalna, bo kiedy zaczynałam pracę nad nią, o rozwodzie nie było jeszcze mowy.

A w pani życiu to też jest sprawa marginalna? Może rozwodzi się pani, bo bała się zranienia?

– Mnie jest trudno zranić, bo nie jestem osobą, która się głęboko angażuje. Zawsze zostawiam sobie margines bezpieczeństwa. Kiedy widzę, że ktoś mógłby mnie zranić, wycofuję się. Zanim dochodzi do takiej sytuacji, jestem już w obszarze, do którego ta druga osoba nie ma dostępu.

Rozstała się pani, bo ryzykiem jest wejście w związek?

– No nie. On mnie zdradził w przeszłości raz czy dwa. Wybaczyłam mu. Nie zraniła mnie tylko sama zdrada, ile to, że ostatnio, po powrocie z Afryki, chciał ze mną zawrzeć kompromis. Powiedział, że nie sprawdzam się jako żona, w związku z tym muszę zrozumieć jego →

MAM DO SAMEJ
SIEBIE STOSUNEK
JAK DO RZECZY
– MÓWI JADWIGA
STANISZKIS,
OPOWIADAJĄC
O MEANDRACH
WŁASNEJ BIOGRAFII
I ROZPADZIE
MAŁŻEŃSTWA
ORAZ, OCZYWIŚCIE,
O PARYTETACH,
SIKORSKIM,
KOMOROWSKIM,
TUSKU
I KACZYŃSKIM



→ skoki w bok. Wymagał nie tylko przymknięcia oka, ale i współnictwa. Uznałam, że to nie przyzwito. Napisałam pozew o rozwód i złożyłam w sądzie.

Uderzyło mnie zdanie w książce: młodsza już nie będę. Zawsze to wiemy, ale w pewnym wieku dla kobiety w kontekście damsko-męskich gier brzmi to jak wyrok.

– No, młodsza nie będę. Jeżeli mąż mówi mi, że nie sprawdzam się jako żona i muszę zrozumieć jego zdrady, to wiąże się to bezpośrednio z moją fizycznością. Inne nie są bystrzejsze, gospodarniejsze, zabawniejsze. Są po prostu młodsze. Pomyślałam, co zrobiłabym w takiej sytuacji, gdybym była młoda i piękna? Natychmiast skończyłabym ten związek. Zdecydowałam się więc na rozwód, żeby dochować wierności dziewczynie, którą kiedyś byłam. To nie była łatwa decyzja. Mam rozedmę płuc, której nabyłam się podczas podróży do Peru, duży dom w Podkowie Leśnej, którego utrzymanie spadnie teraz na mnie. To oznacza, że będę musiała jeszcze więcej pracować, ale mimo wszystko czuję ulgę.

Wygląda to na mechanizm obronny.

W książce wspomina pani, że od dziecka manipulowała swoimi emocjami. Kiedy pani ojciec siedział w więzieniu, matkę straszono, że odbiorą jej dzieci, pani nauczyła się manipulować strachem.

To była pierwsza manipulacja. Potem były następne. Więc może weszło to pani w nawyk?

– Mam zdolność manipulowania sobą, to prawda. Przesuwania emocji na inny plan. Natomiast nigdy nie manipulowałam innymi, bo to jest niesłychanie łatwe. Wywieralam silny wpływ na ludzi, ale nigdy nie byłam przywódcą. Nie chciałam tego. Wiele razy świadomie kasałam swój autorytet, bo nie chciałam być zamknięta w jego klatce.

Uciekam od odpowiedzialności. Dlatego czuję taką ulgę po wyjściu ze związku. Czarek Michalski był przerażony dekoracjami mojego życia. Uważał, że powinnam być zupełną ruiną, a ja nie jestem.

Ciekawe, że związki nazywa pani dekoracjami swojego życia, a nie jego treścią?

– Dobrze to pani rozróżnia. Mnie w sensie emocji nie ma. Wszystko przechodzi przez głowę. Mój mąż początkowo nie czytał mojej książki „Ja. Próba rekonstrukcji”. Tylko fragmenty jemu poświęcone. W końcu przed podróżą do Afryki, gdzie rozpoczął się rozpad naszego małżeństwa, przeczytał całość i zobaczył nas przez pryzmat tej książki. Przeraził go obraz mojej osoby wyłaniający się z niej. Przede wszystkim dotknęło go zdanie, że u mnie wszystko najpierw przechodzi przez głowę. Uznał, że nigdy go nie kochałam, pojechał do Afryki i zadał się z jakąś Murzynką, powiedział mi o tym, a ja, korzystając, że akurat nie był w depresji, powiedziałam z ulgą, że się rozstajemy.

A kochała pani męża czy ów słynny autyzm pozbawił panią tej zdolności?

– Nie napisałam, że go nie kochałam, ale szczerze mówiąc, nie wiem. Miewałam w swoim życiu okresy fascynacji różnymi mężczyznami. Liczył się dla mnie świat, który mężczyzna przynosił mi w darze. Dzięki Irkowi Iredeńskiemu poznałam świat manipulacji doprowadzony do skrajności i enklawę ludzi w komunizmie, którzy nie chcieli żyć. Oni nie nienawidzili ustroju, oni po prostu z jego powodu byli chorzy. To była grupa wybitnych osób, między innymi Grochowiak, chorych na komunizm, otoczonych miernotami. Ich choroba zmieniała się w agresję, którą przenosili na swoje otoczenie. Ten związek uświadomił mi, że potrafię się temu oprzeć, że nie tak łatwo mną manipulować.

W książce wspomina pani, że odsuwała się od ludzi w chwili, kiedy nie spełniali pani standardów. Jakie są pani standardy? Jakiej wartości są dla pani niepodważalne?

– Trudno powiedzieć, to się rozgrywa na różnych planach. Czasami liczy się plan estetyczny.

Jestem przeciwna parytetom. Ułatwienia odbierają poczucie, że się zwyciężyło

JADWIGA STANISZKIS

Nie znoszę bezinteresownego chamstwa, brutalności, hipokryzji. W tym sensie jest mi bliższy Iwaszkiewicz, o którym już wspominałam. W „Dziennikach” przytacza rozmowę z Miłoszem, któremu przywozi do Paryża jakieś jego stare rękopisy. Miłosz nawet mu nie dziękuje, traktuje go z góry, mimo że sam był w służbie dyplomatycznej komunistycznych władz. Wydaje mi się, że w każdej sytuacji wiem, kiedy się zatrzymać. Mam wyraźne granice i zaufanie do siebie.

Stąd pewnie cios, kiedy dowiedziała się pani, że jest na liście Wildsteina. Zaufanie do siebie zostało nadszarpnięte?

– Byłam zdruzgotana. Pamiętam, jak mnie zatrzymano w czerwcu 1968 roku, kiedy już wszystkie śledztwa były prawie zamknięte, i zaczęłam coś na tych przesłuchaniach opowiadać, żeby się odróżnić od tej Zosi Lewickiej. Ubek pytał mnie, czy na moich imieninach był ten lub tamten, i potem zapisywał to, kassując swoje pytania. Jedyną nową rzeczą, ja-

ką powiedziałam, była informacja o dokumencie, który napisaliśmy w domu mojej mamy. Potem się tym zadreślałam. Wyrzucałam sobie, że gdybym taką rzecz zdradziła hitlerowcom, moją mamę by rozstrzelano. Powiększałam własną winę. Ostatecznie okazało się, że jestem w katalogu osób, które były w porządku. Mam status pokrzywdzonej, ale już nigdy nie czułam się dobrze, bo ubecy dostrzegali we mnie jakąś rysę, której nie zauważałam. Wytypowali mnie na potencjalną kandydatkę do współpracy, choć nigdy do niczego takiego nie doszło. Bardzo mnie to bolało. Byłam o krok od samobójstwa. W końcu przyszedł taki moment, że ze mnie to opadło. Zrozumiałam, że to mój brak zdolności do silnych uczuć spowodował, że zmarnowałam szansę, aby zostać bohaterką. Na marginesie – na liście Wildsteina znaleźli się także różni znani panowie, którzy nie zajął się ani słowem, dlaczego ich tam umieszczono, podczas gdy ja tyle czasu zmarnowałam, żeby to zrozumieć.

Może powodem jest zasadnicza różnica w pozycji kobiet i mężczyzn w polskiej kulturze?

– Nie mam takiego poczucia i jestem przeciwna parytetom. Jak się robi parytety, to zapcha się listy jakimiś sekretarkami, które będą akurat pod ręką, i w tej przeciętnej masie rozplynie się siła i wyższość kobiet. A dziś więcej kobiet niż mężczyźni studiują, kobiety są mniej dogmatyczne umysłowo, bardziej przystosowane do działania we współczesnym świecie. Ułatwienia odbierają poczucie, że się zwyciężyło.

Ale dziś listy wyborcze zapychane są bardzo przeciętnymi mężczyznami.

– To prawda, ale jesteśmy w momencie, w którym kobiety się przebijają. Powoli wypelniają to państwo. Są dyrektorami departamentów, wiceministrami, robią prawdziwą robotę – od Ministerstwa Finansów poczynając, przez Ministerstwo Gospodarki, na telekomunikacji kończąc. I te, którym udaje się przebić, są prawdziwymi gwiazdami. Jeśli opakuje się je w watę kobiecą, uznanie przewagi kobiet się opóźni. Będziemy musiały dłużej czekać na moment, w którym tak jak w Szwecji mężczyźni będą prosić o parytet.

Czuła się pani kiedyś ofiarą?

– Raczej nie. Obiektywnie byłam, ale się nie czułam. Kiedy Iredeński raz czy drugi dzielił mnie smyczą, myślałam o tym, co czuli więźniowie procesów moskiewskich, których zmu-

szano do przyznawania się do nie swoich win. Iredeński uderzył mnie z jakiegoś urojonego powodu, a ja myślałam: ach, to oni wtedy tak się czuli. I to mi kompensowało tę sytuację.

To brzmi tak niesamowicie, że zastanawiam się, czy pani nie buduje sobie jakichś konstrukcji na temat własnej przeszłości. Jest pani w końcu specjalistką od konstruktów myślowych. Pani autobiografia nazywała się „Ja. Próba rekonstrukcji”.

– Naprawdę tak myślałam. Doskonale to pamiętam. A nawet jeżeli to wtedy tylko wymyśliłam, i był to mechanizm obronny, to dziś jest to już jedynie wspomnienie związane z tamtą sytuacją. I to ono jest rzeczywiste. **Pochodzi pani z rodziny o endeckich korzeniach. Pani dziadek był posłem na Sejm Stronnictwa Narodowego, ojciec przed wojną był młodzieżowym endeckim działaczem. Pani natomiast buntowała się przeciw endeckości. W książce charakteryzuje pani endeckość jako programowy antyintelektualizm, ucieczkę przed refleksją, sprowadzanie wszystkiego do banału.**

– Endeckość to dla mnie skłonność do prostych, żeby nie powiedzieć prostackich wyjaśnień. Endecy używali figury Żyda do tłumaczenia różnych kwestii. Była w tym ucieczka od ryzyka. Potrzeba kontroli nad wszystkim. Przeciwnie temu się buntowałam. Później, w czasie wojny, wielu endecków pomagało Żydom. Mój dziadek też, i za to trafił do Auschwitz. Ale to już inna kwestia. We mnie jednak ta endeckość tkwi gdzieś głęboko. Mimo że odrzucam ją w sensie tradycji intelektualnej, mam ją zapisaną w psychice.

Czesław Miłosz w „Legendach dwudziestolecia” pisał, że elity prawicowe zawsze były intelektualnie miałkie i to pozostało. Ferment myślowy jest po lewej stronie. Zgadza się pani z tym poglądem?

– Nie, uważam odwrotnie. Habermas w rozmowach z kardynałem Ratzingerem, obecnym papieżem, dochodzi do wniosku, że z chwilą gdy Zachód odrzucił wartości uznawane za uniwersalne, to nie ma żadnego fundamentu. Hobbes uchwycił to w „Lewiatanie”, pisząc, że w takim świecie wszystko staje się arbitralne. Władza musi narzucić arbitralne warunki brzegowe. Zgodny z tym myśleniem jest traktat liboński, ponieważ wedle niego równoprawne są różne systemy wartości i żaden nie jest absolutny. Opisałam to w książce „Antropologia władzy”. Wartości stają się przedmiotem uzgodnień. Intelektualne środowiska prawicowe mają świadomość konsekwencji odrzucenia twardych wartości. Fetyszyzowana wolność jest elementem godności ludzkiej, ale nie może stać się dostatecznie bezpiecznym fundamentem. Filozofowie centrolewicowi przejmują to myślenie. Konieczny jest poważny zamysł nad fundamentami współczesnego świata. I w tym dyskursie prawica wygrywa. W płynności, w sie-

ciowości szuka się korzeni. I okazuje się, że jedynym zwornikiem może być samodyscyplina i etyczność jednostki. Sieć i hierarchia nie mogą się spotkać. W związku z tym automatyczny postęp, czyli ulubione słowo lewicy, przestał istnieć.

Jeśli chodzi o Polskę, nie identyfikuję się politycznie ani z prawicą, ani z lewicą, ale dostrzegam, że w młodym pokoleniu polityków ciekawsze osoby są po prawej stronie. U tych ludzi jest oczekiwanie na politykę zasad. Jarosław Kaczyńskiego położył właśnie ich brak. Ale co widzę w tej chwili? Platformę Obywatelską, która mówi nagle: Giertych, zapraszamy, czemu nie? Cimoszewicz też mile widziany. Nie ma co prawda chamowatego Leppera, ale otwierając się na tych polityków, PO bierze na siebie odium spraw związanych z traktatem gazowym, z interesami stojącymi w sprzeczności z całą naszą europejską strategią.

Jestem tym przerażona, bo takie myślenie załatwiło Kaczyńskiego. Dla przyzwitołych młodych ludzi to jest światło ostrzegawcze, że z partią dzieje się coś nie tak. Jest jeszcze inna sprawa. A mianowicie nie wykorzystujemy szansy, która w tej chwili się przed nami rysuje. Zachodnia Europa ma wobec nas nieczyste sumienie, bo reinterpretuje traktat lizboński tak, by móc zamknąć się w strefie euro i zdobyć silniejszą pozycję globalną. Jesteśmy im kulą u nogi, ale grając na ich nieczystym sumieniu, moglibyśmy powalczyć o kreowanie dyrektywy o konkurencyjności bardziej zgodnej z naszymi interesami. Koncentrować środki unijne na wielkie projekty, a nie rozdrabniać się

Nie identyfikuję się ani z prawicą, ani z lewicą, ale uważam, że wśród młodych polityków ciekawsi są prawicowi

JADWIGA STANISZKIS

jak do tej pory. Zgodzić się na odejście od subsydiów w rolnictwie, ale też od limitów w produkcji, bo wtedy jesteśmy bardziej konkurencyjni. Myśleć długofalowo, a nie w cyklach wyborczych. Brak wyobraźni i doraźność są w tej ekipie paradoksalnie większe niż w PiS.

Rezygnacja premiera Tuska z kandydowania w wyborach prezydenckich przeczy pani opinii. Jeśli wygra kandydat PO, Tusk pozostanie premierem, to mam nadzieję, że reformy ruszą z kopyta.

– A jeśli prezydentem zostanie Olechowski? Komorowski może przegrać z Kaczyńskim i wtedy bokiem przemknie się Olechowski. Platforma będzie musiała go poprzeć.

Nie wierzę w ten scenariusz, ale jeśli nawet jakimś cudem wygrałby Olechowski, myśli pani, że bruździłby premierowi?

– Nie chodzi o bruźdzenie, ale o bagaż, który się za nim ciągnie. Ktoś, kto kiedyś był przystojnym, powolnym dragalem uwodzącym sekre-

tarki, które kserowały mu jakieś dokumenciki, a dziś jest już tylko powolnym dragalem, nie powinien być prezydentem 20 lat po upadku komunizmu.

Komorowski czy Sikorski?

– Byłam przerażona tym show, które w Bydgoszczy urządził Sikorski. Mógł zagrać kompetentnie, mówić o świecie, o wyzwaniach, a tymczasem poszedł w inwektywy, które na dodatek czytał z kartki. Ja go w sumie lubię, ale okazał się Piotrusiem Panem. Tak więc z tych dwóch Komorowski. Ale z kolei jeśli prawdą jest, co mówił Palikot, że Komorowski, wstawiając się za nim u Tuska, groził rezygnacją z kandydowania, to też jest do odstrzału. Poza tym, niestety, zbyt koncentruje się na kombatanctwie.

Ileokroć panią spotykam, widzę kobietę elegancko ubraną, ale w butach, które sugerują łatwość przemieszczania się. Tak jakby była pani wiecznie w drodze.

– Mieszkam w Podkowie Leśnej, z której do Warszawy dojeżdżam kolejką. Muszę przejść nieutwardzonymi uliczkami, gdzie jest błoto, topniejący śnieg, tak więc o szpilek nie ma mowy. Ale jesienią kupiłam sobie we Florencji botki na superocasach i czasem je noszę.

Poza tym, jak pani wie, mam mieszkankę rozsianą w różnych rejonach Polski i jak mnie coś najdzie, wsiadam w pociąg albo w autobus i jadę do jednej z moich dziupli. Cztery kilometry od Złocieńca mam na przykład mieszkanie w starej szkole. Łamanie w dachu przypominało mi domek, który miałam kiedyś z Irkiem, i dlatego je kupiłam. Niedaleko tego miejsca w czasie wojny był obóz, gdzie Niemcy trenowali najbardziej okrutnych esesmanów, dziś to miejsce nazywa się Budowo. Stał tam niedokończony nagi Apollo. Panowała estetyka silnej formy. Postawiono kanciaste wieże jak w San Gimignano, tylko jedna była okrągła. Kiedy Rosjanie nacierali na tak zwany zakonny obóz, niemiecki komendant, wiedząc, że zaraz zginą, kazał wysadzić okrągłą wieżę, bo nie pasowała do kompozycji. Thukę się tam osiem godzin autobusem, a potem kilka kilometrów pieszo, żeby zobaczyć to szaleństwo w architekturze. Tropię ślady opętania w sztuce. Mam swoją mapę Polski.

Miejsca, w których ma pani swoje dziuple, układają się w mapę najpiękniejszych krajoznawców w Polsce: Kościelisko, Ryto, kiedyś Jezioro Rożnowskie, Międmierz, Hel.

– Jak się często podróżuje, choćby tak jak pani między Krakowem a Warszawą, to coś się dodaje do własnego życia. Jest się innym. Niektórzy wydobywają z siebie nowe możliwości przez kontakty z ludźmi, a ja wydobywam z siebie, przez miejsca, zwycięcie formy. W różnych miejscach różne rzeczy są możliwe. Człowiek pomnaża siebie. □



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

KRAKÓW FESTIWALI

kbf ★

FOT. MATERIAŁY PROMOCYJNE

JAREK SZUBRYCHT

WIOSNA NASZA

GWIAZDY ROCKA I KLASYKI,
MISTRZOWIE KINA I ARTYŚCI,
FOTOGRAFOWIE I WY – **BO WAS TEŻ
NIE MOŻE ZABRAKNAĆ W KRAKOWIE**

Kraków stolicą polskiej kultury – do niedawna wierzyli w to wszyscy oprócz mieszkańców Krakowa. Owszem, były opera, teatry z tradycjami, kilka klubów jazzowych i trochę mniej z muzyką gitarową. I jeszcze Juwenalia, i również kabarety. Były też knajpy, w których legiony nieogolonych twórców snuły kolorowe sagi o swoich niemal ukończonych dziełach. I jeszcze „Hold pruski” i „Dama z lasiczką”, a co! Ale żeby zobaczyć ciekawą wystawę, posłuchać dobrej współczesnej muzyki – poważnej czy rockowej, bez różnicy – trzeba było tulać się do Katowic, Wrocławia lub Warszawy i broń Boże nie przyznawać się, że to głód kultury dumnego krakusa wygnał na obczyznę.

Czasy to nieodległe, ale bezpowrotnie minione. Najpierw była wizja bardziej niż śmiała. Potem ciężka praca garstki ludzi z Krakowskiego Biura Festiwalowego, pasja i konsekwentne wsparcie władarzy miasta, które w kilka lat odmieniły Kraków, przywracając mu honorowe miejsce na kulturalnej mapie nie tylko Polski, ale też Europy i świata. To nie żarty. Nie wysany z mlekiem matki lokalny patriotyzm, bo krakowiaczek ci ja z wyboru, nie z urodzenia. To realna wartość imprez, które opisujemy w „Krakowie Festiwali”. Nie zamierzam więc tu zachwalać każdej z osobna, bo wszystkie bronią się swoim programem i atmosferą, która w możliwy tylko w tym mieście sposób łączy błogie lenistwo pikniku z doniosłością artystycznego świata. Najlepiej już zainteresujcie się biletami, bo tutejsze festiwale przyciągają publiczność z całego świata.

Już tej wiosny (i lata) reżyserka Jane Campion, kompozytor Howard Shore, dyrygent Fabio Biondi, muzycy z Muse i Faithless, artyści tej klasy co Jenny Holzer czy Robert Kuśmirowski będą zmieniać Kraków w miasto kipiące życiem.

Wy też przyjdźcie. U siebie tego nie macie. □

PS A knajpy? Nic się nie zmieniło. Wciąż mamy najlepsze.

KALENDARIUM IMPREZ

Kiedy 29 marca–5 kwietnia Co Misteria Paschalia	Co 3. Festiwal Muzyki Filmowej
Kiedy 1 kwietnia –31 grudnia Co Chopin w mieście	Kiedy 4–5 czerwca Co Selector Festival
Kiedy 16–25 kwietnia Co Off Plus Camera	Kiedy 10–24 czerwca Co Art Boom Festival
Kiedy 4–30 maja Co Miesiąc Fotografii w Krakowie	Kiedy 26 czerwca Co Wianki
Kiedy 19 maja Co Opera Rara	Kiedy 1 lipca Co Schleswig-Holstein Festival Orchestra
Kiedy 20–22 maja	Kiedy 20–21 sierpnia Co Coke Live Music Festival



■ Anglia. Bristol. Garden Open Day. Z cyklu „The Cost of Living” 1986–1988



■ Anglia. New Brighton. „The Last Resort” 1983–1985



■ Anglia. New Brighton. Z cyklu „The Last Resort” 1983–1985

TROPICIEL OBCIACHU

BRZYDOTĘ, UŁOMNOŚĆ I NUDE NASZĄ CODZIENNĄ ZOBACZYCIE NA ZDJĘCIACH JEDNEGO Z **NAJWAŻNIEJSZYCH BRYTYJSKICH DOKUMENTALISTÓW MARTINA PARRA**. JEGO PRACĘ ZOBACZYCIE PODCZAS MIESIĄCA FOTOGRAFII W KRAKOWIE

FOTOGRAFIA ANNA JASTRZĘBSKA

Dużo podróżujecie i robicie setki zdjęć? Niewykluczone, że sami znaleźliście się na fotografiach Brytyjczyka. Ten niepozorny, drobny 58-letni artysta nigdzie nie rusza się bez aparatu. Na dodatek uwielbia obserwować turystów, zwłaszcza tych z cyfrówkami przyklejonymi do twarzy. – Fotografuję z takim przejęciem, że często zastanawiam się, czy rzeczywiście widzą zabytki, które zwiedzają – mówi Parr. Będąc w bardzo znanych miastach, nie wchodzi z nimi w interakcję, pozostają gdzieś obok. Anglik uwielbia tropić takie nieprawdziwe relacje ludzi i miejsc – w jego obiektywie nabierają cech karykaturalnych.

Jeśli sądzicie, że jesteście bezpieczni, bo nie lubicie wakacyjnych tłumów, mylicie się. Parr może pojawić się wszędzie. Interesuje go każdy przejaw codzienności i nie może

zrozumieć fotografów, którzy marudzą, że wokół nie dzieje się nic ciekawego. Wspomina spotkania, podczas których dziennikarze ubolewali nad tym, że nie trwa żadna wojna, którą można by należycie sfotografować. Martin Parr zamiast na linię frontu wybiera się więc... do supermarketu. Jedzeniu poświęca album „Food”, kolejną książkę wypełnia ludźmi rozmawiającymi przez telefon („The Phone Book”), portretuje ludzi w samochodach („From A to B”), bogaczy (album „Luxury”). Większość jego fotografii bezlitośnie wytyka wszelkie przejawy kiczu, konsumeryzmu, bezmyślności, sztuczności, bezguścia i złego smaku.

W ten sposób artysta sytuuje się poniekąd ponad fotografowanymi ludźmi. To jeden z najczęstszych zarzutów stawianych Parrowi. Z tego powodu aż osiem lat ubiegał się o przyjęcie do elitarnej agencji Magnum Photos. Jej założyciele byli przeciwni wejściu Parra do niej właśnie ze względu na jego stosunek do fotografowanych osób.

Henri Cartier-Bresson i spółka zakładali w 1947 roku agencję nie tylko o myśl o współdziałaniu, ale także o wspólnocie idei (do dziś funkcjonuje ona na zasadzie spółdzielni fotograficznej, każdy członek jest jej równoprawnym współwłaścicielem). Wszyscy wyrastali



■ Walia. Newport. „The Cost of Living”

z fotografii zaangażowanej. – Nagle pojawia się Parr z bardzo kolorowymi zdjęciami, których nieskrywana ironia kluje w oczy – mówi dziennikarz i fotograf Wojciech Nowicki. Kiedy więc w 1994 roku wreszcie przyjęto go do Magnum Photos (zdecydował jeden głos), nie było tradycyjnych wiwatów, entuzjastycznych okrzyków radości, lecz ciche gratulacje. Sam Bresson zaś podczas spotkania z Parrem rok później miał wykrzyknąć: „Dla mnie jesteście kompletnie z innej planety!”

Czy się to Bressonowi podoba, czy nie, Anglik dokonał rzeczy niebywalej. Stał się popularny również w środowiskach niezwiązanych ze sztuką. Przełamał tradycyjny stan rzeczy, w którym fotografia artystyczna czy też dokumentalna pozostaje wąską dziedziną zainteresowania tylko ludzi wtajemniczonych. Ale to niejedyne zasługi na polu fotografii, jakich Parr dokonał w Wielkiej Brytanii. Był przecież



■ Anglia. New Brighton. „The Last Resort”

jednym z artystów, którzy w latach 80., kiedy fotografia brytyjska przeżywała wzmożone zainteresowanie dokumentem, popchnęli ją w stronę koloru. Jego pierwsze projekty z 1982 roku (album „Bad Weather”) były czarno-białe, natomiast od roku 1986 posługuje się już fotografią kolorową („The Last Resort”). Szybko też kolor zaczyna nabierać w pracach Martina Parra znaczenia – intensywność barw, ich niebywała wyrazistość staje się znakiem rozpoznawczym jego zdjęć.

Choć już w kolorze, Parr garściami czerpie z doświadczeń Tony’ego Ray-Jonesa (którego wystawę także będzie można oglądać podczas festiwalu), prekursora brytyjskiego dokumentu. Ray-Jones o oku wytrenowanym na nowojorskich ulicach, powróciwszy w połowie lat 60. z USA do swej „małej Wielkiej Brytanii”, musiał pójść na plażę, by ujrzeć spontaniczne zachowania krajan. Parr także był na plaży (zapis tych obserwacji znajdziecie w albumie „Playas”). O ile jednak u Ray-Jonesa była ona odpowiednikiem kozetki, na której Brytyjczycy odsłaniali ciała i dusze, o tyle u Parra obserwowani modele odsłaniają głównie cellulit.

Za cellulitem, zdają się mówić niektóre fotografie, jest tylko pustka. A skoro o niej mowa – koniecznie zwróćcie uwagę na cykl „Nudne pary”. Fotografując przypadkowo napotkanych ludzi, Parr stworzył niesamowity album, portretując zresztą także siebie z żoną. Wojciech Nowicki: – Był to rodzaj odpowiedzi na zarzuty, że patrzy na innych z wyższością. Na fotografii sam pojawia się jako człowiek z tłumu, nie zaledwie seksowny i niezbyt mądrze wyglądający.

Miesiąc Fotografii w Krakowie startuje 7 maja.

Między 4 a 6 maja zostaną otwarte wystawy w ramach konkursowej Sekcji Show OFF.

9 maja ruszają wydarzenia towarzyszące festiwalowi. Wszystkie wystawy będą czynne przynajmniej do końca miesiąca. Wstęp na nie (z wyjątkiem prezentacji w Bunkrze Sztuki i Muzeum Narodowym) jest bezpłatny.

Info: www.photomonth.com

NIE PRZEGAPCIE:

■ „UK Short Stories” – obrazy z życia Brytyjczyków

■ „Fotografia brytyjska lat 70. i 80.” – Martin Parr, Paul Graham, Richard Billingham, Chris Killip, Anna Fox, Tom Hunter, Jem Southam, John Davies, Tom Wood, Chris Steele-Perkins

■ „Nothing is in the place” – lata 90. i ówczesne zmiany społeczne na Wyspach

■ „Aktualizacja.UK” – najważniejsze zjawiska brytyjskiej fotografii XXI wieku w multimedialnej formie

■ Wystawa Tony’ego Ray-Jonesa

■ Pokaz realizowanego przez pięć lat projektu Marka Powera „Sound of Two Songs” – opowieści cudzoziemca o współczesnej Polsce

■ Słynne prace Johna Stezakera – nie tylko dla miłośników kolażu!



misteria
paschalia

POSZUKIWACZE zaginionych DŹWIĘKÓW

MUZYKA DAWNA MOŻE BYĆ ZASKAKUJĄCO
WSPÓŁCZESNA – PRZEKONUJĄ ZWOLENNICY HIP*.
DOWIEDZ SIĘ, DLACZEGO WARTO SPĘDZIĆ PÓŁ ŻYCIA
W BIBLIOTECE I CZYM RÓŻNI SIĘ
BAROK OD BAROCKU

KLASYKA NIEKLASYCZNIE ADA GINAŁ

Filharmonie na całym świecie miewają kłopoty z zapelnieniem sal, ale odtworzone z rockowym bitem dzieła Vivaldiego czy Bacha przyciągają coraz większe tłumy. Wykonania historyczne, autentyczne czy stylowe – jak nie-
zbyt zgrabnie określa się je w języku polskim – wzbudzają niespotykane zainteresowanie muzyką dawnych wieków nawet u tych, którzy za klasyką nie przepadają. Od dobrych paru lat dzieje się tak również w Polsce, a to głównie za sprawą festiwalu Misteria Paschalia. – Muzyka barokowa ma tę dziwną właściwość, że w dobrej, porywającej interpretacji potrafi zaskoczyć i podobać się wszystkim – mówi Filip Berkowicz, pomysłodawca i dyrektor artystyczny festiwalu.

Muzyczni archeolodzy

Gdy rok temu gruchnęła wiadomość, że „muzyczny archeolog” z Katalonii Jordi Savall przywiezie do Krakowa swój wielki projekt „Jerusalem”, bilety sprzedały się niemal tak szybko jak na koncert U2. Wszystko za sprawą legendarnych jerychońskich tręb, które wielki odkrywca postanowił zrekonstruować na podstawie starych traktatów. – Opis ich brzmienia odnalazłem w Islandii, w manuskrypcach benedyktyńskiego opata Nicholas z Thingeyrar, który przybył do Ziemi Świętej w XII wie-

ku – opowiada Savall. – Miało ono charakter dysonansowy, dziki i niekontrolowany. Pewnie dlatego trąby burzyły mury! Katalończyk przywiózł do Polski oudy, kamancze i szofary, instrumenty wytwarzane w ten sam sposób jak przed tysiącami lat. Obok siebie na jednej scenie posadził muzyków z Palestyny, Izraela, Armenii, Turcji, Syrii, Iraku, Afganistanu, Włoch, Maroka, Grecji i Hiszpanii. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania.

W tym roku na Misteria Paschalia Jordi Savall zawita z towarzyszeniem muzyków japońskich i zabierze nas w kolejną podróż – „La Ruta de Oriente” – śladami XVI-wiecznych portugalskich misjonarzy w drodze do Kraju Kwitnącej Wiśni. Ale to dopiero początek niesamowitych festiwalowych przeżyć. W Krakowie zespół Europa Galante poprowadzi charakterystyczny Włoch Fabio Biondi. Znakomity skrzypek, dyrygent, odkrywca zaginionych dzieł baroku. Ten sam, który pokazał światu, że utwory Vivaldiego można grać z prędkością pociągu Pendolino, nie tracąc przy tym uroku muzyki słynnego weneccjanina.

Biondi pół życia spędza w archiwach i bibliotekach Paryża, Neapolu, Mediolanu, Dreżna i Brukseli na wyszukiwaniu zapomnianych dzieł. Drugie pół – na ich wykonywaniu. Największe koncertowe sale świata biją się o jego odkrycia: – W europejskich bibliotekach kryje się niezliczona liczba mistrzowskich partytur, które nigdy nie ujrzały koncertowych sal. Za każdym razem jestem oszołomiony tym, jak wiele znajduję nowej-starej muzyki i jak wiele jeszcze pozostaje do odkrycia

– opowiada Włoch i zaznacza, że częścią pracy każdego muzyka powinny być poszukiwania, a nie tylko mechaniczne odtwarzanie muzyki już znanej. – Najbardziej ekscytuje mnie, że w przeciwieństwie do prawdziwych archeologów, którzy swe odgrzebane z ziemi eksponaty zamykają w gablotach, my swoimi odkryciami wciąż dzielimy się z publicznością. Nasze eksponaty żyją.

Od Bacha do Bruni

Początki HIP sięgają lat 50. minionego wieku, kiedy Nikolaus Harnoncourt, austriacki dyrygent i potomek cesarzowej Marii Teresy, sformułował jego główne tezy. Chcąc na nowo odczytać utwory Bacha, postulował między innymi, by zerwać z dotychczasową jednością stylistyczną wykonań i popularnym od wieków myśleniem, że w historii muzyki istnieje postęp linearny, czyli że muzyka nowa jest lepsza tudzież bardziej wyrafinowana od dawnej. – Szukajmy niezafalszowanej wartości muzyki. Wierność nutom bez wierności stylowi jest nic niewarta – przekonywał w licznych publikacjach Harnoncourt.

Jego idee szybko podchwyciło grono zapaleńców wywodzących się z muzykologicznych kręgów, którzy rzucili się do analizy starych traktatów, a potem odtwarzania na ich podstawie dawnych instrumentów oraz muzyki, którą na nich grano. Konserwatyści na tę rewolucję zareagowali alergicznie, lamentując, że to muzyka na „rozklekotanych fortepianach” albo „skrzypcach, które dłużej trzeba stroić, niż można na nich grać”. Nie bez racji.

Muzyczni rebelianci metodą prób i błędów musieli zmierzyć się z nieznanym: nauczyć nowych technik gry i śpiewu, oczyścić utwory z wykonawczych naleciałości. Nadwrażliwe na wilgoć instrumenty z jelitowymi strunami (najlepsze są ponoć te z francuskich i włoskich owiec płukane w wodzie z drożdżami użytkowymi do produkcji wina) rzeczywiście najpierw fałszowały, wokaliści mieli problemy z intonacją, a muzyka brzmiała cicho i mało dźwięcznie. Ale z czasem wszystko się zmieniło. W 1970 roku Harnoncourt nagrał →

7. FESTIWAL MISTERIA PASCHALIA

29 marca–5 kwietnia
Kraków, kościół Świętej Katarzyny, Filharmonia Krakowska, Kopalnia Soli w Wieliczce, bazylika ojców Franciszkanów
Ceny biletów na koncerty: 80–200 złotych
Info: www.misteriapaschalia.com
Zagrają: Cappella della Pietà de' Turchini/dyr. Antonio Florio, Accademia Bizantina/dyr. Stefano Montanari, La Capella Reial de Catalunya i Hesperion XXI/dyr. Jordi Savall, La Venexiana/dyr. Claudio Cavina, Les Musiciens du Louvre-Grenoble/dyr. Marc Minkowski, L'Arpeggiata/Christina Pluhar i Philippe Jaroussky, Il Giardino Armonico/dyr. Giovanni Antonini, Europa Galante/dyr. Fabio Biondi

* Skróć od Historically Inspired

Performance, czyli wykonania inspirowanego historią, ale „hip” to w angielskim slangu również coś bardzo fajnego i na czasie

25. edycja niemieckiego **SCHLESWIG-HOLSTEIN MUSIC FESTIVAL** poświęcona będzie muzyce polskiej. Z rewigizją do Krakowa przybędzie Schleswig-Holstein Festival Orchestra. 104 muzyków pod dyktando Christopha Eschenbacha zobaczymy 1 lipca w Filharmonii Krakowskiej. W repertuarze symfonia numer 34 C-dur K338 Mozarta oraz I symfonia D-dur Mahlera.

→ stylową „Piszę Mateuszową” Bacha. Zwrócił uwagę na rolę retoryki muzycznej u lipskiego kantora (umiejętność przekazywania treści symbolicznych za pomocą muzyki), który ewangeliczny tekst o Ukrzyżowaniu podkreślił przecinającymi się liniami melodycznymi, a na słowach „cierpienie” i „ból” dawał dysonans. Historyczne wykonawstwo zwyciężyło.

Do Niemców, Flamandów, Anglików i Francuzów szybko dołączyli muzycy z Południa. Mniej ortodoksyjni Włosi dzieła Vivaldiego, Scarlatti, Monteverdiego grają z energią, która nie ma sobie równych. Interpretacje z rockowym zacięciem zaczęto nawet określać mianem „barocku”. Trudno sobie dziś wyobrazić, jak brzmiałyby symfonie Beethovena czy nawet Szostakowicza bez osiągnięć HIP. – Muzyka dawna nie istnieje, istnieje tylko muzyka żywa – twierdzi Fabio Biondi. – W baroku kompozytorzy wiele miejsca pozostawiali na improwizację, jak w jazzie. Dziś do muzyki tamtych czasów możemy wnieść naszą wiedzę, doświadczenie, uczucia. Ta wolność i zmienność zarazem najbardziej pociąga młodą publiczność.

Szybko polapał się w tym nie tylko koncertowy, ale i płytowy rynek. Dla niedawno powstałej francuskiej firmy Naëve nagrywa dziś nie tylko Biondi, ale i inne tuż historycznego wykonawstwa, jak choćby goszczący na Misteriach Paschaliach Ottavio Dantone, Marc Minkowski, Giovanni Antonini i Rinaldo Alessandrini. Ta sama wytwórnia

ma w swoim katalogu płyty Marianne Faithfull czy Carli Bruni.

Najważniejsze to kochać

Skąd wiemy, jak muzyka dawnych czasów brzmieć powinna? Nie tylko z zapisków odkrytych w dawnych archiwach, ale też od wykonawców goszczących na takich imprezach jak Misteria Paschalia. To dziś miejsce spotkań HIP-owców, pole do dyskusji nad technikami gry, wartością utworów prawykonywanych współcześnie, ale odkurzonych po wiekach. – W muzyce ciągle pojawia się ten sam błąd z używaniem słów „współczesny” i „dawny”. Dla mnie dobra interpretacja to ta żywa, refleksyjna, zrodzona z długiej pracy i pasji – podkreśla Biondi. – Oczywiście zawsze lepiej grać barokową muzykę na instrumentach z epoki. Ale daleko ważniejsze jest kochać ją i rozumieć. Gdy mam wybierać między złym klawesynistą a dobrym pianistą grającym Bacha, zawsze wybiorę pianistę, mimo że nie gra na instrumencie z czasów kompozytora.

Nowym wykonaniom muzyki dawnej towarzyszy atmosfera koncertów klubowych – mniej tu snobizmu, a więcej autentycznej pasji. Czasem też dobrej zabawy, bo niedoskonałe brzmienia dawnych instrumentów bardziej przypominają gitarowe riffy niż wygładzone dźwięki symfoników. – Należy jednak pamiętać, że wszyscy ci muzycy proponują bardzo subiektywne podejście do stylu czy techniki gry – zaznacza sprawca polskiej mody na HIP Filip Berkowicz. – Trzeba więc samemu ufać i oceniać, która interpretacja bardziej nam odpowiada. Oczywiście możemy starać się śledzić, czy zachowano zgodność historyczną, czy grano na instrumentach z epoki, używano strun jelitowych, czerpano wiedzę z traktatów, przebadano relacje współczesnych słuchaczy w pamiętnikach, listach i kronikach... Ale po co to robić, skoro to tylko wskazówki? Dopóki nie znajdziemy nagrań sprzed 300 lat, musimy ufać Biondiemu czy Savallowi, że było tak, jak nam mówią – dodaje ze śmiechem. □

MUZYCZNE ODKRYCIA W FESTIWALOWEJ KOLEKCJI

SERIA PŁYT SYGNOWANYCH marką Misteria Paschalia trafi do dystrybucji pod koniec marca. Na początek ukaza się nagranie dwóch koncertów w wykonaniu zespołu Europa Galante pod dyktando Fabia Biondiego.

Na pierwszym albumie „Misteria Paschalia Collection” znajdzie się barokowe oratorium „Gesu Sotto il Peso della Croce” („Jezus pod ciężarem krzy-

ża”) Gian Francesca de Majo (1732–1770). Nagrania dokonano 14 kwietnia 2006 roku w Filharmonii Krakowskiej podczas polskiej premiery tego dzieła przywróconego do koncertowego życia po kilkuset latach. Dzięki płycie podziwiać będziemy nie tylko fenomenalną grę zespołu, ale też wybitnych śpiewaków: Robertę Invernizzi, jedną z najznakomitszych współczesnych sopranistek, Lucię Cirillo (alt) czy tenora Carlo Allemano.

Drugi album zawiera pamiętną polską premierę zapomnianego oratorium „La Santissima Annunziata” Alessandra Scarlatti (1660–1725), które zabrzmiało na krakowskim festiwalu w 2007 roku. Wśród solistów znaleźli się najznakomitsi wykonawcy włoscy, hiszpańscy i szwedzcy: Roberta Invernizzi, Emanuela Galli, Marina de Liso, Marta Almajano i Magnus Staveland. □



■ Jaroussky'ego usłyszycie w repertuarze XVII-wiecznych florenckich kompozytorów. Wystąpi z zespołem L'Arpeggiata



Piekielnie boski

„Anielski głos i diabelska wirtuozeria” – napisał o francuskim kontratenorze magazyn „La Terrasse”

NIE BEZ RACJI. POD CHŁOPIĘCĄ BARWĄ, SKALĄ i takąż powierzchownością 32-letniego Philippe'a Jaroussky'ego kryją się umiejętności nie z tego świata. W Krakowie usłyszmy go w XVII-wiecznym repertuarze florenckich kompozytorów.

Temu studentowi skrzypiec konserwatorium w Wersalu wystarczyła niespełna dekada, by wspiąć się na muzyczny olimp. Ale sukces i dziesiątki tysięcy sprzedanych autorskich płyt zawdzięcza nie operowaniu smyczkiem, lecz fenomenalnemu talentowi wokalnemu, który szlifował pod okiem wybitnej śpiewaczki Nicole Fallien w Paryżu.

Dysponujący unikatowym, najwyższym głosem Jaroussky najtrudniejsze partie koloraturowe w dziełach Monteverdiego, Scarlatti, Händla czy Vivaldiego pokonuje, jakby były jego ojczystym językiem. Równie łatwo i szybko oczarował publiczność i wydawców.

Debiutował jako 21-latek na festiwalu w Royaumont partią w mało znanym oratorium Aleksandra Scarlatti „Sedecia, rè di Gerusalemme”. Spektakularny występ przyniósł mu kontrakt z prestiżową wytwórnią Virgin Classics i wielką karierę. W 2004 roku jury Victoires de la Musique Classique ogłosiło go operową rewelacją. Rok później, po recitalu dedykowanym słynnemu kastratowi Carestinemu, śpiewakowi do stóp padł Paryż, a za nim reszta świata. Wydawane średnio co pół roku autorskie albumy Jaroussky'ego, ikony współczesnego baroku, zdobywają prestiżowe nagrody (między innymi podwójne Midem Classical Awards 2009), a liczne koncerty – fanów na całym świecie. W równie szatańskim tempie. □

Rozkołysana muzyczna procesja

Elektroniczny, taneczny, multikulturowy – taki będzie tegoroczny Selector Festival, a to za sprawą Faithless i Thievery Corporation

ELEKTRONIKA MARIUSZ HERMA



NAWET WYJĄTKOWO KAPRYŚNA pogoda nie zdołała zepsuć zeszłorocznej, pierwszej edycji festiwalu Selector, tym spokojniej więc możemy wyglądać kolejnej odsłony krakowskiego festiwalu muzyki elektronicznej. Chociaż słowo „spokojnie” nieszczerze pasuje do głównej gwiazdy imprezy, grupy Faithless.

Londyńskie trio świętujące w tym roku 15-lecie istnienia przywiezie na Błonia premierowy materiał z zapowiadanego na maj szóstego albumu studyjnego. Jeśli promujący go singiel „Not Going Home” jest reprezentatywny dla tego krążka, to bez wątpienia pod sceną będzie bardziej tanecznie niż kontemplacyjnie. Bez obaw, o ten drugi element zadbają również Faithless z Waszyngtonu. Thievery Corporation, druga gwiazda Selectora, tak-

że należy do stałych bywalców klubów, ale równie dobrze jak na parkiecie sprawdzi się w pomieszczeniach przeznaczonych do chilloutu. Wspecjalizowani w dyskrytnym łączeniu brzmień nowych z tradycyjnymi – od muzyki Dalekiego Wschodu po bos-sa novę – na żywo urządzają swego rodzaju ekumeniczny, multikulturowy zlot talentów, widowskowsy przegląd unikalnych brzmień i egzotycznych języków. Elektronicznemu detektowi na scenie towarzyszy bowiem spory tłum instrumentalistów i pieśniarzy (a częściej pieśniarek) z wszystkich regionów świata. Koncerty Thievery Corporation to nie innego jak rozkołysana muzyczna procesja przez wszystkie kontynenty świata. A znając polityczne zaangażowanie grupy, nie zabraknie też sporej dawki – uwaga: jak najbardziej pozytywnej! – scenicznej agitacji. □

■ Faithless – będziecie tańczyć, jak wam zagrają



SELECTOR FESTIVAL

4–5 czerwca, Kraków, Błonia
Ceny: karnet na dwa dni – 200 zł, bilet jednodniowy – 135 zł
Info: www.selectorfestival.pl
Zagrają: Faithless, Thievery Corporation, Metronomy, Boys Noize, Uffie

Głos apokalipsy

Możecie potraktować ich serio, możecie przyjść się pośmiać – tak czy inaczej koncertu Muse na festiwalu Coke Live przegapić nie wolno

STADIONOWY ROCK MARIUSZ HERMA



■ Muse – w Krakowie megalomani zagrają dla melomanów

JEDNI WIDZIELI W MUSE NASTĘPCÓW RADIOHEAD, inni nazywali ich pogromcami U2, teraz mówi się o nich, że kontynuują dzieło Queen. Sam zespół deklaruje dla odmiany, że chce być angielską odpowiedzią na Rage Against the Machine. Jedno jest pewne: ta grupa należy do najbardziej efektywnych kapel rockowych na świecie. Stadionowe gwiazdy – a Muse wyprzedzają takie obiekty szybciej niż Coldplay – nie mogą się obyć bez adekwatnej podbudowy ideologicznej. W ro-

li głównego doktrynera zespołu świetnie spełnia się Matthew Bellamy. 31-letni wokalista nie zajmuje się jednak społecznikiem (jak Bono) ani ekologiczną propagandą (jak Thom Yorke). Swoim charakterystycznym falsetem Bellamy woli wyśpiewywać apokaliptyczne teorie o globalnym spisku, a o ataki na World Trade Center z 2001 roku obwiniać tajne służby USA. Grozę przesłania na koncertach podkreślają spektakularne projekcje wideo. Megalomania? Muzycy

Muse nie boją się tej etykiety. – Zamierzamy być największym zespołem świata. I wcale nie wstydzimy się mówić o tym głośno – przyznał niedawno basista Chris Wolstenholme. – Zawsze byliśmy ambitną kapelą, zawsze snuliśmy marzenia ponad nasze siły – próbował go tonować perkusista Dominic Howard. W ubiegłym roku wystarczyło im jednak sił, by z albumem „The Resistance” w 20 krajach wspiąć się na sam szczyt list sprzedaży. Teraz wspólnie z grupą The Horrors będą się ubiegać o powierzenie im misji skomponowania oficjalnego hymnu igrzysk olimpijskich w Londynie w 2012 roku. – Wiemy, że tylko krok dzieli nas od momentu, kiedy przylgnie do nas etykieta drugiego The Spinal Tap – przyznaje Bellamy. – Z drugiej strony publiczność ma słabość do lekko zwariowanego angielskiego ekscentryzmu – dodał lider Muse. Brytyjskie trio to ledwie pierwsza potwierdzona gwiazda tegorocznego Coke Live Music Festival. W ubiegłym roku w Krakowie wystąpili 50 Cent, The Killers, Nas oraz Lupe Fiasco, w tym zaś powinniśmy się spodziewać gości, których podejrzewać można o kontrolę nad światem – przynajmniej światem rozrywki. □

COKE LIVE MUSIC FESTIVAL

20–21 sierpnia, Lotnisko - Muzeum Lotnictwa, Kraków
Ceny: karnet na dwa dni – 200 zł (z polem namiotowym 220 zł), bilet jednodniowy – 115 zł
Info: www.livefestival.pl

„Harischandrachi Factory” – tak rodziła się fabryka snów nad Gangesem



Copyrights © 2009 All Rights Reserved

ANI SŁOŃCE, ANI DESZCZ

GOŚCIEM FESTIWALU OFF PLUS CAMERA BĘDZIE JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH GWIAZDORÓW BOLLYWOOD – AMITABH BACHCHAN. ALE SEKCJA „NOWE KINO INDII” PRZEKONA WAS, ŻE FILMY ZNAD GANGESU TO NIE TYLKO ROZTAŃCZONE SUPERPRODUKCJE

KINO ANNA JASTRZĘBSKA

Choć kinematografia indyjska jest drugą – obok amerykańskiej – najprężniej funkcjonującą komórką przemysłu filmowego na świecie, kojarzy się głównie z pełnymi rozmachu produkcjami Bollywood: oszałamiającymi kolorami, muzyką i rozbrajającą naiwnością opowiadanych historii. No i z uśmiechem Shah-rukha Khana, supergwiazdora tych superprodukcji. Jednak kino indyjskie to nie tylko masala movies, czyli filmy będące mieszkanką tych wszystkich składników.

Reprezentują je również – uwaga – nieprzeciętne panie reżyser, między innymi Mira Nair, autorka doskonale znanego w Polsce „Mon-sunowego wesela” (w kinach możecie jeszcze oglądać jej amerykańską produkcję „Amelia Earhart”), czy Deepy Mehta, która nakręciła trylogię „Fire”, „Earth” i „Water”. W jej filmach nie ma pięknych zasłon oddzielających romantyczne wizje od rzeczywistości. Są za to umiejętność obserwacji i niewygodne w Indiach tematy – konflikty religijne, bieda, homoseksualizm.

W Krakowie zostanie pokazanych w sumie dziewięć filmów, które będą reprezentować oba nurty indyjskiego kina – i ten poważny, i ten stricte rozrywkowy. Wyboru dokonała jedna z największych znawczyń tamtejszej kinematografii, Kanadyjka Hanna Fischer.

Podczas festiwalu dwa filmy będą miały europejskie premiery: „PAA” nieznanego w Polsce R. Balakrishnana to opowieść o chłopcu cierpiącym na progerię (choroba ta powoduje przedwczesne starzenie się). Z kolei produkcja „The Japanese Wife” Aparny Sen, jednej z wyrazistszych postaci indyjskiego kina, zapowiadana jest jako nietypowa love story.

Poza tym w Krakowie zobaczycie indyjskiego kandydata do oscarowej nominacji – „Harischandrachi Factory”. Reżyser Paresh Mokashi w komediowej konwencji opowiada o realizacji pierwszego filmu fabularnego w Indiach i narodzinach przemysłu kinematograficznego nad Gangesem. Wtedy, w 1912 roku, chyba nikt nawet nie myślał, że kino Indii przemieni się w takiego kolosa.

Oprócz sekcji indyjskiej i rockowej organizatorzy tegorocznej edycji festiwalu Off Plus Camera przygotowali jeszcze:

■ Konkurs główny „Wytyczanie drogi” – spośród najnowszych 12 produkcji z całego świata podpatrzonych na festiwalach Sundance, w Berlinie i Rotterdamie międzynarodowe jury wyłoni zwycięzcę, do którego powędruje sto tysięcy dolarów.

■ „Odkrycia” – w tej sekcji zobaczycie najnowsze produkcje uznanych i mniej doświadczonych twórców, zarówno komercyjne, jak i niezależne.

■ „Odkrycia: From the Gut” – wyselekcjonowane przez Trevora Grotha, dyrektora programowego festiwalu Sundance, i Mike’a Plante’a, współorganizatora wielu imprez filmowych, to amerykański odważny off.

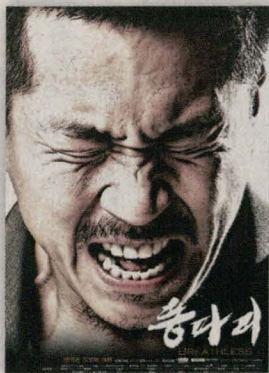
■ „Odkrycia: Latino” – najważniejsze i najnowsze produkcje latynoskie wybrane przez Rosę Martinez Rivero, selekcyjerkę Międzynarodowego Festiwalu Kina Niezależnego w Buenos Aires.

■ „Nadrabianie zaległości” – w ramach sekcji zostaną zaprezentowane uznane na świecie filmy, które z różnych przyczyn nie trafiły do polskiej dystrybucji kinowej.

■ „Sundance Film Festival Series” – tu zobaczycie pięć filmów, które miały premierę na ostatnim festiwalu Sundance (wyboru dokonał jego szefowie programowi). Kolejne pięć to obrazy, które powstały podczas warsztatów dla młodych filmowców „Sundance Lab”.

■ „Nordyckie horyzonty” – sprawdźcie, czym może zaskoczyć młode kino islandzkie i norweskie.

■ „15 lat Pusan” – Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Pusan w Korei Południowej jest zaliczany do najważniejszych na świecie (tak zwana klasa A). Wyborom jego selekcyjnerów można zaufać.



■ Azjatyckie filmy pokazane w Krakowie pozostawiają was „Bez tchu”

ROZMOWA ANNA JASTRZĘBSKA

Będzie głośno

Wśród gości specjalnych tegorocznego festiwalu Off Plus Camera będzie niepokorny duch Ameryki Allison Anders. Autorka „Czekam na ciebie w Laramie” i „Moje szalone życie” przygotowuje dla was sekcję poświęconą filmom o muzyce rockowej – Don’t Knock the Rock

Jakie filmy zobaczymy w cyklu, który przygotowała pani wraz córką Tiffany?

– Chcemy pokazać wspaniałe „Ladies and Gentlemen, the Fabulous Stains” Lou Adlery z młodzieńką Diane Lane – to był jeden z jej pierwszych filmów. Film jest opowieścią o młodej dziewczynie, która pragnie grać punk rocka. Myślmy o „Performance”, który – jak mi się wydaje – nie był dotąd pokazywany w Polsce. Wyreżyserowali go Donald Cammell i Nicolas Roeg, w rolach głównych wystąpili Mick Jagger i James Fox. To po prostu klasyka rockandrollowych filmów, a Mick Jagger jest zachwycający! Poza tym pokażemy wspaniałą, naprawdę piękny niezależny film „My Dinner with Jimi” i równie wspaniałą „Having a Wild Weekend” zrobioną przez Johna Badhama z zespołem The Dave Clark Five w połowie lat 60. Na pewno zaprezentujemy w Krakowie „Monks: The Transatlantic Feedback” opowiadający o amerykańskim zespole awangardowym działającym w Niemczech w latach 60., znacznie wyprzedzającym swoje czasy.

A jaki najlepszy film rockowy widziała pani ostatnio?

– Niedawno prezentowałam swoim studentom świetny „Control” o Ianie Curtisie, liderze Joy Division. Jeśli jednak chodzi o film, który zabrałabym na bezludną wyspę, to byłby to „A Hard Day’s Night” z udziałem The Beatles.

W Los Angeles organizuje pani, też razem z Tiffany, festiwal Don’t Knock the Rock. Muzyka bywa często źródłem pokoleniowych konfliktów. Jak to jest w waszym przypadku?

– Muzyka to bardzo ważna część naszego wspólnego życia. Tiffany wie wszystko o muzyce, nie tylko tej najnowszej, naprawdę dużo się od niej uczy. Moja córka ma własny zespół, jest gitarzystką i wokalistką. Jestem dumna,



że mam takie muzyczne dziecko! Zwłaszcza że – nie licząc prób z dzieciństwa – sama nie gram na żadnym instrumencie. Mam niezły głos i to wszystko.

W latach 80. zaprzyjaźniła się pani z muzykami grupy Duran Duran, a kiedy basista John Taylor opuścił zespół, zaprosiła go pani do zagrania w filmie „Sugar Town” opowiadającym o przemyśle muzycznym i filmowym Los Angeles. Czy jakieś inne spotkania z muzykami były dla pani szczególnie istotne?

– Cóż, spotkałam wielu muzyków, których cenię, ale także nie spotkałam kilku, którzy są dla mnie bardzo ważni, choćby Paula McCartneya. Za to w zeszłym roku wreszcie udało mi się poznać moją idolkę Mary Weiss z zespołu The Shangri-Las, którzy tworzyli w latach 60.

Bohaterki pani filmów, na przykład „Czekam na ciebie w Laramie”, to silne kobiety biorące się z życiem za bary...

– Opowiadam o własnym doświadczeniu, znam problemy kobiet, choćby dlatego że jestem samotną matką.

Czy kobiety za kamerą mają trudniej?

– Muszą przejść zdecydowanie trudniejszą drogę niż mężczyźni. Jednak ten rok przynosi nadzieję, ponieważ Kathryn Bigelow [reżyserka filmu „The Hurt Locker” – przyp. red.] jako pierwsza kobieta zdobyła za reżyserię Oscara, nagrody DGA oraz BAFTA. To jest bardzo do- bry znak dla nas wszystkich.

KINO MUZYCZNE MARIUSZ HERMA

Rock dla wzrockowców

Gdyby kondycję rocka mierzyć tym, jak opowiadają o nim filmowcy, to przeżywałby on właśnie swoją drugą młodość. Nie wierzyć? To wybieżcie się do wypożyczalni

O BURZLIWYCH POCZĄTKACH ROCK AND rolla opowiedział niedawno Darnell Martin w fascynującym filmie „Cadillac Records” (Imperial Cinepix, 2008). Rolę założyciela kluczowej dla gatunku wytwórni Chess Records powierzył Adrienowi Brody’emu, ale udało mu się także zatrudnić prawdziwe gwiazdy show-biznesu – Beyoncé Knowles wcieliła się w postać legendarnej piosenkarki Etty James, a raper Mos Def okazał się bezbłędny jako Chuck Berry. Za wykonanie ballady „At Last” Beyoncé otrzymała zresztą później nagrodę Grammy.

Złota era rock and rolla miała swoje jasne i ciemne strony, co Martin trafnie oddał słodko-gorzkim nastrojem filmu. Zgoła beztroskie spojrzenie na życie muzycznych zapaleńców – albo wręcz popaprańców – znajdziecie w „Radiu na fal” (TiM Film Studio, 2009), kolejnej zwirowanej komedii Richarda Curtisa. Twórca „To właśnie miłość” tym razem odświeżył legendę pirackich rozgłośni radiowych z połowy lat 60. Pozostając w otwartym konflikcie z brytyjskim rządem, zmuszone były nadawać audycje z pokładu statków dryfujących u wybrzeży Anglii.

Nawet uwzględniając potężny ładunek ironii, prześmiewczy film Curtisa pachnie hipisowską apoteozą rockowej wolności. Podobnego przekazu próżno szukać w „Control” (Gutek Film, 2007), melancholijnej biografii Iana Curtisa. Oparta na wspomnieniach władno po liderze Joy Division opowieść czarno na białym – dosłownie i w przenośni – dokumentuje odwróconą parabolę kariery scenicznej Curtisa oraz postępującą entropię relacji prywatnych targanego epilepsją muzyka, co ostatecznie w 1980 roku doprowadziło go do samobójczej śmierci.

Anton Corbijn, którego znaliśmy dotąd między innymi z realizacji teledysków U2, Depeche Mode czy Nirvany, przyznał, że to Joy Division zawdzięcza swoją pasję muzyczną. Hold złożony idolom młodości rozpoznać można jednak tylko po przywiązaniu do detali i przedłużonych ujęciach ze studia czy ze sceny.

Symfonia na Błoniach

Trzecia odsłona Festiwalu Muzyki Filmowej to trzy duże produkcje, z których aż dwie przeniosą nas do Azji

MUZYKA I KINO MARIUSZ HERMA

FESTIWAL MUZYKI FILMOWEJ

20–22 maja, Kraków, Błonie
info: www.fmf.fm

KOMPOZYTORZY CHIŃCZYK TAN DUN, Japończyk Shigeru Umebayashi oraz Kandydyt Howard Shore to w tym roku główni bohaterowie Festiwalu Muzyki Filmowej. Ten pierwszy w czwartek 20 maja otworzy imprezę wykonaniem ścieżki dźwiękowej z filmu „The Banquet”, chińskiej adaptacji „Hamleta” z 2006 roku. Na Błoniach nie zobaczymy wprawdzie Langa Langa udzielającego się na oryginalnej ścieżce, ale za fortepianem zastąpi go sam Leszek Możdżer. – To dzieło w dużej mierze oparte na improwizacji, więc Możdżer jako jazzman powinien się w nim świetnie odnaleźć

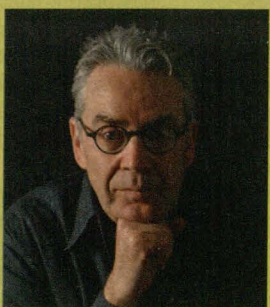


– mówi Robert Piaskowski, koordynator projektu w Krakowskim Biurze Festiwalowym. Tego samego wieczoru usłyszymy także niewykonywaną nigdzie wcześniej suitę z głośnego filmu „Hero”, składającą jedną z najbardziej udanych prac w dorobku Tan Duna. Pierwszy dzień festiwalu z drugim dyskretnie połączy postać aktorki Zhang Ziyi. Miłośnicy kina azjatyckiego skojarzą ją nie tylko z „Hero” i „Domem latających sztyletów” Zhanga Yimou, ale też z „2046”. Muzykę między innymi z tego ostatniego obrazu usłyszymy na koncercie piątkowym, który będzie przeglądem dorobku Shigeru Umebayashiego. – To twórca niezwykle wszechstronny, mający na koncie prawie pół setki ścieżek do filmów japońskich i chińskich, z któ-

rych najbardziej znane to „Spragnieni miłości” oraz „2046” Wong Kar-waia – tłumaczy Piaskowski. Dyrygowanie koncertem powierzono 30-letniemu Benjaminowi Wallfischowi, którego szczególnie upodobał sobie brytyjski reżyser Joe Wright. Wallfisch kierował nagraniami muzyki do jego „Pokuty”, „Dumy i uprzedzenia” czy „Solisty” (komponował Dario Marianelli).

W tym międzynarodowym towarzystwie nie zabraknie też polskich akcentów. – Po pierwsze, będzie to przepiękny polonez z filmu „2046”, po drugie, światowe prawykonywanie suity z filmu „A Single Man” Toma Forda – opowiada Piaskowski. – Umebayashi jest autorem głównego tematu ścieżki dźwiękowej, ale rozwinął go młody polski kompozytor Abel Korzeniowski – dodaje. Z kolei do wykonania partii solowej z „Domu latających sztyletów”, którą w oryginale śpiewała Kathleen Battle, zaproszono Ewę Małas-Godlewską. – Także ze względu na jej kinowy romans związany z filmami „Farinelli: ostatni kastrat” oraz „Dziwiąte wrota” – tłumaczy Piaskowski.

Sobotnie zakończenie festiwalu będzie jednocześnie domknięciem trzyletniej przygody z Howardem Shore'em oraz jego muzyką do ekranizacji „Władcy pierścieni” J.R.R. Tolkiena. Tyle że wykonanie ścieżki dźwiękowej z „Powrotu króla”, ostatniej części trylogii, tym razem uświetni swoją obecnością sam kompozytor. Monumentalne dzieło wykona Sinfonietta Cracovia wraz z chórem Pro Musica Mundi, a partie solowe – Kaitlyn Lusk, którą do tej roli wybrał Shore. Impreza związana z kinem nie może oczywiście obyć się bez filmów, toteż koncertom towarzyszyć będą prezentacje w Kinie Pod Baranami. Naturalnie brzmiące muzyką głównych bohaterów festiwalu.



■ **Gwiazdy kina, których twarze pewnie nie znacie.** Kompozytorzy Tan Dun („Hero”), Shigeru Umebayashi („2046”) oraz Howard Shore („Władca pierścieni”)



■ *Diwa barokowej wokalistyki Roberta Invernizzi*

OPERA ADA GINAŁ

Ottone i inni

Opera Rara to festiwal prezentujący dzieła, które do tej pory można było podziwiać jedynie w Mediolanie czy Paryżu

CYKL OPERA RARA CIESZY SIĘ OGROMNYM POWODZENIEM, a bilety na kolejne barokowe opery znikają w ekspresowym tempie (spieszcie się!). Nic dziwnego – w ramach tej imprezy można zobaczyć najlepsze spektakle z udziałem najwspanialszych solistów i w interpretacji najsłynniejszych europejskich zespołów: Europa Galante, Le Poème Harmonique czy Accademia Bizantina.

W Krakowie pokazano już choćby dwa znakomite spektakle przygotowane przez Fabia Biondiego: „Herkulesa nad Termodontem” i „Agrippinę”, a także wersję sceniczną „Mieszczanina szlachcicem” pod kierownictwem muzycznym Vincenta Dumestre’a oraz „Rinalda” z udziałem najlepszych solistów i Accademii Bizantina.

Już 19 maja zabrzmi „Ottone in Villa” – pierwsza opera Antonia Vivaldiego, której premiera odbyła się 17 maja 1713 roku w Teatro delle Grazie w Vicenzie. Usłyszymy ją w wykonaniu włoskich mistrzów z Il Giardino Armonico pod wodzą charyzmatycznego Giovanniego Antoniniego, z udziałem między innymi Sonii Priny i Roberty Invernizzi.

7 października Ottavio Dantone i jego zespół Accademia Bizantina przywieżą do Polski „L'Olimpiade” – ostatnią operę seria G.B. Pergolesiego napisaną dla Teatro Tordinoda w Rzymie. Z kolei Marc Minkowski wraz z Les Musiciens du Louvre przedstawi 2 grudnia niezwykle dzieło G.F. Händla „Alcinę”.

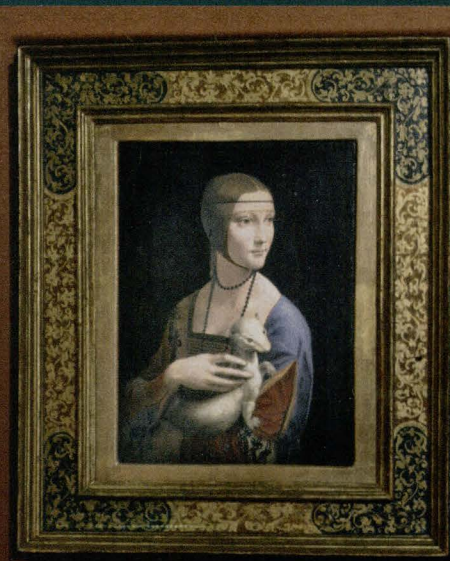
OPERA RARA

19 maja „Ottone in Villa”
Kraków, Teatr im. Juliusza Słowackiego
Ceny biletów na koncerty: 100–180 złotych
Info: www.operarara.pl

Miasto z niespodzianką

PATRZCIE W GÓRĘ I POD NOGI. W CZERWCU W KRAKOWIE BĘDZIECIE ZASKAKIWANI NA KAŻDYM KROKU – DOPILNUJĄ TEGO ARTYŚCI BIORĄCY UDZIAŁ W FESTIWALU ART BOOM

SZTUKA ANNA JASTRZĘBSKA



■ *Artystyczny psikus francuskiego artysty Zezva. Oryginalna „Dama z lasiczką” pożądlivé zerka na podrobioną torebkę Louisa Vuittona*

ZESZŁOROCZNE PROJEKTY, KTÓRE WGIAŻ MOŻNA obejrzeć w Krakowie: na krakowskim placu Niepodległości znajduje się dzieło Mirosława Balki „AUSCHWITZWIELICZKA”. To 17-metrowy betonowy tunel z powyższym napisem. Pierwsza stała praca, jaką Balka zrealizował w przestrzeni publicznej w Polsce, jest komentarzem do obsesyjnego bezrefleksyjnego „zaliczania atrakcji”. Sprawa ostatecznej lokalizacji projektu jest w toku. Mural grupy Twożywo „Siataniści” prezentuje młodych ludzi... z siatkami w rękach. Zobaczycie ich na fasadzie bocznej budynku przy ulicy Barskiej, vis-à-vis dawnego hotelu Forum. Jeden z najbardziej enigmatycznych projektów to „Wodnik” Joanny Rajkowskiej. Zatopiona w Wildze (dopływie Wisły) rzeźba dostojnika kościelnego walczącego z nurtem wody była widoczna przez pierwsze dni festiwalu, potem poziom wody podnosił się i zniknęła. Do dziś żyje swoim podwodnym życiem.



Ci, którzy odwiedzili Kraków podczas zeszłorocznego Art Boomu, mogli zobaczyć między innymi, jak kosz na śmieci wyrzuca wrzucane do niego rzeczy (sprawka Brada Downeya i jego projektu „Wirujący kosz”), jak z wieży kościoła Mariackiego spada kopuła (projekt „Boom” autorstwa Juliana Tomaszuka), a zdeperowana kobieta w dzikim szale demoluje samochód (performance Rafała Bujnowskiego „Zemsta kobiety w środku miasta”). Dziwne, zaskakujące? Takie właśnie ma być. Festiwal wręcz zmusza do obcowania ze sztuką.

W formułę imprezy wpisane zostało bowiem zaskoczenie – i to podwójne. Po pierwsze, wszystko dzieje się w nieco przykurzo-

nym, skupionym na tradycji Krakowie. Po drugie, do samego końca nie wiadomo, jak będą przebiegać poszczególne akcje. Sam festiwal stał się procesem twórczym.

No dobrze, ale po co zaskakiwać przypadkowych ludzi, którzy wcale nie mają ochoty mierzyć się z prowokacją artystyczną? – Reakcje bywają różne: od aprobaty do irytacji. Potwierdzeniem, że tego typu działania są potrzebne, są chociażby inicjatywy społeczne, które narodziły się po festiwalu, na przykład „Projekt miejski” – mówi dyrektor artystyczny imprezy Małgorzata Gołębiowska.

Tematem Art Boomu 2010 jest teza o sztuce i przestrzeni niemożliwej. Z problemem zmierzą się między innymi: Jenny Holzer, Gustav

Metzger, Guy Ben-Ner, grupa Raumlabor. Polską sekcję zasilą swoimi pomysłami: Cezary Bodzianowski, Robert Kuśmirowski, Maciej Kurak, Janek Simon, Kobas Laksa, Grzegorz Drozd. Artystów sporo. Pozostaje więc tylko przyjechać w czerwcu do Krakowa, szeroko otworzyć oczy i (nie) dać się zaskoczyć.

FESTIWAL SZTUK WIZUALNYCH ART BOOM

10–24 czerwca, miejsca różne i nieoczekiwane, www.artboomfestival.pl

OTWÓRZ
oczy

FABRYKI ZAMIENIONE
NA TEATRY, KOPALNIE
NA SALE KONCERTOWE,
POSTINDUSTRIALNY
PEJZAŻ PEŁEN ŚWIATEL
I SZTUKI – TAK WYGLĄDA
DZIŚ ZAGŁĘBIE RUHRY.
URZĘDNI CY ZE ŚLĄSKA
I Z ŁODZI, KTÓRA
STRACIŁA WŁAŚNIE
SZANSĘ NA KULTURALNĄ
REWOLUCJĘ, MOGLIBY
OD NIEMIECKICH KOLEGÓW
WIELE SIĘ NAUCZYĆ

SZTUKA INDUSTRIALNA KAROLINA PASTERNAK, ZAGŁĘBIE RUHRY

KOPALNIA KULTURY

*Symbol regionu: Zollverein w Essen.
Tak jak przed laty kopalnia
i koksownia są obecnie jednym
z największych pracodawców w okolicy.
Dziś jednak nie pracują tu już
górnicy, ale choreografowie, muzycy,
designerzy i drobni przedsiębiorcy*

Zaprojektowana według szkicu
designera Luigi Colaniego
Colani-Ei: wieża w Centrum
Technologii w mieście
Lünen, przez miejscowych
nazywana UFO



W Essen
znakomitą
„Areteię”
pokazał
w lutym
Grzegorz
Jarżyna



Zimowe przedpołudnie. Plac teatralny w Essen, drugim co do wielkości mieście Zagłębia Ruhry, przypomina terminal lotniska. Wejście do Grillo Theater oblega tłum ludzi z walizkami i biletami wyglądającymi jak lotnice. – Po co każą widzom dźwigać bagaże do teatru? – pytają zagraniczni dziennikarze. Ze spokojem przedpołudniową kolejkę przed teatrem obserwują natomiast mieszkańcy Essen. Od kiedy w styczniu tego roku ich miasto, razem z 52 innymi miejscowościami Zagłębia Ruhry, między innymi Dortmundem, Bochum i Duisburgiem, zostało ogłoszone Europejską Stolicą Kultury (to pierwszy zbiorowy zwycięzca w historii tego konkursu!), ingerujące w przestrzeń miejską wydarzenia kulturalne już ich nie zaskakują.

Tłum przed teatrem to uczestnicy jednego z wydarzeń roku kultury: projektu „Odyseja Europa”. Podróżując przez sześć różnych miast, zobaczyli sześć spektakli – wariacji na temat „Odysei” Homera – przygotowanych przez miejscowe zespoły teatralne i twórców z zagranicy, między innymi Grzegorza Jarżynę. Takich wydarzeń artystycznych Zagłębie Ruhry przygotowało na ten rok dwa i pół tysiąca.

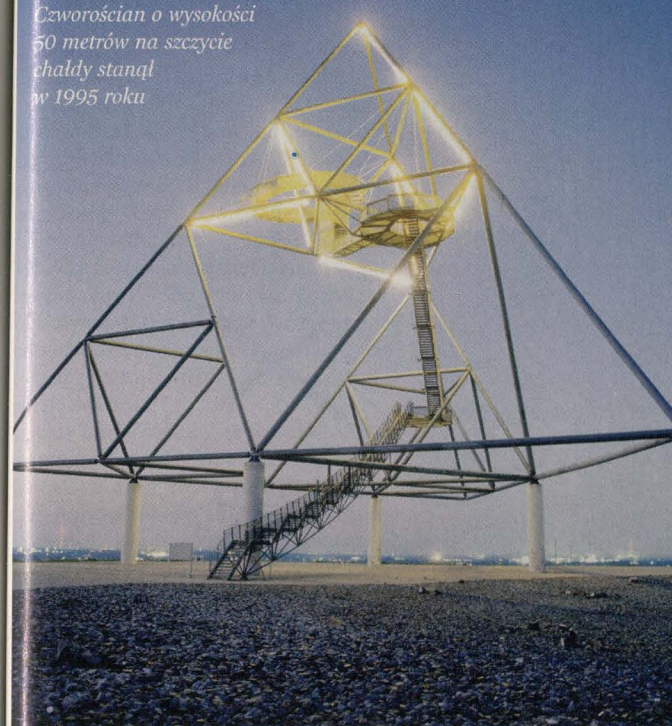
(Prawie jak na Śląsku)

W zaprojektowanym przez architekta Davida Chipperfielda muzeum sztuki w Essen właśnie została otwarta wystawa „Najpiękniejsze muzeum świata – muzeum Folkwang do 1993 roku” (to rekonstrukcja imponującej kolekcji sztuki współczesnej, którą w 1937 roku naziści wywieźli z Essen). Za dwa tygodnie rusza biennale Międzynarodowej Sztuki Światła. – A 18 lipca ta droga, którą właśnie jedziemy – opowiada mój gospodarz, trzydziestoparolatek z Bochum Dirk Schroer, gdy przemierzamy autostradę A40 – zamieni się w gigantyczny stół. Na zamkniętym 60-kilometrowym odcinku chętni będą mogli zrobić sobie piknik, prezentując przy okazji lokalną kuchnię – wyjaśnia.

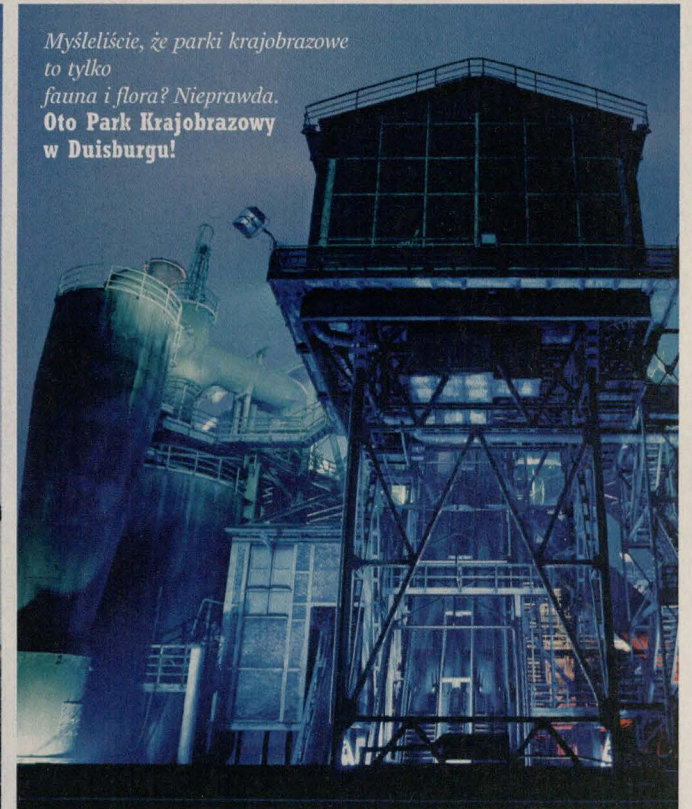
Gdyby nie to, iż podczas jazdy główną arterią komunikacyjną Zagłębia nie trafiamy na wyboje i droga jest czteropasmowa, można by pomyśleć, że jesteśmy pod Łodzią albo na Śląsku: surowy, szary krajobraz przecinają budynki kopalni i fabryk. Ruhra przez lata słynęła przecież wyłącznie z wydobycia węgla. Jak to się stało, że region utożsamiany z przemysłem zdobył miano Europejskiej Stolicy Kultury, stając w jednym rzędzie z takimi wcześniejszymi →

FOT. BERTHOLD STEINHILBER/LAIF/EK PICTURES (5), TANIA REINICKE/LAIF/EK PICTURES, EKKEHART BUSSENIUS/LAIF/EK PICTURES, RALPH LUEGER/IMAGO/EAST NEWS, RUHR 2010 (2)

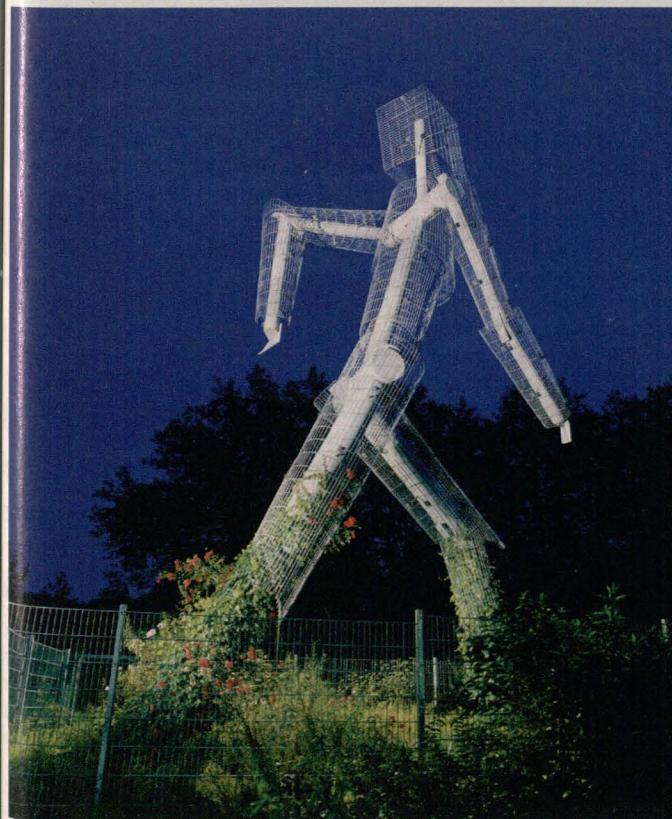
Tetraeder – najsłynniejsza
rzeźba miasta Bottrop.
Czworościan o wysokości
50 metrów na szczycie
chłady stanął
w 1995 roku



Myśleliście, że parki krajobrazowe
to tylko
fauna i flora? Nieprawda.
**Oto Park Krajobrazowy
w Duisburgu!**



ZDOBYWAJĄC MIANO EUROPEJSKIEJ STOLICY KULTURY, ZAGŁĘBIE RUHRY STANĘŁO
W JEDNYM RZĘDZIE Z TAKIMI MIASTAMI, JAK **PARYŻ, MADRYT CZY FLORENCJA**

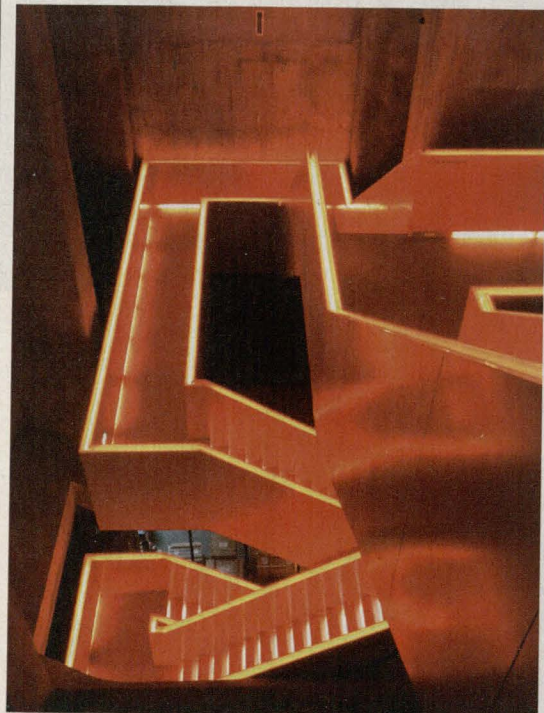
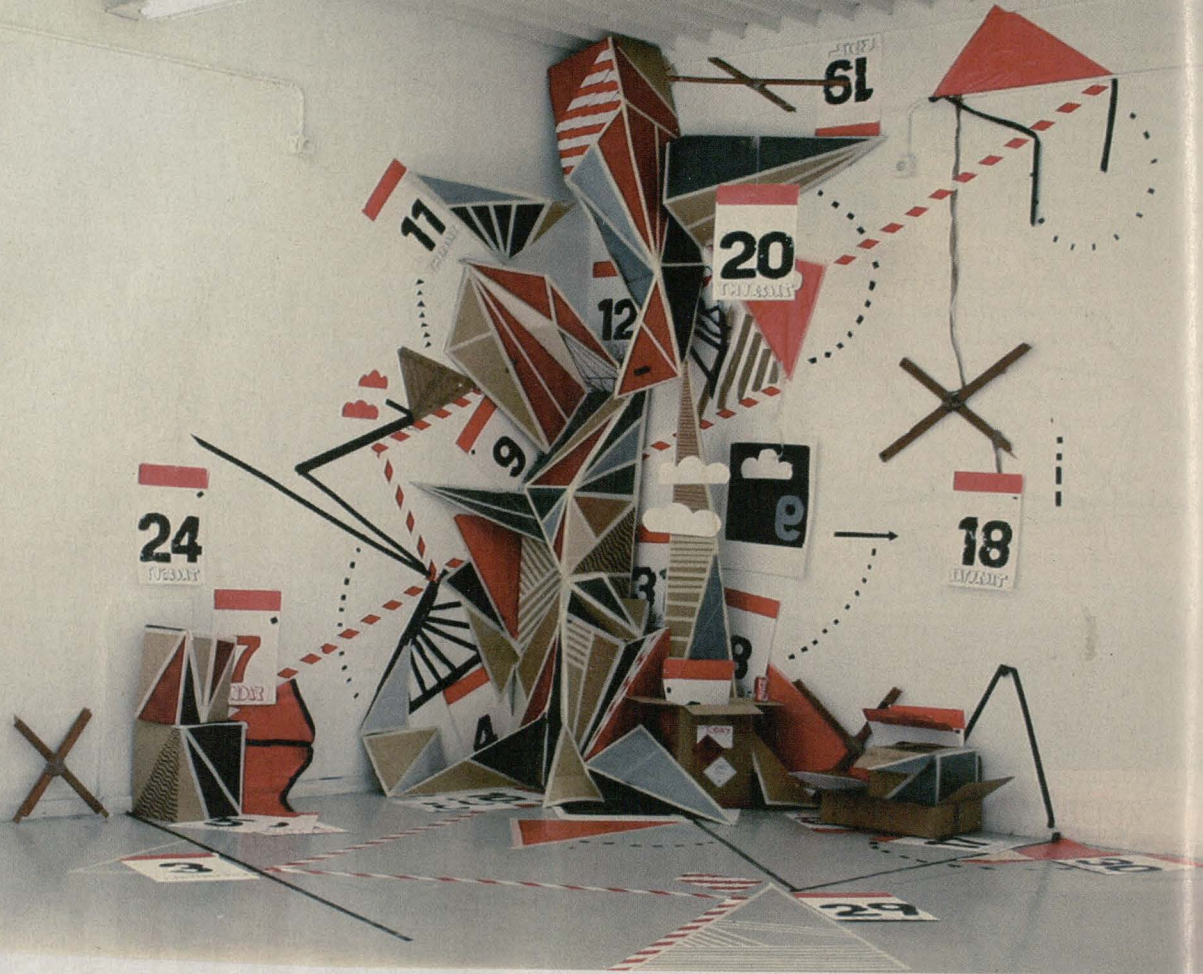


Rzeźba „Fussgänger” (pol. „pieszy”) w mieście **Herne**, leżącym dokładnie
między Bochum a Gelsenkirchen. Metalowy gigant zmierza do Bochum



To nie „Łowca androidów”, ale znów Park Krajobrazowy w **Duisburgu**.
Kosmicznym budynkom rangę zabytków nadał jego założyciel Peter Latz

Instalacja „Remember Tomorrow” autorstwa 25-letniej Niemki Clemens Behr do Zollverein przyjechała prosto z ulic Barcelony



Czerwono-żółte akcenty w Zollverein nawiązują do koloru rozżarzonego koksu, w który zamieniano tu węgiel

→ gospodarzami tej imprezy, jak Madryt, Paryż czy Florencja. – Mieliliśmy oryginalny pomysł – tłumaczy jedna z koordynatorek projektu „Ruhr2010” Katharina Jarzombek. – Jedno miasto regionu nie miałoby szans, więc połączyliśmy siły, by wspólnie walczyć o miano Europejskiej Stolicy Kultury. Stworzyliśmy nowy model metropolii składającej się nie z jednej, ale z 53 miejscowości – dodaje.

Tak naprawdę jeszcze ważniejsza od koncepcji „połączenia sił” była idea „transformacji zamiast niszczenia”, rewitalizacji, która narodziła się w jednym z najbardziej znanych na świecie punktów regionu – kopalni Zollverein. Przez dziesięciolecia była ona głównym miejscem zatrudnienia ludzi z Essen i okolic. Kopalnię zamknięto na dobre w 1993 roku. A jednak w lutym przedpołudnie 2010 roku kompleks wciąż tętni życiem.

Za ruchomymi drzwiami dawnej myjni węgla, do której prowadzą najdłuższe w Europie ruchome schody w intensywnym pomarańczowym kolorze (projekt znanego holenderskiego architekta Rema Koolhaasa), można poczuć się jak w zawieszonym w powietrzu mieście. Obok

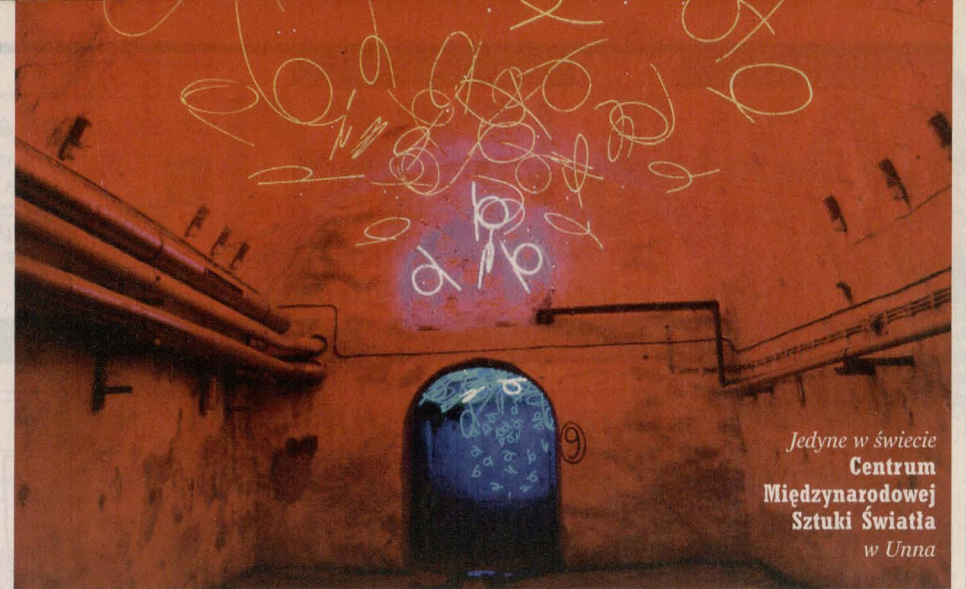
knajpek i sklepików z książkami są sale koncertowe (występował tu między innymi Jan Garbarek), Muzeum Ruhry, przestrzenie wystawiennicze i te przeznaczone do wynajmu na cele komercyjne.

(Kultura się opłaca)

Zollverein pierwszy raz odżyła, gdy w 2001 roku wciągnięto kopalnię na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO. Teraz przeżywa kolejny boom: – Od ogłoszenia naszego regionu Europejską Stolicą Kultury mamy prawie 40-procentowy wzrost zwiedzających – chwali się dyrektor Muzeum Ruhry, profesor Ulrich Borsdorf. – Ale pania pewnie bardziej interesuje, ile to wszystko kosztowało, dziennikarze zawsze najpierw o to pytają – uśmiecha się. Kwestia inwestowania w transformację przestrzeni przemysłowych w kulturalne rzeczywiście jest w Zagłębiu Ruhry drażliwa: – W Gelsenkirchen jest najwyższe w regionie 20-procentowe bezrobocie – tłumaczy mi Dirk. – Tymczasem w Bochum władze regionu chcą zbudować za 10 milionów euro salę koncertową!

Problem, jak wyjaśniają koordynatorzy „Ruhr2010”, polega głównie na tym, że pierwsze pokolenie, którego życie nie koncentrowało się wokół pracy w kopalniach, dopiero w Zagłębiu Ruhry dorasta. Dotąd ani turystyka, ani kultura nie interesowały mieszkańców, ludzie nie zdają sobie sprawy, że na tym też da się zarabiać. Tymczasem na początku tego roku zatrudnienie w Zollverein przekroczyło tysiąc osób. Rocznie kopalnię odwiedza milion turystów, którzy kupując same tylko bilety, zostawiają w niej blisko 100 milionów euro. – Przebudowa Zollverein kosztowała 150 milionów euro – kontynuuje profesor Borsdorf. – Inwestycja [władz państwa i regionu – przyp. red.] już się zwróciła.

Gdy Zagłębie Ruhry świętowało otrzymanie miana ESK, łódzcy urzędnicy zaprzęśli szansę na budowę w ich mieście nowoczesnego Camerimage Łódź Center. A przecież Łódź też ubiega się o tytuł ESK na rok 2016. Z doświadczeń Zagłębia Ruhry chcą natomiast korzystać także startujące w konkursie Katowice: – Tamtejsi urzędnicy już nas prosili o udostępnienie strategii – mówi Katharina Jarzombek. W mieście odbywa się



Jedynie w świecie Centrum Międzynarodowej Sztuki Światła w Unna

OD STYCZNIA TEGO ROKU
LICZBA ZWIEDZAJĄCYCH
DAWNA KOPALNIĘ ZOLLVEREIN
PRZEKSZTAŁCONĄ
W CENTRUM SZTUKI
WZROSŁA O 40 PROCENT

festiwal Nowa Muzyka, do Katowic przynosi się Off Festival. Od lat na Śląsk ściągają reżyserzy. Do tej pory tylko po zdjęciach bieda i zaniedbanych miast. Mniej nadzieje, że po 2016 roku będą na lokalnych imprezach kulturalnych promować swoje filmy. □

RADIO VOX FM Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 16 marca o godz. 20.00

REKLAMA

NAGRODA im. RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO ZA REPORTAŻ LITERACKI

Do 31 marca na stronach „Gazety Wyborczej”
zostanie opublikowana lista 10 finalistów

Waga! Ogłaszamy konkurs edukacyjny towarzyszący nagrodzie dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych z województwa mazowieckiego.

Kim dla ciebie jest reportaż „Wojna futbolowa” RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO? Użyj swojej wyobraźni, weź udział w konkursie i wygraj laptopa! Sam lub w zespole przygotuj pracę inspirowaną reportażem „WOJNA FUTBOLOWA” RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO. Praca może zostać wykonana w dowolnej technice, a także mieć dowolną formę artystyczną (np. sluchowisko, spektakl, film, piosenka, tekst, wystawa, happening, prezentacja multimedialna, utwór literacki – w tym felieton, reportaż i wiele innych pomysłów). Na twoje zgłoszenie drogą pisemną bądź elektroniczną czekamy do 26 kwietnia 2010 r.

Regulamin i regulamin dostępne na stronie internetowej www.warszawa.gazeta.pl i www.scek.pl, pytania prosimy kierować na adres mailowy info@scek.pl



Organizatorzy

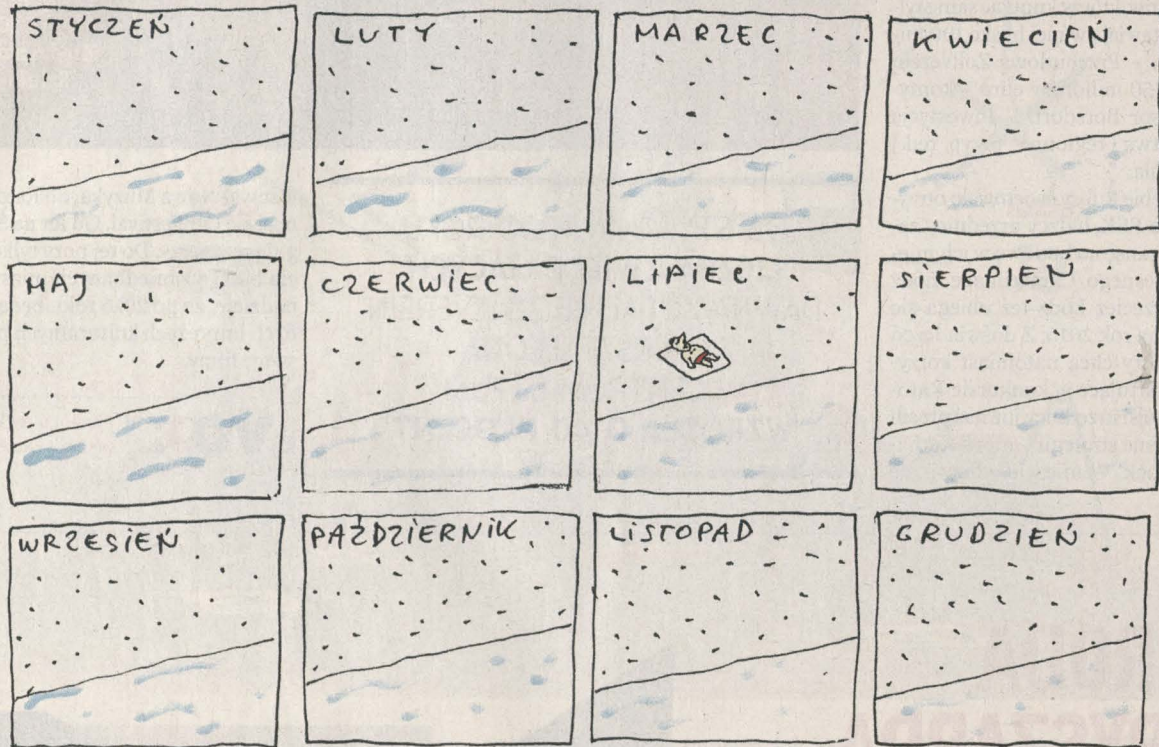


ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

W TYM TYGODNIU W KRZYŻÓWKIE
NIC DWA RAZY SIĘ NIE ZDARZA,
SZARY ZAMIENTA SIĘ W HOMOPIESZCZYKUSA,
A KURKIEWICZ PODSŁUCHUJE BRACI.
TYCH BRACI

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Homo technicus,
czyli wszyscy jesteście
maszynami

HORRORY SĄ JAK SZTUKI
Szekspira – ziewnął Szary pod-
czas kina nocnego Polsatu.
– Wszyscy są nie tymi, za ko-
go się podają. Albo drzemie
w nich umarłak, albo wilko-
łak. Horror SF proponują
dodatkową atrakcję w postaci
ukrytych w ludzkim ciele robo-
tów. Przy otwartym złamaniu
naszym oczom nie ukazują się
odrażająca piszczel, lecz zwój
kablów, a staw okazuje się jedy-
nie łóżyskiem, z którego właśnie
wypadła kulka. Szara zauwa-
żyła, że ludzie w ogóle stali się

maszynami, i to bez ingerencji
kosmitów czy pisarzy fantasty.
Dawni krytycy nowoczesno-
ści, którzy obawiali się wpływu
fal radiowych na nasze orga-
nizmy, dziś dostaliby zawalu
na samą myśl, ile fal przecina-
my dziennie i ile fal przecina
nas. Telewizyjne tną nas w po-
ziomie, komórkowe w pionie,
ale nasze organizmy zniosą
wszystko. Coraz precyzyjniej-
sze GPS-y prowadzą nas nawet
przez polne ścieżki, GPS-y idei
bezwrotnie wyparowały, ale
nasze mózgi poradzą sobie na-

wet z zupełną pustką.
Z HOMO SAPIENS SAPIENS
został tylko HOMO SAPIENS
– wciąż bowiem myślimy,
ale tylko o tym, co by tu zro-
bić, by więcej nie myśleć.
Na przykład: po co nam zdol-
ność liczenia, skoro w kwestii
liczb możemy liczyć na ma-
szyny? Po co coś wiedzieć,
skoro łatwiej tylko wiedzieć,
gdzie daną wiedzę można
znaleźć? Gorzej, gdy nagle
zostajemy odcięci od źródła
wiedzy. Wyglądamy wtedy
jak choinka z lampkami bez
prądu – bardziej naturalni,
ale i obnażeni w naszych wa-
dach. Z HOMO ERECTUSA
został już tylko HOMO SE-
DES i Szary wcale nie miał
na myśli wybrików George-
’a Michaela w publicznych
toaletach, lecz to, że człowieka
wprostowanego całkowicie
zastąpił człowiek siedzący.
Trzeba by dodać – człowiek

siedzący z oklapniętą na my-
szy prawą ręką, która co rusz
zrywała się, by dołączyć
na klawiaturze do ręki lewej.
HOMO LUDENSA pokonał
HOMO COMMUNICA-
TUS. Jeśli zapytacie kogoś,
co robi, z pewnością odpo-
wie, że jest „ekspertem”,
pracuje nad „projektem”
w „mediach”. Szary pyta:
czy na świecie żyje jeszcze
ktoś, kto nie pracuje w me-
diach? Tischnerskiego
HOMO SOVIETICUSA wy-
parł HOMO ECONOMICUS
(jakby sovieticusom nie za-
leżało, by dobrze zjeść).
Czasami kopiemy jeszcze pi-
łkę albo ogródek, jedni artyści
i politycy kopią innych arty-
stów i polityków, ale HOMO
FLORESIENSIS – czło-
wiek kopalny – odszedł
w zapomnienie. Może dla-
tego, że jakakolwiek praca rąk
odeszła w zapomnienie. No

bo przynajmniej: co ostatnio
sami wyprodukowaliście? Na-
wet napisanie czegoś własną
ręką sprawia nam trudności,
jakby zamiast stawu wciąż
szwankowało nam łożysko.
Dlatego sztuka wysoka, ale
niewyprodukowana ręcznie,
nie jest już wcale ceniona.
Filmy wciąż przerywa się re-
klamami, a czy ktoś widział
przerywany reklamami ob-
raz albo rzeźbę? Udajemy,
że uciekliśmy od pracy twór-
czej, ale czy nasza taśma nie
jest ograniczona czterema
klawiszami: esc, ctrl, kursor
> i delete? A kto kopalnianego
zastąpił? Oczywiście HOMO
TECHNICUS!
– Nieprawda! – stwierdziła
Szara. – Ten istniał zawsze,
tylko że kiedyś leczył komplek-
sy wielkimi samochodami,
a teraz, sterroryzowany przez
ekologię, leczy wielkimi wy-
świetlaczami w telefonach. □

JOLKA NR 11

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY

10-LITEROWE:

• WSZYSTKO ROBI
JAK FASOLKA
• KRZYŻÓWKOWICZ NA
JEDNEJ NODZE

WYRAZY 8-LITEROWE:

• NIE KAŻDY ROMANS
NA NIA STAĆ
• NA NAS CZAS
• PANI NA PRZYKŁAD
• GRABA KRABA

WYRAZY 7-LITEROWE:

• UBOGA KREWNA

BOGACTWA • GARŚC
SPAGHETTI

WYRAZY 6-LITEROWE:

• CUKIERKOWY
SKAFANDER • DAŁBY
SIĘ POKROIĆ ZA STASIA

• 1001 ALEJEK
• ŁABĘDZIE POPIŁY
• MAŁA KAŚLIWA
WŁASNOPIERSIÓWECZKA
• UFO RUSKICH

WYRAZY 5-LITEROWE:

• UŻYJMY GO,
HAGIOGRAFOWIE!

• DESKI SŁOWACKIEGO
• MIĘSIĘCIE
NA ZIELONO

• W ŚCIANIE
INTERNISTY
• PRZECZODZONA
BARANINA
• PO CZASIE
W FAMILIADZIE

WYRAZY 4-LITEROWE:

• GDYBY JA AGATKA
ODDAŁA JACKOWI,
TOBY PADŁA
• PŁONIE Z ZIMNA

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie.
W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy
rozszyfrować następujące hasło:

B1_F3_J5_K6_H7_C12_E11_C9_K11_G2_C4_F8_I_H3_C7_J10_H5_
F10_I2_B6_E3_A11_J8_A7_D8_H10_F5_B3_I11_
I6_C2_B10_F1_K9_A4_K4_H8_I4_D12_

LAUREACI Z NR. 7

KRZYŻÓWKA:

Wiesław Buczek, Dębce; Krystyna
Kresowiecka, Gorzów Wlkp.; Michał
Maziarek, Opole; Wiesław Pyżewicz,
Zielona Góra; Jakub Zawadzki, Łódź

JOLKA:

Irena Frołowicz, Gliwice; Bolesława
Kozicka, Radłów; Ewa Pecold, Łódź;
Janina Sakt, Gdańsk; Sabina Walczak,
Poznań

NASZA NIANIA JEST AGENTEM.

BONUS FEATURES:

- Agent czy agentka? – klarowny wykład profesora Jana Miodka na temat męskich i żeńskich nazw zawodów (30 min).
- Zdecydowanie agent! – niejasna odpowiedź tłumacza filmu (5 min).
- Zdecydowanie agentka! – wywiad z właścicielką biura nieruchomości z Sierpca (10 min).
- Mniejsza o pleć, ważne są raporty – nieautoryzowana wypowiedź szefa polskiego kontrwywiadu (12 s).

A także:

- śmieszne sceny z Jackiem Chanem;
- smutne sceny z resztą obsady.

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

Między nami, prawyborami
Udało się nam podsłuchać pewną
rozmowę dwóch bardzo
ważnych osób w państwie,
konkretnie w naszym
państwie...

ROMAN KURKIEWICZ



– Cześć, premier, he, he...
– Cześć, prezydent, no...
– Wstałeś?
– Nie, ale mogę rozmawiać na le-
żąco...
– Jak nie wstaniesz, to nie pój-
dziesz.
– Nigdzie się nie wybieram.
– Niezupełnie, wybory ante por-
tas, czyli wciągaj portki, musimy
pogłównikować. Trzeba zrobić też
te prawybory, jak oni, niby się żrą
między sobą, a sondaże im żrą,
a nas pożerają. No więc my też mu-
simy zrobić prawybory. Między
sobą.
– Jak to między sobą?
– Między mną a Tobą.
– Między Tobą a mną?
– No mówię przecież, a między kim?
Między Gosiewskim a Kempą?
– Ale ja chcę być znowu premie-
rem, już to zdążyłem powiedzieć...
– No i tu jest problem, że gadasz,
zanim pogadałismy.
– Ale myślałem... że mamy to po-
układać.
– Poukładane, a co tu jest poukla-
dane? Tu jest chaos, rozsyпка,
ja dotrzymałem do końca...
– ... co dotrzymałeś do końca???
– Kadencję dotrzymałem, a TY
co, zwałeś. Rozsyпкаło się przez
to Twoje szpiegowanie z Mario...
I jeszcze mu sam pomagał.
– Co pomagał? Musiałem nadzo-
rować!
– Chodzi o to, że jak będziemy mieć
prawybory, to wszyscy będą o nas
mówić.
– Ale chodzi o to, żeby nas pokazy-
wali, wiesz, jaka jest epoka – obra-
zy, telewizja i ten, no, internet.

– To będą nas pokazywali.
– Ale my się nie różnimy! I nie po-
kazujemy razem, żeby tego nie
przypominać!
– To trzeba się przypomnieć!
– Ale jak się mamy różnić? Pięk-
nie?
– No, nie. Pięknie to się nie da,
ale może wasami.
– Ale ja nie mam już wąsów!
– To zapuść!
– A dlaczego znowu ja?
– Bo ktoś musi!
– Ale ja jestem...
– A ja znowu chcę być! Więc musi-
my się zetrzeć...
– Jak to?
– No nie udawaj, będziemy tylko
udawać!
– Jak to udawać?
– Że się prawyborujemy.
– Ale przecież...
– Co przecież?
– Przecież wiadomo, że Ty...
– Co wiadomo, nic nie wiadomo,
będzie wiadomo, jak powiadomi-
my i „Wiadomości” powiadomią,
a tak to nic nie wiadomo.
– Ale między nami wiadomo...
– I o to chodzi. Kiedy robimy te
prawybory?
– Ale Ty nie poważnie, tylko tak
dla...
– No tak, chociaż gdybyś chciał,
to wiesz, że ja ustąpię!
– Jak Ty ustąpisz, to ja polegnę.
– Hm, to dziwne. Ale na szczęście,
zawsze któryś z nas zwycięży!
– Żeby się nie skończyło na zwycię-
stwie w prawyborach...
– Nie żartuj, trzymam za Ciebie
kciuki, czyli za nas.
– I ja też za nas, czyli za siebie. □

MYŚLNIK

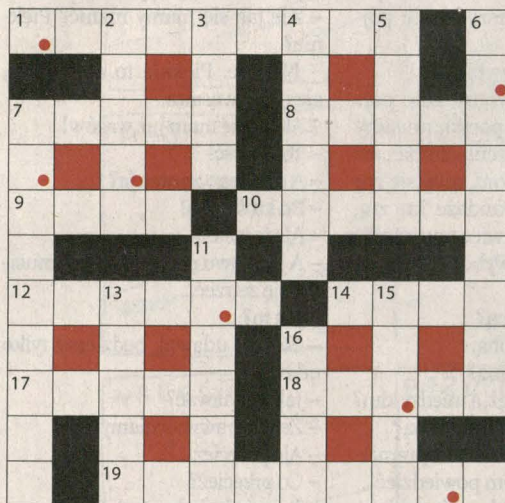
**Zabijamy w sobie człowieka z obawy
przed posądzeniem o schizofrenię.**

Krzysztof Bilica



KRZYŻÓWKA NR 11

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest sklep internetowy www.stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

stereo.pl

POZIOMO:

1. SOŁTYS WĄCHOCA
7. W KOŃCU TAKI SIĘ URODZIŁ, CO WSZYSTKIM DOGODZIŁ
8. KOŃ CZYSTEJ KRWI KUBAŃSKIEJ
9. WODZILEJ
10. GÓRA ZŁA
12. WIE, GDZIE LEŻĄ KONFITURY
14. NIE NA TY
17. TARGANA ZA USZY
18. ŚMIEJE SIĘ NA CMENTARZU
19. FAN GOŁOTY

PIONOWO:

2. PCHA SIĘ DO KORYTA
3. KŁUJE SZYJE
4. WCZAS PRZESZŁY
5. CZERWONY JAK CEGŁA
6. SIOSTRA JEZUSA
7. WYMYŚLONY DLA JAJ
11. GIGA DO POTĘGI ENTEJ
13. NAHALNY IDIOTA
15. PRZODEK ZŁOTÓWKI
16. SŁYNNY GRECKI KOMENTATOR



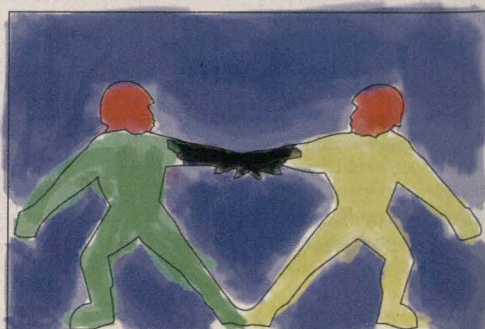
Wygraj jedną z 10 płyt Foreigner „Can't Slow Down”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wysłij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO JOLKI lub PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 11” lub „krzyżówka 11”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 22 marca 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



➤ Graficzne wije, czyli „Ikonostas I” Krystyna Zielińskiego. Kolory dobrał Władek (8 lat)

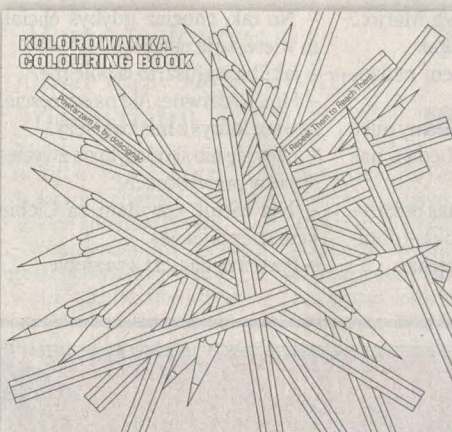
➤ Znów Władek, tym razem maluje „Rzut granatem” Jarosława Modzelewskiego



ŁADNE RZECZY!

OLA SALWA

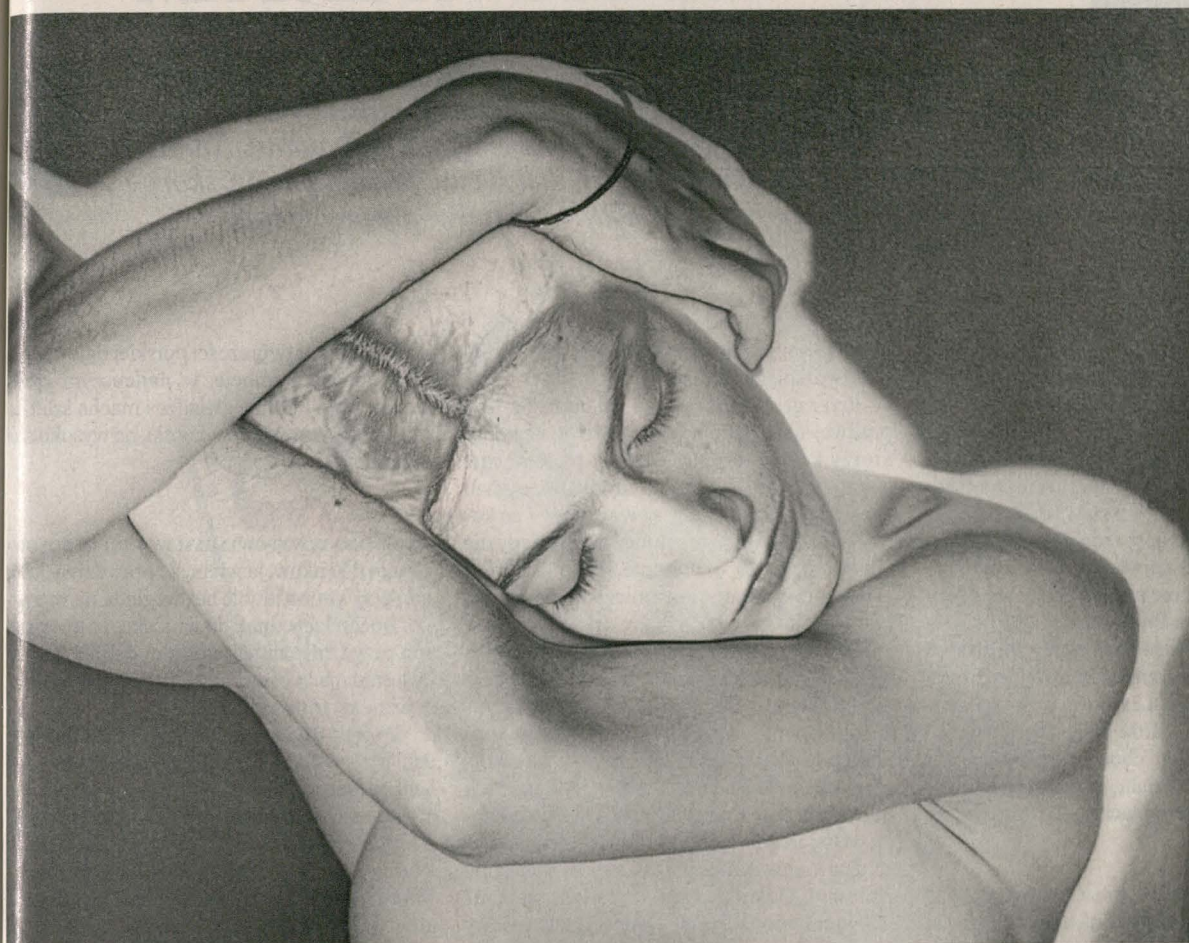
Ze sztuką od dziecka Nauka przez kredki, czyli jak coś fajnego zmalować



➤ Kolorowanek zamówioną przez Muzeum Sztuki w Łodzi można kupić na miejscu, **ściągnąć z Internetu**, a wkrótce nabyć w modnej warszawskiej księgarni-kawiarni Czyły Barbarzyńca

JEŚLI JUŻ OD PRZEDSZKOŁA DZIECI mogą uczyć się języka angielskiego, to dlaczego nie mają poznawać tam też nowoczesnej sztuki? Nie mam tu na myśli wykładów, ale raczej zajęcia praktyczne. Do tego ma służyć zaprojektowana przez Kubę Stepnia i Elżbietę Jabłońską książeczka do kolorowania. Zamiast kotków i drzewek znajdziecie w niej prace Andrzeja Wróblewskiego, Henryka Stażewskiego czy Jarosława Modzelewskiego. Jest szansa, że dzieci się wciągną i nie będą bawić po ścianach. A gdy dorosną, być może z własnej, nieprzymuszonej woli pójdą do muzeum? I wtedy nie pomylą gaśnicy z instalacją jakiegoś wyprzedzającego czasy twórcy. □

➤ Oto „Zima” Jana Tarasina ubarwiona kredkami Bambino. Autorką jest trzypółletnia Lena



Naprawdę Man Ray nazywał się Emmanuel Radnitsky. Kiedy był nastolatkiem, jego rodzice, imigranci z Rosji, **zmienili nazwisko, żeby uniknąć antysemickiej dyskryminacji**. Na małego Emmanuela wolano „Manny”, stąd Man

KUBA DĄBROWSKI

Amerykanin w Paryżu

Man Ray udowadnia, że w fotografii sztuki nie da się oddzielić od techniki

„DADA NIE MOŻE ŻYĆ W NOWYM JORKU. TO MIAŁO SAMO Z SIEBIE JEST JUŻ WYSTARCZAJĄCO DADA” – stwierdza Man Ray w 1921 roku po serii chłodno przyjętych artystycznych eksperymentów. Obrzuca się na miasto, w którym się wychował, pakuje walizki i wyjeżdża do Paryża. Łąduje w samym środku Montparnasse’u. Kawiarnie, wielkie idee, intelektualny ferment (sąsiadami z osiedla są przecież Dali, Picasso czy Duchamp) i życie erotyczne (między innymi Kiki i Lee Miller). Mieszkając w Stanach, Man Ray zajmował się głównie malarstwem, w Paryżu odnajduje dla siebie fotografię. Musi z czegoś się utrzymać, wykonuje więc reprodukcje dzieł bardziej znanych kolegów. Szybko orientuje się, że w fotografii drzemie potencjał o wiele większy niż prosta rejestracja. Man Ray stara się przełożyć możliwości nowego medium na potrzeby wyznawanych przez siebie nurtów: dadaizmu i surrealizmu.

W autorski sposób interpretuje znane fotograficzne techniki. Pierwsza to rayogram (po prawej): fotografia bez aparatu, naświetlanie przedmiotów o różnym stopniu przezroczystości ułożonych bezpośrednio na papierze. W efekcie po-

wstaje pozbawiona perspektywy abstrakcja. Proces jest nieprzewidywalny i niepowtarzalny, tym samym doskonale dadaistyczny. Druga technika to pseudosolaryzacja (zdjęcie powyżej). Przed zanurzeniem w utrwalaczu Man Ray na chwilę wynosi papier z ciemni na światło, część obrazu zmienia się w negatyw. Na odbitce fotografowany świat wygląda, jakby był odlany z metalu. Efekt, który do tej pory uznawany był za błąd, staje się synonimem nowoczesności.

Techniki Mana Raya okazały się nie tylko nowym głosem w dyskursie artystycznym, ale też doskonałym sposobem na uchwycenie ducha epoki. Szybko zauważają je wydawcy magazynów, jak „Vogue” czy „Harper’s Bazaar”, Man Ray zaczyna portretować gwiazdy i fotografować modę. □



Uprawianie sztuki jest jak uprawianie miłości. Nie ma w nim zasadniczego postępu, są po prostu nowe sposoby na robienie tego samego

MAN RAY



Niepodobna nie pomyśleć, że w Polsce oczekiwania wobec biografii kogoś, kto wiódł żywot niebanalny, niekonwencjonalny i ryzykowny, są takie, by była to biografia banalna, konwencjonalna i nudna. Nudni do biografii najprzydatniejsi, ale i o nich się nie pisze – po cóż, skoro nudni? Na otchłannych paradoksach stoi nasze piśmiennictwo

JERZY PILCH

7 MARCA

O RYSZARDZIE KAPUŚCIŃSKIM, W CZASACH GDY był autorem wielce uznanym i podziwianym, mawiano, że w tygodniu odbiera dwie lub cztery ważne światowe nagrody. Zależało od tygodnia. Obecnie ta passa sukcesów trwa nadal: liczba ukazujących się tekstów poświęconych autorowi „Cesarza” jest niepoliczalna. Żaden z wielkich, a nawet największych klasyków takiej masy egzegez nie zaznał; zaiste sprawcza moc książki Artura Domosławskiego jest nieobliczalna. Oczywiście przyczyniły się do tego okoliczności zewnętrzne: odmawiające druku wydawnictwo Znak, a i wdowa próbująca zatrzymać wydanie – Boże Świąty, jakby ta kobieta wiedziała albo choć przeczuwała, jak przeciwnie skutecznie działa, jaką lawinę wyzwała – za brak instynktu płaci się słono.

8 MARCA

NIE BĘDĘ UKRYWAŁ: CAŁA NADMIERNOŚĆ dyskusji wokół „non-fiction”, a może „bardzo fiction”, dosyć mnie zraża; czy wszystko zostało powiedziane, nie wiem, wszystkiego, jak na razie, nie powiedział nawet Pan Bóg; wymownych, a też „wielce znaczących” koncepcji padło jednak sporo.

Ograniczam się do dwóch równie bocznych, co ogólnych uwag. Zdaję sobie sprawę, jak szokujące jest to, co powiem, ale dyskusja winna dotyczyć głównie literatury. Taka przynajmniej – owszem rzadka, tym przez to cenniejsza – jest tu sposobność. Tymczasem nie podobna nie pomyśleć, że lwia część dyskutantów z całą prostotą literaturę omija, literaturę się wypiera; z całą zajadłością nie uważa reportażu za literaturę; to akurat trafne: wiersze to nie są, ale idą stanowiska znacznie radykalniejsze, tu się generalnie odmawia reportażowi i innym gatunkom publicystycznym czy dziennikarskim prawa do posługiwania się jakimikolwiek środkami wyrazu literackiego.

W jakim tedy tworzywie państwo pracujecie? W prawdzie? No tak, grafomani, a nawet analfabeci jako twórcy prawdy – to bywa ostatnio nawet często. Ale w końcu i w tego rodzaju tekstach trafiają się jakieś rozpaczliwe namiastki ciemnego kunsztu, jakieś przeżające próby np. komponowania. Słowem: książka Domosławskiego, zamiast dać asumpt do debaty o tym, co może wynikać z języka, mniej lub bardziej świadomie w opowieści stosowanego, produkuje bezkompromisowe wypowiedzi, jak to Kapusta kłamał i jak tym

samym doprowadził do upadku i rozkładu polską szkołę reportażu.

Przez grzeczność nie ma co poruszać kłopotliwej sprawy, ile w tej szkole było uczniów, którzy kompletnie nie władają piórem, ergo – ich głoszone topornymi środkami wyrazu „prawdy” funta kłaków są warte lub – co komiczniejsze – mają tajemniczy urok – gdy nie wiadomo, gdzie orzeczenie, gdzie podmiot – bywa nie jedynie tajemniczo, bywa nawet poetycko.

Nie tylko przez lata pracy w rozmaitych redakcjach napatrzyłem się bezliku kolegów „dziennikarzy”, dla których opór materii słownej był równie niepokonywalny jak opór powietrza dla rodzimych futbolistów. W sumie zrozumiałe, że o jakichś kunsztach literackich nikt tu nie chce mówić. Swoją drogą ci mądrale, co twierdzą, że od dawna wiedzieli: Kapuściński kreował, nie był realistą – są specjalnie śmieszni. Odkąd kreacja wyklucza realizm? Niewątpliwie od czasu, gdy nie lada głowy biorą się do rozstrzygania tak wstrząsającego problemu z zakresu sztuki układania słów.

9 MARCA

UWAGA DRUGA: NIEPODOBNA NIE POMYŚLEĆ, że w Polsce oczekiwania wobec biografii kogoś, kto wiódł żywot niebanalny, niekonwencjonalny i ryzykowny, są takie, by była to biografia banalna, konwencjonalna i nudna. Nudni do biografii najprzydatniejsi, ale i o nich się nie pisze – po cóż, skoro nudni? Na otchłannych paradoksach stoi nasze piśmiennictwo.

I nie ma co sadzić dyrdymałów, że Domosławski kogoś krzywdzi. Taka czy inna krzywda jest nader często w los bliskich artysty wpiśana; można to kunktatorsko omijać, łagodzić, kastrować, czekać z pisaniem pół wieku – w końcu to także swojska szkoła: stawić na niejakość i odwlekać w nieskończoność. Biografii mamy przez to tyle, ile mamy. Ach, nie tylko przez to – też z piramidalnego lenistwa – względy moralne jakże tu są dogodnym alibi – nie róbmy nic, bo ciotka źle się poczuje. Od samopoczucia ciotki nie ma w kulturze niczego ważniejszego.

Doprawdy istotny, o wiele istotniejszy, niż się zdaje, wkład w kulturę polską mają Artur Domosławski i Świat Książki – postavili na szybkość, zdecydowanie i – tak jest – twórczy brak skrupułów. ABC dobrego wychowania (w wersji, rzecz jasna, szkolnej) jako etycz-

ny fundament twórczości polskiej daje całą jej infantylność i emocje, w najlepszym razie, stadionowe. Publika gwizdże i macha szalikami, nożem wszakże nie dźgnie, bo wysoko stoi etycznie.

10 MARCA

SWOJĄ DROGĄ WYPOWIADAM WOJNĘ FUTBOŁOWĄ Cracovii Kraków. Ja wiem, że prawdziwy kibic stoi przy swoim klubie bez względu na wszystko. Dochodzę jednak do wniosku, że upór stania przy Cracovii jest uporem debila. Za stary jestem na być może szlachetne, ale psychiatryczne wytrwałości.

Wojtek Kuczek w SMS-ie z Berlina: Bóg ich nie kocha. W mojej perspektywie Bóg ich nie kocha od 50 lat. Wystarczy zarówno na pańską wiekiistość, jak i klasyczną kibicowską wytrwałość. Nie ma już ratunku. Nawet gdyby tym nieszczęśnikom puszczać w koło finisz (finisze!) Kowalczyk na olimpiadzie – nie zrozumieją. Pomyślą, że po co im patrzeć na biegi narciarskie, skoro są piłkarzami. To jest klub naznaczony takim fatalizmem, taką nieumiejętnością i taką pustką, że nikt, nawet Lenczyk nie pomoże. Mnie ten fatalizm, ta nieumiejętność i ta pustka tyle że-zażyły zdrowia, że wreszcie czas na umiar. Czasu zostało tak mało, że nie pora na honor kibica. Zwłaszcza jak z tego honoru 11 nieudaczników co tydzień jaja sobie robi.

Poza tym nie ma tego złego: olewam ich, olewam mój klub ukochany i czuję się jak prekursor olewania klubu ukochanego. Pół wieku na to zaszczytne stanowisko pracowałem. Miliony kibiców miewały, nieraz co tydzień, taką wolę, mnie się udało. Sposobność zresztą dobra: nie runęli, nie spadli, zaledwie dwa mecze przegrali. Dla zespołu, który od pół wieku głównie przegrywa, to jest prawie nic i moja rezygnacja ma w sobie pełną powściągliwość elegancję. Prawie.

Poza wszystkim: jakkolwiek ordynarnie to brzmi: w sztuce rozstawania się zawsze byłem dobry. Pora wykorzystać wrodzoną predyspozycję na – przepraszam za wyrażenie – sportowej arenie.

Na razie nie szczyć się olewaniem, nie sycę brakiem zainteresowania, nie upajam wizjami niejeżdżenia na mecze, ale stało się, co się stało. Żadnych dowcipów o „charakterze, który może okazać się za słaby”. Przeciwnie: kolejny – nędzny, bo nędzny, ale powód do ewakuacji.

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W marcowym numerze **SUKCESU** w prezencie dla Ciebie próbka najnowszego zapachu **Dsquared SHE WOOD** dla niej



SZUKAJ SUKCESU Z ZAPACHEM



Moc i elegancja w nowym świetle.

Klasa C. Teraz z systemem reflektorów bixenonowych ILS.

999 zł

to cena opcjonalnego systemu
reflektorów bixenonowych ILS
i świateł do jazdy dziennej
w technologii LED.

Kredyt 50/50*

Leasing 105%**

Oferta ważna do 31.03.2010 r.



Zalecamy oleje **Mobil**

Mercedes-Benz

Przekonaj się, że podróżowanie nocą i w trudnych warunkach atmosferycznych może być **komfortowe** oraz **bezpieczne**. Odkryj nowe możliwości kryjące się w **innowacyjnym systemie reflektorów bixenonowych ILS**, teraz dostępnym także w Klasie C. Dzięki automatycznemu systemowi ILS Twój samochód dostosowuje oświetlenie do wykonywanych manewrów – na przykład doświetla najbliższe otoczenie podczas wykonywania skrętu. System wyposażony jest w **tryb szosowy** i **autostradowy**, a przy słabej widoczności przejmuje funkcję **świateł przeciwmgiełnych**.

Na krętych, górskich drogach aktywny system reflektorów wspomaga dodatkowo **dynamiczne doświetlanie zakrętów**. Dzięki nowej konstrukcji świateł drogowych wykonanych w **technologii LED** Twój samochód jest lepiej widoczny dla pozostałych użytkowników ruchu o każdej porze i w każdych warunkach. To jednak nie koniec korzyści. Zamawiając Klasę C z systemem ILS do końca marca 2010, **oszczędzisz ponad 5000 zł brutto!** Klasa C 220 CDI BlueEFFICIENCY: zużycie paliwa 5,1 l/100 km, emisja CO₂ 135 g/km. Zapraszamy do salonów. www.mercedes-benz.pl

Mercedes-Benz
BusinessCars

* Udział własny wynosi 50% wartości pojazdu, rata balonowa w wysokości 50% płatna jest po roku. Oprocentowanie nominalne 0%, RRSP 3,62%. Oferta Mercedes-Benz Bank.

** To całkowity koszt umowy leasingowej w ofercie Mercedes-Benz Leasing na Klasę C. Brak opłaty administracyjnej, minimalna wpłata od 25% wartości pojazdu, czas trwania umowy 24 lub 36 miesięcy.